

KATARZYNA GURNARD



👉 Drżycie, złoczyńcy!

Wkraczam do akcji... 👈

*Pani Henryka*  
**i MORDERSTWO  
W AUTOKARZE**

🔫 Ciepła i pełna humoru komedia kryminalna 🔫

LIRA  
WYDAWNICTWO

KATARZYNA GURNARD



*Pani Henryka*  
*i* MORDERSTWO  
W AUTOKARZE

LIRA  
WYDAWNICTWO  
WARSZAWA 2019

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2019

© Copyright by Katarzyna Gurnard, 2019

Projekt okładki: Magdalena Wójcik

Zdjęcia na okładce: ©Luciano Mortula/123rf.com,

©zhannaz/AdobeStock.com

Redakcja: Barbara Kaszubowska

Korekta: Joanna Fortuna

Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Producenci wydawniczy: Marek Jannasz, Anna Laskowska

Lira Publishing Sp. z o.o.






Wydanie pierwsze

Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-11-2 (EPUB); 978-83-62519-12-9 (MOBI)



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



# Spis treści

Strona tytułowa  
Karta redakcyjna  
Dedykacja  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Epilog  
Od Autorki  
Przypisy

Moim rodzicom

## ROZDZIAŁ 1

Henryka Orłowska wprost nie mogła się doczekać dwudziestego piątego marca. Kiedy wreszcie nastał ten długo wypatrywany dzień, pomimo doskonałego przygotowania starszej pani stanęły na drodze tak prozaiczne przeszkody, jak opóźniony przyjazd miejskiego autobusu, korki oraz niewłaściwe oznaczenie stanowisk na dworcu. Ciepło odziana, z wypiekami ekscytacji na twarzy dociągnęła gigantyczną walizę na miejsce zbiórki nieco później, niż zamierzała, nic jednak nie mogło popsuć jej doskonałego humoru. Wskoczyła do autokaru, niesiona niemalże na skrzydłach.

– Dobrze trafiłam? To wycieczka do Paryża organizowana przez biuro podróży Niezapomniane Doznania? – Emerytka zamachała w powietrzu lekko wygniecionym biletem.

– Tak – bąknęła w odpowiedzi mniej więcej trzydziestopięcioletnia blond piękność o słowiańskiej urodzie, nie podnosząc wzroku znad ekranu telefonu.

– Cudownie! – Henia klasnęła w dłonie z zadowoleniem.

– Pani da, zapakuję bagaż do luku – zaofiarował się tęgi wąsacz w ciemnozielonej kamizelce z trudną do zliczenia liczbą kieszonek, dźwigając się z fotela kierowcy.

– Jaki pan miły! – pochwaliła go Henryka, robiąc krok w tył.

Gdy stopa kobiety ponownie dotknęła chodnika, tuż

za jej plecami, nie wiadomo kiedy ani skąd zmaterializowała się para trzymająca się za ręce. Niedługo później od strony tramwaju nadszedł jeszcze jeden mężczyzna.

Kierowca zabrał się do umieszczania ich toreb oraz waliz w bagażniku. Orłowska, pozbywszy się balastu w postaci wypożyczonej od kuzynki walizki na kółkach marki Radien (ubiegłorocznego bestsellera w kategorii „moda podróżnych” – model: 90123456, faktura: imitacja wężowej skóry, odcień: karmazynowa zieleń, kółka: kauczuk pochodzenia brazylijskiego, cena: aż strach pytać), dociążonej piętnastoma kilogramami ubrań, butów oraz kosmetyków, weszła do autokaru. Ku jej zaskoczeniu, choć do końca zbiórki zostały zaledwie dwie minuty, we wnętrzu pojazdu siedziały tylko cztery osoby, z czego jedna wyglądała na przewodniczkę. Po doliczeniu Henryki oraz trojga pasażerów, którzy właśnie zdawali bagaże, nawet matematycznemu beztalenciu dawało to w sumie siedmiu klientów biura podróży. Orłowska usadowiła się mniej więcej pośrodku autokaru. Zdjęła płaszcz i równo ułożyła go na półce nad swoją głową. Na siedzeniu obok umieściła podręczną torbę z prowiantem oraz trzema kilogramami rozrywek w różnej postaci przygotowanych na czas podróży. Wąsacz zakończył załadunek i na powrót zajął miejsce za kierownicą.

– Wsiadasz czy będziesz tak stał do końca świata i tylko się gapił? – Do uszu starszej pani dotarły słowa rozbawionej dziewczyny w pikowanej kurtce z kapturem hojnie obszytym turkusowym futrem. Jej prawa stopa

spoczywała na pierwszym schodku, a lewa dyndała w powietrzu.

Na drugim z trzech schodków stał, mocno ściskając barierkę, brunet w czapce z daszkiem. To jego Orłowska widziała przed chwilą na chodniku.

– Tu się nie ma co zastanawiać. Luks wycieczka do stolicy romantyku, prawda, Kacper?

Obok włochatego barku dziewczyny pojawiła się część twarzy wywołanego do odpowiedzi Kacpra.

– Tak jest, Francesco, ale nie ma co poganiać kolegi. Choroba lokomocyjna. – Chłopak w mig odczytał myśli bruneta. – Znam temat jak mało kto.

– No to trzeba tak było od razu! – obruszyła się Francesca. – Kacper ma na to lekarstwo, podzieli się.

Dotychczas widoczny fragment usługowego Kacpra zniknął, a jego miejsce zastąpiła wielka dłoń z listkiem maleńkich czarnych tabletek.

– Jedna co dziesięć godzin i po kłopotcie – powiedział.

– Bierz śmiało, mój mężuś wie, co mówi – zapewniła Francesca, która podczas każdego ruchu ciałem niezamierzenie smagała Kacpra turkusowym futrem po czole.

Kierowca zmierzył wzrokiem podróżnych skłębionych przy wejściu.

– Żeby było jasne: jeśli ktoś zapaskudzi autokar, pokryje koszt prania tapicerki – rzekł groźnie, jednak żadne z trojga osób zajętych rozmową nie zwróciło na niego nawet najmniejszej uwagi.

– Dzięki – odpowiedział z wdzięcznością brunet, odebrał



leki z ręki zaznajomionego z tematem choroby lokomocyjnej chłopaka, a następnie już śmiało wszedł do pojazdu. – Cześć – powiedział cicho, mijając przewodniczkę.

– Dzień dobry – odrzekła ta, nie wysilając się, żeby na niego choćby zerknąć.

Mężczyzna w czapce z daszkiem przyspieszył kroku, minął Henię i wybrał dla siebie ostatnie miejsce z tyłu.

Chichocząca Francesca niczym żywiłowa fretka śmiało pokonała dwa schodki. Tuż za nią kroczył Kacper, który ze względu na okazałych rozmiarów obwód ramion przemierzał wąski korytarz pojazdu, lekko skręcając tułów w prawo.

– A dzień dobry. – Ni stąd, ni zowąd przemówiła głosem ociekającym złośliwą satysfakcją około sześćdziesięcioletnia kobieta siedząca po prawicy nobliwego mężczyzny. – Zobacz, Staśku, kogo nasze oczy widzą. – Uśmiechnęła się w sposób, który sprawił, że Orłowskiej przeszły po plecach ciarki.

– Widzisz, Kryśka, jaki ten świat mały – stwierdził jej towarzysz.

– Dzień dobry. – Niechętnie odpowiedziała Francesca, marszcząc czoło. Wykonała nagły zwrot i usiadła na najbliższym jej fotelu, dwa rzędy przed Henryką.

Kacper zmierzył wzrokiem Krystynę, po czym bez słowa zajął miejsce obok żony. Wyborny nastrój dziewczyny gdzieś uleciał. Nastroszyła się i spochmurniała, a dotychczas niezamykające się usta zacisnęła w wąską kreskę.

Orłowska dyskretnie obróciła głowę, żeby przyjrzeć się sprawczyni złego nastroju Franceski. Wyglądało na to, że właścicielka turkusowego truchła na kapturze nie zajmowała już uwagi Krystyny, która założyła na zadarty nos okulary w złotej oprawce zawieszzone na łańcuszku w tym samym kolorze i z zaciekawieniem wpatrywała się w odnowiony łódzki dworzec. Jej ufarbowane na brązowo włosy były spięte w ciasny kok z tyłu głowy. Twarz przykrywała gruba warstwa makijażu dość skutecznie maskująca zmarszczki. Sztuczne, pomalowane na trupio błądy kolor paznokcie przywodziły Henryce na myśl ptasie szpony. Z wieczorowym makijażem, fryzurą oraz długimi tipsami gryzł się jedynie sportowy strój.

– Kryśka, gdzie schowałaś mój termos? – Znienacka zapytał dotychczas przebiegający palcami w plecaku Stasiek.

– Nie dotykałam go! – oburzyła się żona. – Sprawdź w bocznej kieszeni – poradziła.

– Jest! – Zadowolony Stanisław wyjął pojemnik termiczny ze wskazanego przez nią miejsca.

– Beze mnie nie znalazłbyś własnej... – Krystyna na moment zamilkła – głowy, gdyby nie była szczepiona z szyją – zarechotała.

Stasiek, zajęty nalewaniem parującej cieczy do kubka, nie usłyszał drobnej złośliwości, której nie poskapiła mu małżonka. Henryka zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Był orientacyjnie w tym samym wieku co Krystyna, miał przeciętną urodę, choć Orłowska musiała przyznać, że siwe, krótko przystrzyżone włosy dodawały mu uroku. Jego

ubiór, adekwatny do autokarowej wycieczki, podobnie jak Krystyny, aż ociekał metkami drogich sklepów.

Z czynionej obserwacji starszą panią wyrwał donośny bas kierowcy. Henia skierowała wzrok na wąsacza z ręką nonszalancko przerzuconą przez oparcie fotela.

– Na początek kilka zasad. Kto nie będzie ich przestrzegał, zostanie po raz: obciążony kosztem naprawy, po dwa: usunięty z wycieczki. Nie ma żółtych kartek, od razu daję czerwone. W autokarze obowiązuje surowy zakaz śmiecenia. Macie śmieci, co robicie? Wkładacie je do reklamówki zawieszanej na oparciu przed wami. Jeśli tytka się zapełni, wyrzucacie ją na postoju i przychodźcie do mnie po kolejną, złoty pięćdziesiąt sztuka, z wliczoną opłatą recyklingową. Nie otwieracie okien, bo się wyrabiają klamki. Zresztą to nie stary ogórek, tylko MAXIMUS 3000 wersja DELUX, więc jest klimatyzacja. Nie gmeracie też w przyciskach nad głowami. Jeśli chcecie zaświecić lampkę, delikatnie przesuwacie oprawkę żarówki w lewą stronę, o tak. – Zaprezentował opuszkami palców, z wielkim pietyzmem oraz wysuniętym z ust językiem. – Wyłączacie tak samo, tylko odwrotnie. Jak to mówią, szanujmy dobra innych, a i my będziemy szanowani. Zrozumiano? – Spojrzał na zebranych spod zmarszczonych brwi.

– Zrozumiano! – Ochoczo zakrzyknęła Francesca.

– A! Jeszcze jedno. Dzisiaj rano sam osobiście ustawiłem oparcia foteli w pozycji optymalnej, zatem proszę mi tam niczego nie dotykać. Jedziemy. – Mężczyzna niespodziewanie zakończył przemówienie, odwracając się

w kierunku drogi.

Henryka, która właśnie kładła dłoń na pokrętle do regulacji fotela, bezzwłocznie wsadziła ją do kieszeni polaru. Dotychczas nie miała okazji podróżować takim cudem techniki jak MAXIMUS 3000 wersja DELUX. Wycieczki dla seniorów, których była stałym bywalcem, odbywały się wiekowymi autosanami. Największe oczekiwanie, jakie można było mieć wobec wspomnianych pojazdów, zakładało nadzieję, że dojadą one z punktu A do B o własnych siłach, a czarna chmura wydobywająca się z rury wydechowej nie skutkuje kontrolą policyjną i co za tym idzie: mandatem, na który z litości złożą się emeryci, ratując organizatora wyjazdu przed plajtą.

Trudno – westchnęła tylko trochę rozczarowana Orłowska, porzucając marzenia o wypróbowaniu wszystkich dobrodziejstw cud wozu. Pocieszyła się myślą, że i tak miłą odmianą będzie jechać nowiutkim, czystym oraz zadbanym autokarem, w którym siedzenia nie są pozapadane, a ilość spalin emitowana na zewnątrz przewyższa tę wpuszczaną do wewnątrz.

Kierowca zamknął drzwi przyciskiem, który świecił jaskrawym czerwonym światłem, odpalił silnik i ruszyli.

## ROZDZIAŁ 2

Autokar wytoczył się na jezdnię. Podróżni wygodnie rozsiedli się w fotelach. We wnętrzu pojazdu było przyjemnie ciepło, a wczesnowiosenne promienie słoneczne wpadały do środka przez wyszorowane na błysk szyby. Łagodny pomruk cicho pracującego silnika przecinał jedynie melodyjny głos Franceski, która z przejęciem opowiadała o czymś mężowi. Ten, wciągnięty w fabułę powieści trzymanej w wielkich dłoniach, jedynie z uprzejmości i dla świętego spokoju co jakiś czas przytakiwał żonie.

– Kiedy nastąpi oficjalne powitanie ze strony biura podróży? – Niespodziewanie zapytał Stanisław, zaburzając panującą harmonię.

Oczy większości zebranych (łącznie z kierowcą, który we wstecznym lusterku obrzucił go niechętnym spojrzeniem) zwróciły się na mężczyznę. Po chwili przedłużającej się ciszy Stasiek warknął:

– Doczekamy się go łaskawie? Hę?

Wąsacz niespiesznie zdjął jedną rękę z kierownicy i szturchnął siedzącą nieopodal przewodniczkę. Kobieta wyjęła z ucha słuchawkę i lekko zirytowana zapytała:

– Irek, o co chodzi?

– Ulka, oni chcą powitania – przekazał jej Ireneusz, uznając swoje zadanie za wykonane. Oczywiście dla niego

było, że reszta leży po stronie Urszuli.

Przewodniczka wlepiła wzrok we współpracownika.

– Powitania? Jakiego znowu powitania? – Wyciągnęła drugą słuchawkę z ucha.

– W imieniu biura podróży – wyjaśnił Stanisław, siląc się na uprzejmy ton. – Na każdej wycieczce musi być część oficjalna. Znam się na tym, nie chwaląc się, jestem stałym bywalcem takich wyjazdów.

– I co niby miałyby się znaleźć we wspomnianej części oficjalnej? – Urszula uniosła grubą, namalowaną czarną kredką brew.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale to chyba pani powinna najlepiej znać swoje obowiązki – sarknął, po czym równie chętnie, co bezzwłocznie udzielił instrukcji: – Zazwyczaj przedstawiciele firmy przedstawiają się, opowiadają o wycieczce, omawiają plan zwiedzania – wypunktował.

– Tak – odrzekła przeciągle Ula, uważnie przyglądając się przemądrzałemu klientowi. Niespiesznie wstała. – Więc dobrze, skoro tak się dzieje zazwyczaj... – Posłała zebrany czarujący uśmiech, w którym jedynie baczny obserwator mógł dostrzec prześmiewczo uniesiony prawy kącik ust. – Ja jestem Urszula, a to pan Irek. – Wskazała na kierowcę. – Jedziemy do Paryża. Życzę miłej wycieczki. – Na powrót zajęła swoje miejsce i wyjęła z kieszeni słuchawkę.

– Ale zaraz! TO wszystko? – Ton Stanisława nie pozostawiał wątpliwości, że nie został on usatysfakcjonowany. – A plan wycieczki? Opis tego, co będziemy zwiedzali?

– W biurze podróży otrzymaliście państwo dokładną informację wraz z datami. Mylę się? – Ulce coraz bardziej przestawało się podobać zachowanie roszczeniowego jegomościa.

– Dostaliśmy – pospieszył z odpowiedzią szczupły mężczyzna siedzący z przodu autokaru.

Przewodniczka spojrzała na niego, zalotnie trzepocząc długimi rzęsami.

– Nasz się zagubił – burknął Stanisław.

– Stasiek, przecież... – zaczęła Krystyna, ale mąż powstrzymał ją przed kontynuowaniem wypowiedzi, szybko kładąc dłoń na przegubie jej ręki.

– Chętnie się podzielę swoją rozpiską – zaofiarowała się Henryka, łapiąc za skórzany wór służący jej za torebkę.

– Dziękuję, ale w tym świetle słabo widzę. Dlatego nalegałbym... – Stanisław nie dawał za wygraną.

Urszula westchnęła przeciągle, przesunęła okulary przeciwsłoneczne z oczu na czubek głowy i ponownie się podniosła.

– No dobrze. – Choć niechętnie, to jednak ustąpiła. Przed rozpoczęciem powitania dokonała w jej mniemaniu absolutnie koniecznych zabiegów: wygładziła bluzkę, przełożyła warkocz z jednego ramienia na drugie, wyjęła z ust gumę do żucia i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby ją tymczasowo przykleić. Zajęty wpatrywaniem się w drogę Irek chyba telepatycznie wyczuł zagrożenie dla stanu ukochanego autokaru. Jego jedno karcące spojrzenie skutecznie powstrzymało zapędy Urszuli, która po krótkim wahaniu

na powrót załadowała gumę do ust.

– Więc tak – zaczęła – witam państwa w imieniu biura podróży Niezapomniane Doznania. Naszym punktem docelowym, jak wiecie, jest Paryż, gdzie spędzimy pełne pięć dób. – Monotonnym głosem klepała zdanie po zdaniu niczym wyuczoną regułkę. – W stolicy mody wejdziemy na wieżę Eiffla, obejrzymy Luwr, a także znajdujące się w nim eksponaty, będziemy spacerowali Champs Élysées, zjemy śniadanie w urokliwej kawiarence przy Montmarcie, obejrzymy oba łuki triumfalne – zarówno ten na placu Charlesa de Gaulle’a, jak i Grande Arche de la Fraternité, pójdziemy na plac Pigalle, powiemy „dzień dobry” Moulin Rouge, wdrapiemy się po schodach do stóp bazyliki Sacré-Cœur, popłyniemy promem po Sekwanie, a jeśli starczy czasu oraz sił, zajrzemy na chwilę do paryskich katakumb. Życzę przyjemnej podróży oraz dobrego wypoczynku. – Właśnie miała kończyć, kiedy dostrzegła zawieszony na sobie wzrok współpracownika. – A i jeszcze jedno! Proszę sobie wyobrazić, że na tym nie koniec atrakcji! Z myślą o państwie wybraliśmy kilka dodatkowych rozrywek, których nie znajdziecie w planie otrzymanym w Niezapomnianych Doznaniach, myślę jednak, że będziecie nimi zachwyceni. – Teraz entuzjazm wylewał się z niej każdym porą. – Dziękuję za uwagę. – Zadowolona z siebie ciężko klapnęła na siedzenie.

– Zbyt obszerne to to nie było, ale niech będzie. – Stanisław wielkodusznie postanowił zaliczyć Urszuli tak zwaną część oficjalną.

Niedługo później, bo po upływie zaledwie trzydziestu



kilometrów, kierowca łagodnie zajechał na parking przed wybudowaną w wiejskim stylu chatą krytą słomianą strzechą.

– Czas na obiad! – zarządził, przekręcając kluczyk w stacyjce. – Lepiej niż tutaj w życiu nie jedliście – zapewnił, nieświadomie poklepując się po okazałym brzuchu. W swoim pięćdziesięcioczeroletnim życiu odwiedził niejeden przydrożny bar.

– Specjalnie dla państwa nieco przearanżowaliśmy trasę wycieczki, żebyście mogli skosztować specjałów serwowanych w tym wyśmienitym miejscu – piała z zachwytu przewodniczka.

– Obiad? O dziesiątej rano? – zdumiał się Stanisław, wpatrując się w cyferblat nieprzyzwoicie drogiego zegarka. – Cóż, niech będzie – westchnął. – Skoro wszystko jest już zapłacone, nie będę protestował, chociaż można to było lepiej zaplanować. – Podał małżonce płaszcz.

– Ja może tak gwoli ścisłości – odezwała się Ulka. – Posiłek nie będzie co prawda pokryty z funduszu wyjazdowego, ale rękę za to, że warto wydać z własnej kieszeni tych kilka groszy, żeby posmakować tutejszych... – Intensywnie szukała w głowie właściwego słowa.

– Delicji – pomógł jej Ireneusz.

Uczestnicy wycieczki zwartą grupą przekroczyli próg jadłodajni, a do ich nozdrzy dotarł mało przyjemny zapach starej frytury.

– Oho, nieźle się zapowiada – ocenił dryblas zajmujący w autokarze miejsce niemal na samym przodzie.

– Od razu jeden za drugim w kolejkę. – Irek kierował

ruchem. Podał na powitanie rękę mężczyźnie stojącemu za ladą, opasanemu przybrudzonym fartuchem.

Postój należało zaliczyć do raczej krótkich. Wprawiony w boju Ireneusz kilkoma kłapnięciami szczęk pochłonał żylastą karkówkę, pełen talerz wysuszonych na wiór frytek, dwa skapciałe ogórki kwaszone, popił całość szklanką wodnistego kompotu bez wkładki, pożegnał się z właścicielem przybytku, a następnie zagonił towarzystwo do autokaru.

Przezorna Henryka, widząc rzucające się w oczy niedostatki higieny w barze (dodatkowo wzbogacone o woń stęchlizny i zgniłych ziemniaków), powstrzymała się od spożycia czegokolwiek poza wytęsknioną kawą. Dwie filiżanki napoju życia łyknęła na miejscu, a trzecią zabrała ze sobą na drogę w papierowym kubku z przykrywką.

Kierowca na widok zmierzających do jego pojazdu turystów wyposażonych w kubki z napojami bez dłuższego namysłu, niczym Rejtan na obrazie Matejki, zagroził obszernymi plecami wejście.

– A cóż to ma znaczyć? Autokar to nie kawiarnia! – Wzburzonemu głosowi mężczyzny zawtórował metaliczny dźwięk uderzającego o siebie bilonu w jednej z wielu kieszeni wędkarskiej kamizelki.

– Irek, nie przesadzaj! – Urszula nie zamierzała poddać się woli tyrana. Lekko przesunęła go na bok wyprostowaną ręką i z dumnie podniesioną głową weszła do środka, trzymając w dłoni przesłodzone latte. – Na co państwo czekacie? Proszę zajmować miejsca! – dodała odwagi

pozostałym.

Jedni śmiało, inni nieco mniej odważnie kolejno mijali kierowcę przypatrującego się im z zagniewanym wyrazem twarzy oraz rękoma założonymi na piersi. Zamykająca korowód Henryka, przytrzymując nieco z tyłu pojemnik z parującą kawą, spojrzała niewinnym wzrokiem na strażnika autobusu. W tym momencie on, w wyrazie protestu wobec niesubordynowanych uczestników podróży, głośno wypuścił powietrze ustami, a jego krótko przyszczyżone wąsy groźnie się zatrzęsły. Następnie mrużąc coś niewyraźnie pod nosem, usadowił się za kółkiem i obrażony ruszył w dalszą drogę.

## ROZDZIAŁ 3

Francesca nie przestawała mówić. Początkowo ograniczała się do zagadywania męża, jednak ten, zajęty podążaniem za akcją czytanej powieści, choć doskonały w roli słuchacza, zdecydowanie gorzej wypadł jako współrozmówca. W konsekwencji tuż po przekroczeniu granicy dzielącej województwo łódzkie z opolskim dziewczyna wyruszyła na poszukiwanie bardziej aktywnego towarzystwa. W pierwszej kolejności odrzuciła kierowcę oraz przewodniczkę z nosem utkwionym w telefonie. Drzemiący na przodzie autokaru łusy niczym kolano dryblas również odpadał. Co innego miła starsza pani dwa rzędy dalej. Francesca klęknęła na siedzisku, odwrócona tyłem do kierunku jazdy, i wyciągnęła przed siebie dłoń.

– Ja jestem Francesca, a to mój mąż Kacper. – Bez skrępowania dokonała prezentacji, przemilczając drobny fakt, że w jej dowodzie osobistym w rubryce „imię” jak wół widniało Franciszka. – Ale się cieszę, że jedziemy do Paryża!

Żeby odpowiedzieć na gest powitania, Orłowska wstała i jak najdalej wyciągnęła przed siebie rękę. Choć nie było to łatwe, kobiety podały sobie dłonie.

– Henryka – przedstawiła się starsza pani. – Pierwszy raz będę za granicą – zdradziła.

– My też! To nasza podróż poślubna, miałam wielkie szczęście. Siedziałam w pracy, robiłam jednej klientce pazurki, a tu słyszę, jak mówią w radiu, że jest konkurs. Główna nagroda to wycieczka do Paryża. Skończyłam nakładać babeczce maskę odżywczą na bazie miodu z anyżem i myślę sobie: „Co mi szkodzi, wyślę SMS-a”. Dwa czterdzieści sześć niby piechotą nie chodzi, ale też nie majątek. Nie minęło dziesięć minut, oddzwaniają. Co się okazuje? – Zrobiła pauzę. – Wygrałam! Gdyby nie to, pewnie byłoby nas stać co najwyżej na weekend we Włocławku, prawda, Kacper?

– Prawda – potwierdził świeżo upieczony żonkoś, przewracając stronę.

– Wspaniale! – Zachwycona historią Orłowska klasnęła w dłonie.

– Aż nie mogę uwierzyć, że jutro będziemy w najbardziej romantycznym mieście świata! Tylko podróż mi się dłuży. Nie powiem, mój mężulek, jak to mówią: cud, miód i orzeszki. – Franka pogładziła chłopaka po języku na głowie. – Tylko kiedy wpadnie mu w ręce jakaś książka, wtedy zupełnie nie ma z nim kontaktu. Taki mi się trafił egzemplarz. Ale dobrze, lepiej tak, niż gdyby jak niektórzy jego koledzy z siłowni miał wysiadywać w pijalce. Przynajmniej popatrzę sobie na tego przystojniaka w domu. – Zatrzepotała pięknymi rzesami.

– Masz rację, moje dziecko – przytaknęła Henia.

– Kacper pracuje w bibliotece i to nie byle jakiej! W ich budynku na sufitach są freski z piętnastego wieku przedstawiające sceny z polowań.

– Mówisz o bibliotece na Pulczyckiego? – Henryce zaświeciły się oczy.

– Tak. – Franciszka z dumą zadarła brodę.

– Widziałam je! Coś cudownego! Byłam nimi tak oczarowana, że aż dwa razy poszłam z Towarzystwem Przyjaciół Nordic Walkingu na wycieczkę do zabytkowych budynków Łodzi. Sarenki, zające, dziki, arcydzieło! – emocjonowała się Henia.

– Mnie się najbardziej podobały krzaki borówek – odrzekła Franka. – Kacper ma fajnie, dla kogoś, kto uwielbia książki, trudno wyobrazić sobie lepszą pracę niż w bibliotece.

– A jaki jest twój ulubiony gatunek, drogi chłopcze? – zwróciła się bezpośrednio do mięśniaka Orłowska.

Kacper, po raz pierwszy od czasu kiedy po postoju wsiadł do autokaru, przymknął książkę.

– Nie jestem wybredny, jeśli chodzi o gatunki. Kiedyś brałem tylko fantasy, ale potem odkryłem horrory, kryminały, historyczne. Teraz wciągnąłem się w biografie, chociaż nie pogardzę również dobrą sensacją. Powiem tak: dopasowuję to, co czytam, do sytuacji. Na przykład przy kolacji wybieram kulinarne, w tramwaju – traktaty filozoficzne, na bieżnię najlepiej nadają się wojenne, przy wyciskaniu nóg – popularnonaukowe. W nocy, żeby nie budzić Franceski, biorę e-booki, wtedy głównie obyczaj, ale nie ma się co czarować, papier pod palcami to jednak papier i nie zastąpi go żaden czytnik.

– A co aktualnie masz, że tak powiem, na tapecie, młodzieńcze? – Orłowska z wielką radością użyła

określenia zasłyszanego podczas warsztatów nowoczesnej mowy, na których była ledwie tydzień temu w pobliskim domu kultury.

– Teraz akurat... – poczerwieniał na twarzy – „Przeminęło z wiatrem”. Nic innego nie było w domu – usprawiedliwiał się.

– Świetny wybór – pochwaliła Henryka. – Piękna historia, czytałam wiele razy, a i film doskonale zrobiony.

– Nawet pani nie wie, ile Kacper zna ciekawostek. – Dziewczyna ponownie włączyła się do rozmowy. – Mężuś, rzuć nam jakąś perełkę.

– Co druga kanapa w Europie jest produkowana w Polsce. – Od ręki spełnił prośbę ukochanej.

– Jeszcze coś – nalegała żona.

– Niech pomyślę... – Zadumał się. – O, wiem! Olej kokosowy jest świetny do konserwacji drewna. Idealnie nadaje się też jako kosmetyk, a ze względu na jego termostabilność można na nim smażyć.

– Nie pomyślałabym. Warte zapamiętania. – Henia była pełna uznania dla wiedzy bibliofila.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale niechcący usłyszałem państwa rozmowę o oleju kokosowym – rzekł łysy mężczyzna siedzący z przodu autokaru. – Pozwolę sobie dodać, że olej kokosowy jest również ceniony podczas pieczenia. Chętnie z niego korzystam. Jestem stylistą smaku – pochwalił się.

– Kim? – zapytała Francesca z grymasem niezrozumienia malującym się na jej ładnej, rumianej twarzy.

– Stylistą smaku – powtórzył nieco głośniej, zrzucając

brak zrozumienia na karb dzielącej ich odległości.

– Kucharzem – wyjaśnił France mąż, który miesiąc wcześniej czytał biografie słynnego na cały świat stylisty smaku Gaousta Koussta.

– W dużym uproszczeniu można tak powiedzieć – niechętnie przyznał szef kuchni, lekko wykrzywiając usta, po czym wyjął z torby podróżnej dwa plastikowe pojemniki i obszedł z poczęstunkiem każdą z osób znajdujących się w autokarze. – Proszę spróbować moich rurek z nadzieniem migdałowym z dodatkiem cukru fiołkowego. Do ich przyrządzenia wykorzystałem właśnie wspomniany przed chwilą olej kokosowy. Tych, którzy wolą wytrawne przekąski, mogę uraczyć wędzoną kiełbaską.

– Pan siada koło nas. – Frania wskazała mu rząd foteli obok siebie, kończąc przeżuwać rurkę.

– Witold, ale mówią na mnie Wiktuał – przedstawił się kucharz.

– Francesca, mój świeżo upieczony mąż Kacper i pani Henia. – Franciszka wzięła na siebie ciężar prezentacji. – O, właśnie! Mam genialną myśl. Może niech każdy się przedstawi i powie kilka słów o sobie. Tak będzie milej podróżować – zaszcebiotała. – Zacznę od nas. Tak jak mówiłam, mam na imię Francesca. Zajmuję się kosmetyką paznokci oraz dłoni.

– Jest w tym świetna – dopowiedział Kacper. – W minionym miesiącu zdobyła Laur Złotego Tipsa na Ogólnokrajowych Zawodach Specjalistek.

– Oj, zawstydzasz mnie. – Dziewczyna niedbale



machnęła ręką, a następnie sprostowała: – Kacper, nie wprowadzaj ludzi w błąd. Nie na Ogólnokrajowych Zawodach Specjalistek, ale na Ogólnokrajowym Turnieju Specjalistek. Jak człowiek chce być dobry w tym, co robi, to trzeba się szkolić, podążać za nowymi trendami, nie zaszkodzi również brać udziału w konkursach. Lubię swoją pracę, więc to dla mnie przyjemność – wyjaśniła. – Kacper od równo trzydziestu pięciu dni jest moim ślubnym. – Stylem dziobiącej ziarna kury ucałowała męża w policzek, a na dowód zawartego związku małżeńskiego uniosła do góry palec z lśniąca w promieniach słonecznych obrączką. – Ten przystojniak ma w życiu trzy miłości: na pierwszym miejscu mnie, na drugim książki, a na trzecim siłownię. Prawda?

– Się wie! – potwierdził jej mąż, na ułamek sekundy odrywając wzrok od zadrukowanej kartki.

– Pani Heniu, pani kolej – zwróciła się do Orłowskiej kosmetyczka.

– Mam na imię Henryka, od kilku lat korzystam z uroków wypoczynku na wcześniejszej emeryturze. Lubię aktywnie spędzać czas.

– Witold. – Teraz pałeczkę przejął stylistka smaku. – Jestem szefem kuchni w cieszącej się renomą łódzkiej restauracji. Specjalizuję się w mięsach oraz sosach, ale najbardziej lubię robić pasty. Ogólnie kocham gotowanie. Mam nadzieję, że podczas wycieczki poznam kuchnię francuską.

Elokwentny Wiktuał planował kontynuować prezentację, ale gdy nabierał powietrza do płuc,

znieczepniona oczekiwaniem na swoją kolej Krystyna bezpardonowo wcięła się do rozmowy:

– Krystyna oraz Stanisław – powiedziała, gdy tymczasem Stasiek cicho pochrapywał. – Mąż jest przedsiębiorcą... Chociaż nie, lepiej pasuje do niego określenie „odnoszący sukcesy biznesmen”. Od niedawna prowadzi wydawnictwo. We dwójkę plus sekretarka ciągniemy ten literacki wózek. – Poprawiła tipsem oprawkę okularów.

Francesca przerwała kobiecie równie nieuprzejmie, jak przed chwilą zrobiła to Krystyna wobec Witolda:

– A ty? Jak się nazywasz, czym się zajmujesz? – skierowała pytania do siedzącego na końcu bruneta, który spod daszka czapki dyskretnie przypatrywał się pozostałym podróżnym.

– Ja? – Mężczyzna speszył się.

– Ty. – Wskazała na niego palcem, żeby nie miał dłużej wątpliwości.

– Leonard. – Na moment zamilkł. – Leon. Piszę książki.

– O, więc siedzimy w jednej branży, może słyszałeś o naszym wydawnictwie? – Krystyna wymieniła nieznaną Henryce nazwę.

– Gdzieś mi się chyba kiedyś obiło o uszy – odpowiedział uprzejmie pisarz.

– Co wydałeś? – zainteresował się Kacper.

– Jedną powieść. – Leonard obserwował swoje trampki.

– Mów głośniej albo najlepiej przesiądź się bliżej! – krzyknęła Frania. – Strasznie się trzeba do ciebie wydzierać. Tak będzie wygodniej.

– Tu mi dobrze – odpowiedział Leon, teraz dla odmiany

przerzucając wzrok z butów na paznokcie u rąk.

– A co to za książka? Może ją czytałem. – Z fotela obok Franciszki wychynęła głowa, która praktycznie bez udziału szyi była przytwierdzona do szerokich barków.

– Może. – Pisarz był oszczędny w słowach.

– Dawno wydana? – dociekał Kacper.

– Niecałe trzy miesiące temu – wyjąwił mężczyzna.

Henryka uważnie przyjrzała się Leonowi. Według jej oceny brunet mógł mieć trochę ponad trzydzieści lat. Określiłaby go jako samotnika. Był postawny, miał ciemne oczy, pełne usta i męskie rysy twarzy. Tak, ten przystojniak mógłby złamać niejedno kobiece serce, oceniła. Spodobała jej się jego skromność. Ostatnie trzy zaliczone przez Henię spotkania autorskie obfitowały w pewnych siebie pisarzy, którzy aż zbyt obszernie rozprawiali o wydanych dziełach. Na tym tle postać Leonarda była dla Orłowskiej miłą odmianą.

– Ale kolega tajemniczy – uznała Francesca. – Zdradź nam tytuł, Kacper pożarł tyle książek, że kto wie, czy i twojej nie łyknął.

– „Inwazja pingwinów – ludojadów z Marsa – przymierze” – wyrecytował pisarz.

– Ale żeś pojechał. – Bibliotekarz gwizdnął z podziwem. – Nie kojarzę.

Orłowskiej zrobiło się szkoda Leonarda. Aż biło po oczach, że bycie w centrum uwagi nie sprawiało mu zbytnej przyjemności, dlatego pospieszyła z pomocą i zmieniła temat.

– Te rurki są wyśmienite! Mają taki wyjątkowy aromat.

– To zasługa cukru fiołkowego, sam osobiście tłukłem go w moździerz.

– Kto by pomyślał, żeby jeść fiołki. Widziałam wcześniej w telewizji, że ozdabiają sałatkę bratkami, ale fiołki? – Starsza pani była mile zaskoczona.

– Eksperymentuję z różnymi naturalnymi składnikami, czasem wyjdzie, czasem nie, ale i tak warto próbować, bo można otrzymać nowe, bardzo ciekawe smaki. – Wiktuał zawsze i wszędzie z najwyższą przyjemnością rozprawiał o swojej profesji.

– A ta kiełbasa... – Orłowska przez chwilę szukała określenia najlepiej oddającego jej wspaniały smak.

– Cymesik – wybełkotał kierowca z ustami pełnymi wędzonki.

Stanisław nagle chrapnął o dwa tony głośniejsze niż dotychczas.

– Stasiek! – Żona szturchnęła go w bok.

– Co? Co? – Wyrwany z drzemki rozejrzał się wokoło. Był zdezorientowany.

Krystyna wetknęła mu do jednej ręki kiełbasę, a do drugiej rurkę. Nie trzeba było go bardziej zachęcać, od razu zatopił zęby w przekąskach.

– Właśnie! Cymesik! – powtórzyła Henia, taktownie udając, że nie zauważyła ani donośnego chrapnięcia, ani szturchańca.

– Można jeszcze jedno? – Franka wyciągnęła rękę. – W życiu nie jedliśmy lepszych ciastek, prawda, Kacper?

– Prawda – potwierdził ochoczo mąż, wgrzyzając się w kolejne dwie rurki, które poprawił kawałkiem

wędzonki.

– Proszę brać, mam jeszcze jedno pudełko. Miód na moje serce, kiedy widzę, że smakuje.

– Naprawdę pyszne – pochwalił pisarz, kończąc swoją kiełbasę.

– Koniecznie muszę zabrać na ten deser moją przyjaciółkę. Jak nazywa się restauracja, w której pan pracuje? – spytała Krystyna.

– Kaczy Pipel. Niestety szef nie włączył rurek, zresztą podobnie jak i kiełbasy, do menu. – Wiktuał skrzywił się. – Kiedy coś robię, wybieram tylko naturalne składniki, stosuję zdrowsze zamienniki i zawsze chcę mieć pewność, że produkty są świeże. Czy pomyślelibyście państwo, że w tych rurkach nie ma ani grama białej mąki i białego cukru?

– Nie może być! – Przewodniczka była tak zszokowana, że na chwilę oderwała się od serialu, aby przyjrzeć się z podziwem słodkości. Informacja, że należy ją zaliczyć do zdrowej żywności, sprawiła, że schrupała rurkę z jeszcze większym apetytem niż osiem poprzednich.

– Na przykład taka kiełbaska – stylista smaku był na fali – można ją uwędzić sztucznie, szast-prast, sypnąć tego, tamtego i gotowe, ale czy to czasem nie szkodzi człowiekowi? Chyba każdy wie, jak jest. Ale moje podejście nie wychodzi korzystnie z ekonomicznego punktu widzenia.

– Ludzie otworzyli oczy, wracają do natury. – Orłowska postanowiła wyrazić swoje zdanie. – Jak na mój gust niektórzy trochę cudują, na przykład podczas ostatniego

kursu gotowania w klubie garnizonowym uczyli nas, jak zrobić mleko z ryżu. Mleko z ryżu... Mnie nie podeszło, ale żeby sobie wyrobić zdanie, czy coś jest smaczne, czy nie, trzeba spróbować. No i zawsze to lepsze niż fast foody. Według mnie restauracja serwująca posiłki z naturalnych produktów pękałaby w szwach.

– Tak samo mówiłem właścicielowi, ale ma odmienne zdanie.

– Drogi panie, w takim razie może czas na własny biznes – zasugerowała delikatnie Henryka.

Witold milczał, przez chwilę poza pracą silnika autokaru słychać było jedynie miarowe chrupanie, w końcu jednak zdecydował się przemówić. Jego wzrok był dziwnie rozbiegany.

– Myślałem o tym, nawet niedawno byłem zaledwie o krok od założenia swojego interesu, ale się nie udało. Stuknęła mi czterdziestka, najwyższy czas, żeby się ustatkować, a przez nieregularne zmiany nawet nie mam kiedy kogoś poznać. Rodzina za granicą, znajomości dawno się rozpadły. Restauracja, w której byłbym sobie szefem, to dla mnie nie tylko szansa na autorską kuchnię, ale również takie zorganizowanie czasu, żeby starczyło go dla rodziny. Tylko że na start trzeba mieć kapitał, którego jeszcze się nie dorobiłem.

– Pan wejdzie z kimś w spółkę – poradziła kosmetyczka.  
– Sama kiedyś o tym myślałam, ale potem trafiłam na świetny salon, gdzie pasują mi warunki, więc dałam sobie spokój.

– Raz już miała być spółka, narobiłem sobie nadziei,

a potem nic z tego nie wyszło – odpowiedział półgębkiem Wiktuał.

– Przysłuchuję się państwa rozmowie – Stanisław wytarł w chusteczkę utłuszczone od kiełbasy palce – i w pełni muszę się zgodzić, że kiełbaska jest przepyszna. Bez dwóch zdań zna się pan na swoim fachu. Ale do ciastek osobiście nie użyłbym tak dużo proszku do pieczenia, dostałem po nim niestrawności. – Nalał sobie z termosu do kubka trochę naparu z rumianku.

Oczy Wiktuała niebezpiecznie się zwężyły.

– Ale co kto lubi, oczywiście nie śmiałbym pouczać mistrza. – Stasiak próbował wycofać się rakiem. Poniewczasie zorientował się, że popełnił błąd. – Nie każdy ma taki delikatny żołądek jak ja.

– Jeśli dostał pan niestrawności, to od tej wielkiej kaszanki ze smażoną cebulą z gospody, a nie po moich rurkach. Gdybym zjadł to, co pan, chyba by mi pękł wrzód żołądka – warknął kucharz. – I wypraszam sobie insynuacje, że skorzystałem tutaj z proszku do pieczenia!

Zebrani z zaangażowaniem obserwowali rozwój wypadków, niczym na meczu ping ponga obracając głowy w stronę osoby, która w danej chwili była przy niewidzialnej piłce.

– Musiały mnie zmylić kubki smakowe. Najmocniej przepraszam. – Stanisław ukłonił się nisko, kończąc tym sposobem rozgrywkę.

– Przyjmuję przeprosiny. – Stylista smaku darował zniechęcenie, choć mimika jego twarzy mówiła coś zupełnie innego, a przynajmniej tak odczytała ją Henryka.

– Jedzenie w tej spelunie było żenujące. Jedynie to dobre, że dali mi wrzątku do rumianku, bo inaczej w życiu nie strawiłbym tej całej smażeniny. – Stanisław skrzywił się na wspomnienie niedawnego posiłku i duszkiem wypił zaparzone zioła.

Żadne wrażenie towarzystwo, które straciło nadzieję na dalsze emocje, wróciło do stanu letargu charakterystycznego dla podróży w rytmicznie bujającym się autokarze.



## ROZDZIAŁ 4

– A pan gdzie?

Donośny głos kierowcy wyrwał Orłowską z drzemki. Czujna Henryka zwróciła oczy w kierunku obiektu wzburzenia Irka.

– Do toalety – odpowiedział niewzruszenie Stanisław, zbliżając się do WC.

– Żart jakiś? – huknął Ireneusz.

– Nie bardzo rozumiem – przemówił dumnie Stasiak, z dłonią zawieszoną na klamce broniącej dostępu do toalety.

– Pewnie po tych pańskich opowieściach o rewelacjach żołądkowych kierowca ma stracha, że idzie pan na dwójkę – podpowiedział usłużnie Kacper.

– Proszę? – Stanisław nie zrozumiał albo przekonująco udawał. – Na co idę?

– Może ja pomogę. – Henryka z radości zatarła dłonie: oto nadarzała się idealna okazja, żeby po raz drugi tego dnia skorzystać z wiedzy przyswojonej na warsztatach nowoczesnej mowy. – Innymi słowy, ten sympatyczny młodzieniec chciał powiedzieć, że pan Irek pewnie obawia się, że udaje się pan do WC z grubszą potrzebą. – Starsza pani spojrzała na dostojnego jegomościa wymownie.

– No wiecie państwo! To wprost oburzające, żebym miał się spowiadać, w jakiej sprawie idę do WC! – Stasiak

aż głośno dyszał ze zdenerwowania.

– A żadne spowiadać – zainteresował Ireneusz. – Co tam pana sprowadza, interesuje mnie mniej niż wczorajszy deszcz w Czeczenii. Jest zakaz korzystania w moim autokarze z kibla. Chce się za potrzebą? Zaraz będzie stacja benzynowa, a tam rób pan, co ci się żywnie podoba, a nie mi tutaj smrodzić i zanieczyszczać! Kto ma niby po panu sprzątać? Ja? Ulka?

Przewodniczka uniosła znad ekranu głowę z prędkością żmii wbijającej zęby w mysz, a jej spojrzenie nie pozostawiało nawet cienia wątpliwości, że ani myśli zajmować się czyszczeniem WC.

– A może pan we własnej osobie? – nie ustępował wzburzony Ireneusz.

– Bezczelność! – Stanisław podniósł głos, jednak cofnął rękę z klamki. – Słyszysz to, Kryśka? Płacimy za wycieczkę, więc mamy prawo korzystać z wyposażenia autokaru!

Krystyna uparcie milczała.

– Panie, ja biuro podróży wynajmuję tylko autokar i własne usługi, nigdy nie było mowy o kiblu. Zresztą ja swoje powiedziałem. Za moment będzie postój i korzystaj pan sobie na stacji, z czego dusza zapragnie – uciął dyskusję kierowca.

Zbulwersowany Stasiek wrócił na swoje miejsce, cicho złorzecząc pod nosem. Przez pełne dwadzieścia sześć minut, które upłynęły do obiecanego postoju, z uwagą liczył mijane stacje benzynowe, na bieżąco podając aktualny stan do wiadomości współtowarzyszy. Niewzruszony Irek wpatrywał się w nierówną drogę, umiejętnie lawirując

między kolejnymi ubytkami w asfalcie. Do czasu, gdy jego oczom ukazał się widok tablicy z zielonym koczodanem, którego odwłok był przytwierdzony do podświetlonej rozpiski z okazjnymi cenami benzyny oraz oleju napędowego. Sześćdziesiąt sekund później okazało się, że wizerunek niecodziennie ubarwionego naczelnego zwiastował obiecany przystanek.

– Dojechaliśmy – oznajmił kierowca. – Kupka, siusiu, kawka, kanapka, rozprostować nogi. Kolejny postój za dwie godziny, więc lepiej dobrze wykorzystajcie czas. Widzimy się za dwadzieścia minut. Wysiadka.

Orłowska wraz z pozostałymi podróżnymi została praktycznie wypchnięta z pojazdu.

Najpewniej ze względu na atrakcyjne ceny paliw stacja benzynowa była oblegana przez tłumy. Henryka, jako doświadczona uczestniczka wycieczek autokarowych, szybko oceniła, że dane im dwadzieścia minut wobec osiemnastoosobowej kolejki do WC to naprawdę niewiele. W zaistniałej sytuacji najpierw należało załatwić potrzebę pierwszoplanową, fizjologiczną, a dopiero później, jeśli wystarczy czasu, zająć się pozostałymi kwestiami. O dziwo, zdyscyplinowani podróżni uwijali się niczym w ukropie i po upływie zaledwie jedenastu minut Orłowska stanęła z naręczem samych pyszności w ogonku do trzeciej z ośmiu kas. Nagle coś ją tknęło. Natychmiast zanurkowała dłonią w torebce, po czym zbladła. Nie miała portmonetki. Potwierdziły się jej najgorsze przeczucia, choć trudno powiedzieć, jakim cudem udało jej się to bezbłędnie ocenić po trzech sekundach od wetknięcia ręki (zaledwie

do łokcia) do wypchanego wora pełnego dóbr wszelkiej maści. Starsza pani, tak jak stała, odłożyła na przypadkowej półce zakupy i popędziła w kierunku autokaru. Oby tylko drzwi były otwarte – pomyślała z nadzieją.

Z oddali rozpoznała MAXIMUSA 3000 w wersji DELUX pyszniącego się między dwoma innymi autokarami zdecydowanie niższej klasy. Dwadzieścia minut kurczyło się nieubłaganie. Henryka zdążyła minąć kilka pierwszych miejsc postojowych, zanim spostrzegła stojących obok autokaru Stanisława i Witolda, którzy rozprawiali o czymś z wielkim przejęciem. Kiedy kobieta znalazła się w ich polu widzenia, mężczyźni ucięli rozmowę.

– Otwarte! – wysapała sama do siebie, z ulgą wpadając do środka pojazdu. Chwyliła portmonetkę i wyskoczyła na zewnątrz.

– Cóż za nieodpowiedzialność! Jak można było nie zamknąć autokaru pełnego naszych rzeczy! To jest zaproszenie dla złodzieja! Kierowca i przewodniczka są lekkomyślni. Dobrze, że się wróciłem. Zostanę tutaj, żeby przypilnować wszystkiego – zaofiarował się nastroszony Stanisław.

– Godne pochwały poświęcenie – oznajmiła Henia, znów startując do biegu. Dobrych sto metrów przed sobą zobaczyła plecy oddalającego się Wiktuała.

\* \* \*

Zdyszana Henryka dotruchtała do autokaru na sekundę przed godziną ustalonej zbiórki. Do kompletu brakowało Franciszki oraz Irka. Korzystając z porady kierowcy,

uczestnicy wycieczki do końca rozprostowywali nogi i delektowali się jednym z pierwszych słonecznych dni tego roku.

– Kolejne opóźnienie – narzekał swoim zwyczajem Stanisław. – Kierowca wyznacza, o której mamy być na postoju, a potem sam nie przychodzi na czas. A Francesca wcale nie lepsza. Pewnie pudruje nos, a my tutaj czekamy – rozkręcał się.

– Uważaj pan, z kim tańczysz! – Kacper zareagował błyskawicznie. Zakochany po uszy ani myślał pozwalać, żeby ktoś obrażał jego małżonkę. – I żeby było jasne: dla pana pani Francesca, nie żadna Francesca. – Wypiął pierś i zaczepnie uniósł brodę.

– Ale po co od razu taka agresja? – Pod wpływem reprimendy ze strony lepiej niż dobrze zbudowanego chłopaka mężczyzna wzniósł dłonie w obronnym geście. – Bez kierowcy i tak nigdzie nie pojedziemy. Nie ma sensu, żeby pani Francesca niepotrzebnie się spieszyła. – Spotulniał niczym baranek.

Kacper rozluźnił mięśnie, wyciągnął zza pazuchy zakupione na stacji benzynowej kieszonkowe wydanie Homera i zabrał się do czytania.

Po upływie pięciu minut na horyzoncie zamajaczyła zbliżająca się w pośpiechu postać Ireneusza niosącego dwa wielkie wypchane płócienne wory.

– A co tak państwo stoją? Wchodzić do środka! – Już z oddali zabrał się do zaganiania wycieczkowiczów na swoje miejsca, niczym pies pasterski owce do zagrody. – I po co się tak rozłazić po parkingu? – furczał z kwaśną

miną.

Efekt zaskoczenia zdziałał cuda. Podróżni, którzy od spóźnionego Irka oczekiwali raczej przeprosin niż rozkazów wydawanych władcym tonem, bez słowa sprzeciwu jeden za drugim posłusznie wsiadali do autokaru.

Irek dobrą minutę obserwował, czy jego polecenie jest należycie wykonywane. Upewniwszy się, że dwie pierwsze osoby już grzecznie moszczą się w fotelach, a pozostałe po kolei znikają w środku pojazdu, postawił worki na chodniku. W momencie gdy otworzył klapę pustego luku bagażowego, na miejsce zbiórki dobiegła Franka.

– Coś pan zgubił. – Uczynna Franciszka podniosła z ziemi i podała kierowcy poskręcany ususzony liść, który wypadł przez dziurkę w naderwanym płótnie.

Kierowca spojrział przez ramię na dziewczynę, a następnie na spoczywające w jej dłoni znaleźisko i ryknął:

– Co mi tu pani jakieś śmieci podaje?! – Jego policzki zrobiły się ogniście czerwone.

Henryka, której połowa znajdowała się we wnętrzu autokaru, wystawiła z ciekawością głowę na zewnątrz.

– Musiało panu stąd wypaść. – Franka wskazała palcem rozdarcie materiału.

Ireneusz chwycił oba worki jedną ręką i z rozmachem wrzucił je do luku, po czym z hukiem zatrzasnął klapę.

– Bzdury! To nie jest moje – zaprzeczył, jak na gust starszej pani trochę zbyt energicznie. – A w ogóle co to

za spóźnianie się? – Przeszedł do ataku. – Dla kogo ja ustaliłem tę godzinę? A jakbym zdążył odjechać? Wsiadać.

– Przepraszam – wydukała Franciszka, odruchowo wkładając liść do kieszeni kurtki, po czym dwoma susami znalazła się przy drzwiach.

Orłowska dłużej nie tamowała wejścia.

Kiedy spacyfikowana dziewczyna dołączyła do Kacpra, jeszcze przez chwilę rozważała, czy poskarżyć się mężowi na niegodne zachowanie kierowcy, jednak widząc nieobecny wzrok zatraconego w książce ukochanego, ten jeden raz postanowiła odpuścić gburowi.

– Twoje szczęście – wyszeptała, obserwując każdy ruch wąsacza, na ślepo namierzającego kluczykiem stacyjkę.

– Co? – zapytał roztargnionym głosem Kacper.

– Nic ważnego, nie przerywaj sobie, dziubasku – rzekła zadowolona ze swojej wielkoduszności Francesca.

Napojone, wyposażone w przekąski towarzystwo w najlepsze rozprawiało o tym i owym. Czwórka uczestników wycieczki zdążyła się całkiem niezłe zaprzyjaźnić. Żeby było wygodniej rozmawiać, Franciszka i Kacper przenieśli się do rzędu przed Henrykę, a Witold zajął fotel przed Krystyną. Rozbawieni, nawet nie zauważyli upływającego czasu.

– Kryśka, gdzie przełożyłaś moją gazetę? – Znienacka głośno i donośnie zapytał zirytowany Stanisław. – Nie bierz, jeśli nie odkładasz na miejsce!

– A daj mi spokój. Niby co ja mam wspólnego z twoją gazetą? Wsadziłeś w jakąś dziurę i teraz nie pamiętasz gdzie. Wiecznie coś ci ginie. – Krystyna przewróciła oczami.

– Nic podobnego! – obruszył się jej mąż, przetrzepując plecak. – Doskonale pamiętam, że włożyłem ją do bocznej kieszeni, a teraz jej nie ma. To na pewno twoja sprawka.

– Daj mi to! – Żona wyrwała mu z rąk plecak, odsunęła jeden z zamków błyskawicznych, następnie drugi, a po chwili powiedziała z triumfem, podając mu gazetę: – Masz! Zaplątała ci się w zapasową koszulkę.

Stanisław zmarszczył czoło i odebrał z rąk Krystyny plecak oraz gazetę. Nadal nabuzowany, przerzucił kilka stron dziennika, a następnie zawołał:

– Pani Urszulo! Pani Urszulo!

Kierowca od niechcienia machnął dłonią przed twarzą kobiety, uzyskując tym sposobem jej uwagę.

– Co chciałeś? – zwróciła się do kolegi.

– Ja nic. – Irek wzruszył ramionami. – Woła cię ten sam co zawsze.

Ulka w lot odgadła, o kogo chodzi:

– Słucham? – Niechętnie skierowała pytanie do Staśka.

– Autokar ciągle podskakuje na dziurach, a razem z nim mój żołądek – ogłosił wszem wobec Stanisław, nie spotykając się jednak z przejawami współczucia ani nawet nikłego zainteresowania ze strony obecnych w autokarze (łącznie z zapatrzoną w krajobraz za oknem małżonką). – Skończył mi się rumianek – powiedział, po czym wyczekująco zapatrzył się na przewodniczkę.

– Tak? – Urszula przekrzywiła głowę na prawo, spodziewając się dalszego ciągu. – A tak bardziej konkretnie jak mogę panu pomóc?

– Pewnie masz lecieć na łąkę i nazbierać – zażartował



konspiracyjnym szeptem Irek w odpowiedzi na przedłużające się milczenie Stanisława.

Biznesmen, niezrażony uszczypliwą uwagą, oznajmił po chwili:

– Muszę zaparzyć sobie nową porcję. Natychmiast. Pani mi tu naleje do pełna wrzátku z automatu. – Wyciągnął przed siebie termos, przenosząc wzrok z Ulki na ustawioną pośrodku autokaru maszynę do przyrządzania gorących napojów.

– Moja droga, skoro i tak będziesz uruchamiała to чудо, i ja nie odmówiłabym kawki – dołączyła do prośby Henryka.

– Dla mnie czarna, bez cukru – rzucił Kacper znad książki.  
– A ty, Francesca, jaką chcesz?

– O, ja od wejścia marzę o kubku gorącej czekolady, na sam widok tej naklejki – tu Franka wskazała na jedno z piętnastu zdjęć przedstawiających napoje dostępne w okazałych rozmiarów automacie GRANDE PICIANDE 5000 – ślinka mi cieknie.

– Wrzáttek? Woda? – krzyknął zniecierpliwiony na cały głos Irek. – Żadna kawa, a broń Boże gorąca czekolada! Od tych ulepow zatykają się dysze, osad pokrywa rurki, a woda zostawia kamień. Ani mowy nie ma, żeby korzystać z minibarku. Zaraz będzie kolejny postój, tam sobie do woli pijcie, co tylko chcecie. Będą mi tu niepotrzebnie zużywać autokar – burzył się.

– Co to ma być? Chyba coś pani z tym zrobi? – Stanisław szukał pomocy u przewodniczki. – Ze względu na dolegliwości żołądkowe potrzebuję wrzátku teraz,

natychmiast, nie za chwilę.

– Ale czego pan niby ode mnie oczekuje? Irka autokar, Irka prawo. Mnie tu wolno tyle samo co i panu. – Ulka rozłożyła bezradnie ręce.

– Uprzedzałem podczas ostatniego przystanku, że kolejny postój będzie dopiero za dwie godziny, trzeba było myśleć przyszłościowo – dolał oliwy do ognia Ireneusz.

– O nie! Tego już za wiele! – zaperzył się Stasiek.

– Co się pan tak emocjonujesz? Dwa machnięcia kitą, a zatrzymamy się w Muzeum Motka i Szydełka, to sobie tam pan przy okazji oglądania gablotek poprosisz w sklepiku z pamiątkami wody. – Kierowca jakby odrobinę złagodniał.

Twarz Stanisława z sekundy na sekundę przybierała kolor coraz intensywniejszej purpury. Teraz już wszystkie pary oczu spoczęły na mężczyźnie.

– Może ja bym mogła pomóc? – zaofiarowała się Orłowska, zabierając się do szukania w torbie z prowiantem swojego termosu. – Chyba została mi kapka gorącej wody.

– Pani Heniu, lepiej się nie wtrącać – odpowiedziała cicho Franciszka, nie odrywając wzroku od Stanisława.

Stasiek dłużej nie wytrzymał.

– Kupiliśmy wycieczkę do Paryża, a nie objazdówkę po pseudorozrywkach szlakiem najniższej klasy polskich dróg! Złożę na was skargę do biura podróży! Opowiem im, co tu się wyprawia, nie zostawię na was suchej nitki. Zamiast najkrótszą trasą do celu, wleciecie nas na okrętkę, żeby zahaczać o miejsca, gdzie dają wam procent

za przywożenie złańionych atrakcji naiwnych turystów z pełnymi portfelami.

Urszula zerknęła na mężczyzną znad szkiele przeciwsłonecznych okularów.

– Co? Zdziwiona? Myślała panienska, że nie widziałem, jak wtykali wam do łap pieniądze w tej spelunie? Muzeum Motka i Szydełka, dobre sobie! Zamiast wieży Eiffła mamy oglądać wełnę? Też mi rozrywka. Ciekawe, czy w ogóle dojedziemy do Francji, jak tak dalej pójdzie. – Stanisław coraz bardziej się rozkręcał. – A państwo siedzicie jak te barany. – Tym razem zwrócił się do pozostałych uczestników podróży.

– Co się mamy spinać, jesteśmy na urlopie. – Kacper wzruszył ramionami.

– Nie wiem jak innych, ale mnie nazwa muzeum zaintrygowała. Chętnie zajrzałabym do niego na chwilę – przemówiła nieśmiało Orłowska.

– Na wypoczynku pan jesteś, zrelaksuj się – poradził Irek.

– Zrelaksować się? – Słowa kierowcy ostatecznie wyprowadziły Staśka z równowagi. – Zaraz zobaczymy, jak się pan zrelaksuje, kiedy powiem, co widziałem za stacją benzynową. Pieniądze z ręki do ręki. Pan mu kasę, on panu wory. W ocieplanych gumiakach i uszance daleko mu było do pracownika obsługi, oj daleko.

Wpatrzony w drogę Ireneusz ani drgnął. Stanisław uśmiechnął się przebiegle.

– Kontrabanda! Nos mi podpowiada, że w workach była kontrabanda, z pewnością lewe papierosy. No co, może się mylę? Chyba najwyższy czas wezwać policję.

– Panie, ale żeś pan wymyślił – zaśmiał się tubalnie kierowca, nie odrywając wzroku od jezdni. – Kupiłem od chłopca ziemniaki, bo mi się skończyły te, co kupiłem na zimę. Masz pan swoją kontrabandę. Ale policjanci by mieli ubaw, jakby ich wezwać do moich pyrów. Na przyszłość dam w gratisie do wycieczki dobrą radę: lepiej pilnować swojego nosa, niż wtykać go w cudze sprawy. Dobrze, że trafiło na mnie z tymi głupawymi podejrzeniami, mam poczucie humoru, ale jakby ktoś okazał się bardziej nerwowy, nie byłoby tak miło.

Henryka zmarszczyła czoło. Doskonale pamiętała, jak kierowca bez najmniejszego trudu rzucił na raz dwoma wielkimi i wypchanymi workami do luku bagażowego. Gdyby znajdowały się w nich ziemniaki, Irek do takiego wyczynu musiałby mieć siłę Pudzianowskiego. Starsza pani zlustrowała pękaty brzuch Ireneusza ukryty pod wędkarską kamizelką. Nie, na strongmana to on nie wyglądał, jednak swoim zwyczajem taktowna, powstrzymała się od komentarza.

Ulka westchnęła z irytacją, podeszła do Stanisława i wyjęła z jego dłoni termos.

– Do pełna? – zapytała bezbarwnym głosem.

– Ani się waż – syknął kierowca.

– Oj, daj już spokój. – Przewodniczka straciła cierpliwość.

– Do pełna. – Triumfującym głosem potwierdził Stasiek.

– Wiadomość do ogółu: muzeum będzie ostatnim nadprogramowym przystankiem, do Paryża dojedziemy na czas – powiedziała Urszula, a następnie nalała wrzątku, zakręciła pojemnik i oddała go Stanisławowi. W milczeniu

zgodnie z zebranymi zamówieniami przygotowała gorące napoje dla pozostałych, nie zapominając również o sobie.

– Wybierają po tanioci wycieczkę autokarową, zamiast szarpnąć się na bilet na samolot, a potem narzekają, że po polskich drogach nie jeździ się jak po gładkim masełku – burczał nadal pod nosem Ireneusz. – Tylko by pili i pili. Gorącej czekolady się zachciewa!

– Irek, skończ! – Ulka najwyraźniej była na wyczerpaniu.

Kierowca zamilkł, jednak jego wąsy długo jeszcze falowały, zdradzając, jak bardzo był zagniewany.

## ROZDZIAŁ 5

Humorzasta wiosenna pogoda postanowiła pokazać, co potrafi. Raptownie zerwał się silny wiatr, który przyniósł z zachodu ciężkie deszczowe chmury. Po przyjemnie grzejącym przez szyby słońcu nie pozostał nawet ślad. Zrobiło się ciemno, a wkrótce potem lunęło jak z cebra. Choć na dworze chłód dawał się we znaki, w klimatyzowanym autokarze było ciepło i przyjemnie.

– Zanim dotrzemy do naszego kolejnego przystanku, chciałabym powiedzieć państwu kilka słów o muzeum. Powstało na początku lat pięćdziesiątych dzięki dobrej woli i aktywności miejscowej ludności. Zgromadzono w nim bardzo wartościowe zbiory motków oraz szydełek. Myślę, że nawet same nazwy wystaw będą dla państwa wielką zachętą. – Urszula dla odświeżenia pamięci łypnęła okiem do segregatora i przytoczyła: – „Zbiory wełny rodziny Magnoliowskich”, „Nici z futra alpaki”, „Starodawne szydła w piętnastu różnych rozmiarach”, „Kordonek w twórczości ludowej”. Oczywiście wystaw jest o wiele więcej. Serdecznie zapraszamy do oglądania – zakończyła z chwilą, gdy koła autokaru znieruchomiały.

– Myślę, że odmówię sobie tej wątpliwej przyjemności i poczekam tutaj – stwierdził Stasiek, siorbiąc napar z rumianku. – A ty, Krystyna, idziesz czy zostajesz?

– Idę – postanowiła jego żona, naciągając na dłonie

skórzane rękawiczki.

– Wszyscy wysiadają. – Kierowca się nie patyczkował. – Chcę zamknąć autokar.

– A jeśli ktoś nie zdecyduje się wyjść? – Stanisław najwyraźniej szukał zaczepki.

– Po co pan tak ciągle staje okoniem? – zapytał Kacper, zasuwając zamek błyskawiczny kurtki. – Ubędzie panu?

Stanisław zmarszczył brwi, przez moment głęboko nad czymś rozmyślał, a następnie na jeden raz dopił rumianek z kubeczka, strzepnął ostatnie krople na podłogę, zakręcił termos i odłożył go. Z głośnym westchnięciem wstał i idąc tuż za Henryką, jako ostatni wyszedł z autokaru.

Muzeum Motka i Szydełka okazało się zaskakująco duże. W trzynastu salach rozlokowanych na dwóch piętrach budynku umieszczono ogromną liczbę eksponatów. Orłowska z zapartym tchem przeskakiwała od gabloty do gabloty, pstrykając zdjęcia.

– Czas wracać do autokaru. – Urszula pojawiła się znienacka za plecami starszej pani.

– Ojej, moja droga, już trzeba? Tak szybko? – Henia była niemile zaskoczona. – Jestem dopiero w połowie! – jęknęła.

– Może pani znowu przyjechać innym razem, ale teraz na nas czas. – Błagalne spojrzenie Orłowskiej nie zrobiło na przewodniczkę wrażenia.

Panie po drodze zgarnęły pozostałych uczestników wycieczki, którzy porozchodzili się po muzealnych salach, polowali na pamiątki w sklepiku bądź po prostu wietrzyli się przed wejściem, owinięci szalami pod sam czubek zaczerwienionych od zimna nosów.

Irek na widok zbliżającej się gromadki zakończył rozmowę z Wiktuałem, oderwał przyklejone do autokaru ramię, strzelił z palców petem o ziemię i otworzył drzwi.

– Komu w drogę, temu czas – oznajmił. – Wsiadajcie. – Kiwnął na stojącego najbliżej wejścia kucharza.

Zaraz za nim do pojazdu wkroczyła Orłowska. Ustawieni w zwarty ogonek pozostali podróżni usiłowali jak najszybciej schować się w środku MAXIMUSA 3000 w wersji DELUX przed przesywającym ich zimnem.

– Proszę się tak na mnie nie pchać, przecież się przewrócę! – Urszula obsztorcowała napierającą na nią Frankę. Gdyby nie silny chwyt ukrytej pod wełnianą rękawiczką dłoni Kacpra, przewodniczka z pewnością upadłaby na podłogę. – Każdy wejdzie!

– Przepraszam – bąknęła zawstydzona dziewczyna.

Witold skończył wpychać kurtkę na półkę nad swoim siedzeniem. Miał usiąść, gdy został przypadkowo poczęstowany kuksańcem od szamocącej się z płaszczem Henryki.

– Pomogę pani – zaofiarował się.

– Och, dziękuję! Tak tu ciasno... – odparła wdzięczna Orłowska, której jeden z guzików płaszcza zaplątał się w wełniany szalik.

Leon stanął krok od nich, patrząc Wiktuałowi na ręce, a ponieważ Witold szczególnie tego nie lubił, warknął do pisarza:

– Przejdź! – Po czym przykleił się do rzędu foteli.

Starsza pani uczyniła dokładnie tak samo, robiąc możliwie jak najwięcej miejsca. Mężczyzna wciągnął



brzuch i bez słowa minął ich bokiem. W końcu oswobodzona z okrycia wierzchniego i zawstydzona całą tą sytuacją Henia ciężko opadła na fotel, wlepiając wzrok w sklep spożywczy, obok którego zaparkowali.

Chwilę później uczestnicy wycieczki zachwyceni wizją, że już niebawem będą w Paryżu, w pełni zwarci i gotowi czekali na odjazd. Gdy autokar wyjechał na drogę, stylistka smaku wyjął z torby plastikowy pojemnik.

– Po rogaliku z powidłami z aronii wzbogacanymi kapką dereniówki? Własnej roboty – zapewnił, podając dalej wypiek.

– Wyborne! – nie kryła zachwyty Henryka.

– Pysznotki – dorzuciła Francesca.

– Pan to zna się na rzeczy – przyznała zazwyczaj powściągliwa Krystyna.

– Gdzie jest mój termos? Kryśka, przełożyłaś mi go? – wydukał niewyraźnie Stanisław z ustami wypchanymi rogalikiem.

Wiktuał, który oczekiwał kolejnych pochwał pod swoim adresem, spojrzął na mężczyznę nieprzychylnie.

– Ty i ta twoja skleroza – mruknęła małżonka. – Gdzie go ostatnio miałeś?

– Był w oparciu fotela, włożyłem go tam przed wyjściem do muzeum. Zawsze go tam wkładam.

Krystyna z politowaniem spojrzała na pustą kieszeń, w której według zapewnień męża powinna znajdować się zguba.

– Przełożyłeś go i zapomniałeś o tym, to zaczyna się robić nudne – stwierdziła.

– Jak ci mówię, że był w oparciu, to był! – Mąż podniósł głos.

– Może wypadł i potoczył się pod fotel? – Krystyna od niechcienia zerknęła na podłogę.

– Na pewno kierowca nie zamknął autokaru i ktoś mi go ukradł – zdenerwował się Stanisław.

– Autokar był zamknięty podczas postoju. – Po raz kolejny Ireneusz wykazał się nadzwyczaj dobrym słuchem oraz refleksem. – Ładnie to tak? Wepchnąć gdzieś termos, a potem rzucać bezpodstawne oskarżenia? Zajrzyj pan pod fotele, do plecaka, na półkę.

Stanisław za grosz nie uwierzył kierowcy, że zamknął autokar na czas postoju, ale dla pewności zabrał się do sprawdzania w podpowiedzianych miejscach.

– Kryśka, rzuć okiem na półkę nad sobą – polecił małżonce, a sam na ślepo badał nogą przestrzeń pod przeciwległym siedzeniem.

– Zacznij pić lecytynę – syknęła kobieta, odkładając na bok kolorowy magazyn. Wstała i centymetr po centymetrze macała ręką półkę. – Jest – powiedziała, machając mu przed nosem zgubą. – Był pod twoim płaszczem.

– Ja go tam nie włożyłem! – zaprotestował mężczyzna, odbierając z rąk Krystyny pojemnik.

– Jasne, to sprawa duchów, które weszły do autokaru przez zamknięte drzwi specjalnie po to, żeby zrobić panu dowcip. – Kierowca miał niezły ubaw.

Stasiek wpatrywał się w trzęsące się ze śmiechu plecy Ireneusza, nie powiedział jednak ani słowa. Rozsierdzony,

wypił za jednym razem pełen kubek rumianku, w myślach układając treść skargi, jaką napisze do biura podróży na kierowcę. Zajęci jedzeniem i piciem wycieczkowicze przez pewien czas milczeli. Jako pierwsza odezwała się Henryka:

– Ekspozyty w tym muzeum były takie ciekawe. Zrobiłam dwadzieścia trzy fotografie. Nawet nie przyszłoby mi do głowy, że jest tyle rodzajów włóczki.

– A widziała pani w sklepiku breloki ze szpulką nici? – Francesca pokazała emerytce świeżo nabytą zdobycz.

– Dziecko kochane, ale ci się udało upolować perełkę! – Orłowska z zazdrością przyjrzała się bibelotowi.

– A ja tam myślę, że najlepsza była wystawa nici z futra alpaki – stwierdził Wiktuał, podsuwając pod nos Kacpra dopiero co wyjęte z torby kolejne pudełko z rogalikami.

– To ona nie była zamknięta na czas prac remontowych? – zapytała Henryka.

– Nie – zaprzeczył Witold.

– Zatem pani ze sklepiku wprowadziła mnie w błąd – westchnęła Henryka. – Teraz to na sto procent będę musiała wpisać Muzeum Motka i Szydełka na listę do ponownego odwiedzenia. – Wyjęła z torebki kajecik, który zrobiła podczas Warsztatów Kreatywnego Ozdabiania Przedmiotów Użyteczności Dnia Powszedniego organizowanych z myślą o mieszkańcach Bałut.

– A według mnie to było nudne i nieciekawe. Trzydzieści pięć złotych od osoby za wstęp! Zdzierstwo. – Ku niezadowoleniu pozostałych do rozmowy przyłączył się również Stanisław.

– Stasiek, może i drogo, ale raz nie szkoda wydać. – Uspokajającym głosem przemówiła do męża Kryśka. – Nie żałuję, że poszliśmy do tego muzeum. Moje serce podbiły naparstki. Taka precyzyjna robota!

– A tobie, młodzieńcze, co najbardziej się podobało? – Starsza pani skierowała pytanie do siedzącego z tyłu pisarza.

Leonard wydawał się nieobecny duchem, jakby wyrwany z rozmyślań. Spojrzał roztargnionym wzrokiem na Orłowską i po chwili zastanowienia stwierdził:

– Jakbym miał wybierać, to chyba te dywany na ścianach.

– Masz na myśli makatki? – dopytał Kacper.

– Faktycznie, tak je podpisali – przypomniał sobie pisarz.

– Flagi statków pirackich były makatkami – rzucił ciekawostkę Kacper, po czym wpakował piętnasty rogalik w całości do ust.

– Chodząca encyklopedia! – Francesca ucałowała męża w wypchany policzek.

– Pan da więcej tych rogalików. – Stanisław wyciągnął przed siebie rękę. – Paryż! Ludzie, Paryż! Kryśka, jutro będziemy w Paryżu, wyobrażasz to sobie? Nie mogę się doczekać. Tylu sławnych ludzi przechadzało się uliczkami, którymi i my będziemy spacerować. – Był wyraźnie pobudzony.

Henryka oderwała wzrok od kartki w notesie i znad okularów zerknęła podejrzliwie na mężczyznę. Podekscytowany Stanisław na cały głos jak najęty rozprawiał o wycieczce, wielkiej miłości do Francji,

Francuzów i wszystkiego, co z nimi związane.

– Śpiewamy! *Aux Champs Élysées purupupupu*, *Aux Champs Élysées purupupupu* – zaintonował. – Co jest, proszę państwa? Śpiewamy! Na co państwo czekają? – Chrupnął dwa rogaliki, zapił je łąpczywie ziółkami wprost z termosu, ledwie zdążył przełknąć, a już ponownie zawył: – *Aux Champs Élysées purupupupu*, *Aux Champs Élysées purupupupu*.

Kierowca, zapalony fan wszelkiej maści muzyki, dołączył do niego ochoczo, jakby zupełnie zapominając o ich wcześniejszych waśniach. Również Franki, Henryki oraz Krystyny nie trzeba było długo namawiać. Panie, choć początkowo nieśmiało, zawtórowały mężczyznom. Urszula, której zawodzenie podróżujących autokarem nieco zagłuszało serial, zgodnie z zasadą „jeśli nie możesz ich pokonać, to się do nich przyłącz” zdecydowała się wziąć udział w zabawie. Wydawać by się mogło, że pewnego rodzaju problemem będzie nieznanostwo tekstu piosenki, jednak nic bardziej mylnego. Szóstce domorosłych piosenkarzy o wątpliwym słuchu muzycznym taki drobiazg absolutnie nie stanął na przeszkodzie. I pewnie długo mogliby tak wyśpiewywać, zapętłając się raz po raz, gdyby nie zaszła nieoczekiwana zmiana zachowania Stanisława – prowodyra tego muzycznego przedsięwzięcia.

– Patrzcie, jak chmury dziś nisko latają. – Mężczyzna wyciągnął przed siebie dłoń i spróbował chwycić jeden z cumulusów płynących za oknem po niebie. – Chodźcie tu do mnie, puszyste chmurki, chodźcie! – Wymachiwał rękoma.

Śpiewacy w różnym tempie przerywali wykonywanie znamienitego utworu (a przynajmniej jego skromnego fragmentu) Joe Dassina i z zaciekawieniem, niepokojem, tudzież ze zdziwieniem przyglądali się podskakującemu na fotelu mężczyźnie.

– Stasiek, co z tobą? – Krystyna odchyliła tułów w kierunku przejścia między fotelami, chroniąc się w ten sposób przed nieskoordynowanymi ruchami rąk małżonka.

– Panie Stanisławie, dobrze się pan czuje? – zapytała zatroskanym głosem Henryka.

– Nieziemsko! Jest nieziemsko! – piał z zachwytu. – Niech pani... – nie dokończył, gdyż właśnie w tej sekundzie chwycił za zawieszoną przed sobą torbę foliową i zwrócił do niej część zawartości żołądka.

– Co tam się dzieje? – Ireneusz, który aż do tej chwili ryczał ile sił w płucach, dopiero teraz spostrzegł, że śpiewa solo. Nikt jednak nie odpowiedział na jego pytanie, ponieważ pozostali zajęci byli natrętnym wpatrywaniem się w Stanisława, który niezrozumiale coś bełkotał.

– Trzeba wezwać pogotowie. – Orłowska wyciągnęła z kieszeni telefon i spojrzała na oznaczenia znajdujące się na słupku przy drodze. Zamierzała ustalić jej numer oraz kilometr, na którym się znajdowali.

– Stasiek! Stanisław! – darła się histerycznie coraz bardziej wystraszona Krystyna.

– Irek, zjedź na bok! – rozkazała Urszula, zrywając się na równe nogi.

– Kacper, otwórz okno, potrzeba mu powietrza – powiedziała do męża przejęta Francesca.

– Wody, dajcie mu wody – polecił Witold chwilę przed tym, zanim Leon zjawił się z butelką mineralnej obok foteli Stanisława i jego żony.

Jednak czynione zabiegi niewiele pomogły Stanisławowi, który po fali miotających jego ciałem drgawek znieruchomiał z szeroko otwartymi ustami oraz oczyma.

Krystyna chwyciła małżonka za ramiona i potrząsnęła nim silnie.

– Stasiek! Stasiek! Co z tobą?! Powiedz coś! – wrzeszczała.

Henryka, która właśnie kończyła rozmowę z dyspozytorką pogotowia ratunkowego, spojrzała na przekrwioną twarz mężczyzny, jego wysuszone usta, wystający z nich język i poprosiła kobietę o przysłanie nie tylko karetki, ale również radiowozu.

Irek zatrzymał autokar na poboczu, zapalił światła awaryjne i dołączył do ustawionych wokół Staśka osób.

– Trzeba mu sprawdzić puls – uznała Urszula. – Irek, ty to zrób.

– Puls? Jaki puls? Po co puls? – Krystyna była w szoku.

– Ja? – Kierowca zrobił krok do tyłu. – Lepiej niech się tym zajmie jego żona.

Kryśka złapała się za serce i z impetem usiadła na fotelu tuż przed mężem.

– Ja nie rozumiem. Co państwo insynuujecie? – Jej usta stały się niezdrowo białe i barwą przypominały lakier na paznokciach.

– Panie Kacprze, pan taki silny, męski, może pan by spróbował? – Przewodniczka zignorowała dociekania

potencjalnej wdowy.

– A mowy nie ma! – zaprotestowała Franka, zagradzając chłopakowi przejście. – Jak się okaże, że trup, to mi go potem będą ciągać po sądach.

– Ja sprawdzę. – Henryka zgłosiła się na ochotnika.

– A wie pani jak? – zapytała Ulka.

– Uczyli nas na kursie pierwszej pomocy podczas zajęć o pięćdziesięciu trzech sposobach przycinania róż. – Starsza pani, jak miała to w zwyczaju, udzieliła wyczerpującej odpowiedzi, a następnie podeszła do mężczyzny. Wzdrygnęła się prawie niewidocznie, po czym odważnie chwyciła go za przegub ręki. – Bardzo mi przykro – spojrzała ze współczuciem na Krystynę – obawiam się, że pani mąż nie żyje.

– O Boże! – jęknęła elegantka w drogim dresie, a z jej oczu popłynęły łzy, które o dziwo nie naruszyły misternie nałożonej na twarz grubej warstwy makijażu. Trzymając w trzęsącej się dłoni butelkę, podsunęła jej przez Leona, upiła łyk wody.

– Jak pech, to pech! – rzekła Franciszka, z przejęciem uderzając się otwartą dłonią w udo. – Tak umrzeć przed Paryżem! Żeby chociaż w drodze powrotnej. Mam rację, Kacper?

Gromy bijące z oczu Krystyny zniechęciły chłopaka do udzielenia odpowiedzi.

– Moi kochani, lepiej wyjdźmy z autokaru, nie ma co tutaj siedzieć, niedługo przyjedzie pogotowie. – Henryka, która zaledwie przed kilkoma miesiącami miała już wątpliwą przyjemność spotkać trupa podczas



wypoczynku w pensjonacie Yorkshire, zachowała zimną krew.

– Racja – zgodziła się z nią przewodniczka, zszokowana nie tylko widokiem denata, ale również tym, że setki obejrzanych seriali kryminalnych łamane przez sensacyjnych nie przygotowały jej na podobne sceny w świecie realnym. – Wychodzimy – wydała polecenie.

Gęsiego, trzymając się blisko siebie, cała ósemka, łącznie z chlapiącą wdową, pospieszyła do drzwi. Gdy wszyscy zwartą grupą stanęli na poboczu, zamilkli niczym zakłęci. W końcu Franka, która dłużej nie mogła znieść świdrującej jej w uszach grobowej ciszy, przemówiła:

– Co robimy dalej? Jedziemy do Paryża czy wracamy?

Kryśka obrzuciła ją zbulwersowanym spojrzeniem.

– Oczywiście, że wracamy! Przed chwilą zmarł mój mąż! Dziewczyno, czy ty nie masz za grosz wyczucia? – Kobieta otarła łzy rękawem bluzy.

– Co się pani tak piekli? Przecież tylko zapytałam – tłumaczyła się zawstydzona Franciszka. – W takim razie biuro podróży będzie musiało nam zwrócić pieniądze.

– Ja bym na to nie liczyła – odrzekła nieśmiało Ulka. – To był wypadek losowy i nie sądzę, żeby biuro w takim przypadku ponosiło odpowiedzialność.

– Jakoś dziwnie by było jechać dalej. – Cicho wyraził swoje zdanie Leonard.

– Ale w sumie w czym panu Stanisławowi miałyby przeszkadzać, że pojedziemy? – zastanawiał się głośno Witold. – Może nawet by się ucieszył, że zobaczymy w jego imieniu Paryż.

– Że też panu nie wstyd! Po kim jak po kim, ale po panu nie spodziewałabym się takiego braku empatii – zaatakowała Krystyna.

– Cóż ja znowu takiego powiedziałem? Tak tylko sobie rozważam, ale nic na siłę. – Witold nie zamierzał szukać zwady z energiczną wdową.

– Nie ma się co kłócić. Każdy z nas jest bardzo zdenerwowany. – Henryka wystąpiła w roli rozjemcy.

– Pan da jednego. – Kryśka wyciągnęła drżącą dłoń w kierunku Irka wypuszczającego z ust chmurę dymu.

Kierowca bez wahania podsunął jej paczkę.

– Nie wiedziałem, że pani pali. – Mimo starań Ireneusza kapryśna zapalniczka dopiero po którymś razie zdecydowała się rozbłysnąć płomieniem.

– Bo nie palę, od dziesięciu lat. – Kobieta mocno zaciągnęła się dymem papierosowym, mrużąc powieki.

– A ci tu czego? – warknął Irek na widok radiowozu ustawiającego się za parkującą karetką pogotowia ratunkowego.

Cała gromadka jak jeden mąż obróciła się w kierunku, w którym patrzył kierowca.

– Proszę się rozsunąć! Co się tak ściskacie koło drzwi, przejść nie można – gderał policjant, rozganiając towarzystwo.

Lekarz wraz z ratownikiem medycznym zniknęli we wnętrzu autokaru, a tuż za nimi do środka wkroczyli dwaj mundurowi. Żywi uczestnicy wycieczki do Paryża skłębili się przy wejściu. Cisza, która panowała, była zgoła inna niż przed przyjazdem policji. Kacper, zatracony

w czytanej powieści, oraz Krystyna, zapatrzona w bliżej nieokreślony punkt na niebie, jako jedyni wydawali się nie wykazywać szczególnego zainteresowania tym, co dzieje się w środku pojazdu.

Pięć minut później ze schodków na ziemię zeskoczył lekarz, przy okazji mała nie tratując Franki, która dzięki ponadprzeciętnemu sprytowi i zwinności zajęła najlepszy punkt obserwacyjny.

– Nic tu po nas – stwierdził doktor.

Zebrani odprowadzili wzrokiem medyków aż do samej karetki. Po upływie kwadransa ujrzeli ze zdziwieniem parkującego na poboczu policyjnego vana.

– A cóż to znowu? – Irek zmarszczył brwi, a następnie silnie docisnął peta podeszwą.

– Suka? – zdziwił się Kacper. – To nie używają karawanów do przewozu trupów?

– O Jezu... – Błada Krystyna przysiadła na metalowej barierce.

– Kacper! Cicho, widzisz przecież, że babka zaraz nam się przekręci na zawał – upomniała małżonka Francesca.

– Sorry – rzucił słowo przeprosin chłopak.

Policjanci niespiesznie wymaszerowali z autokaru.

– Proszę wsiadać do podstawionego busa – polecił sierżant, zdejmując jednorazowe rękawiczki z nieprzyjemnym dźwiękiem strzelającej gumy.

– O co chodzi? Dlaczego? – dociekała Urszula.

– Dowiecie się na komisariacie – udzielił zdawkowej odpowiedzi mundurowy.

– Zaraz! A co z moim autokarem? – Irek ani myślał

zostawiać swojej cennej własności na tym odludziu.

– I naszymi rzeczami? – zapytała Franciszka.

– Autokar podstawimy na parking policyjny, a rzeczy dostaniecie później – odpowiedział sierżant.

Wąsy Irka zaczęły falować, zdradzając poziom wzburzenia ich posiadacza, ale zanim mężczyzna zdążył otworzyć usta, przemówił Leon:

– Ja bym chciał zapytać...

– Od zadawania pytań to my tutaj jesteśmy – warknął policjant, odwracając się plecami do wycieczkowiczów, po czym bez słowa wyjaśnienia odszedł wraz z kolegą do radiowozu.

Oniemiali uczestnicy podróży do Paryża bez szemrania wykonali rozkaz. Dziesięć minut później byli na miejscu.

– Może wreszcie teraz raczycie nam wyjaśnić, czemu zawdzięczamy przyjemność wizytowania komisariatu? – zaatakowała Ulka, która w czasie jazdy policyjnym vanem szybko odświeżyła w głowie wiedzę przyswojoną dzięki wchłoniętym w dwa tygodnie szesnastu sezonom (po dwadzieścia trzy odcinki każdy) serialu „Prawo nad prawem, choć wszędzie bezprawie”.

– Nie wiecie? – zapytał zza wielkiego biurka przedstawiciel władzy, przyglądając się zebranym wokół niego ośmiu osobom.

– A niby skąd moglibyśmy wiedzieć! – oburzył się Witold.

– Drogą dedukcji? – Do rozmowy włączył się drugi policjant, który zaraz po przyjeździe z miejsca zdarzenia i zapędzeniu przywiezionych policyjną suką obywateli

do swojego gabinetu wygodnie rozsiadł się w fotelu na kółkach, a skrzyżowane w kostkach nogi złożył na biurku centymetr od średniej klasy laptopa.

– Proszę nam natychmiast wyjaśnić, z jakiego powodu nas tutaj ściągnęliście! – Urszula podniosła głos. W duchu zbeształa się za to, że zawczasu nie umówiła się z kimś na odegranie ról dobrego i złego policjanta. Nie zapowiadało się, żeby sam zły (to jest ona) odniósł zamierzony efekt. – Mamy swoje prawa!

– Mają swoje prawa, słyszysz, Leniu? – Młodociany sierżant z lubością wlepił oczy w urodziwą blondynkę z długim warkoczem, aż jej policzki zaczerwieniły się z gniewu. – Obywatele i ich prawa. A obowiązki? O tym nie pamiętają – zaśmiał się, ukazując w pełnej krasie dwa ubytki w uzębieniu.

– Proszę się tak na mnie nie gapić. – Ulce nie spodobał się wzrok mężczyzny osadzony orientacyjnie w połowie między jej szyją a pasem.

– Dosyć tego – przemówił spokojnym głosem Leonard.

– Słucham? – Policjant powoli zdjął nogi z biurka, jego powieki zwężyły się na tyle, iż istniała realna obawa, że nic nie widzi przez maleńkie szparki. Podniósł się. – Co powiedziałaś?

– Słyszałeś, co powiedziałem. – Pisarz nie tracił rezonu. – A teraz do rzeczy. Co tutaj robimy?

– Ja ci zaraz powiem, co tutaj robicie. – Popędliwy niewysoki chudzielec w mundurze, wyraźnie stroniący od wizyt w gabinecie stomatologicznym, zbliżył się o dwa kroki do Leona, stając na wyciągnięcie dłoni od jego

twarzy.

Mężczyźni patrzyli sobie głęboko, choć bez sympatii, w oczy. Sytuacja zaogniła się.

Henryka dłużej nie zamierzała czekać.

– To było morderstwo – powiedziała głośno i dobitnie.

Naraz zrobiło się gwarno. Jedni mówili przez drugich.

– Bzdura! – krzyknęła Krystyna, jednocześnie ciężko opadając na najbliższe krzesło.

– Skąd pani wie? – Urszula była zaintrygowana.

– Ożesz... kur...ka czerwona – rzucił coś na kształt przekleństwa Irek, uprawiając w ruch wąsy.

– Morderstwo? – zapytał zdziwionym głosem Leon.

– Ale się narobiło, słyszysz, Kacper? – Franciszka złapała się za głowę.

– Słyszę – odpowiedział wolno jej mąż.

– Nie może być – nie dowierzał Witold.

– Skąd u pani taka wiedza? – Sierżant, który przez momentem zbliżał się wielkimi krokami do zawieszenia go w obowiązkach, zmierzył brązowymi oczyma od stóp do głów niepozorną emerytkę.

– Mój chłopcze, nie wymagało wiele wysiłku, żeby połączyć niecodzienne zachowanie pana Stanisława na chwilę przed śmiercią, jego wygląd po zgonie oraz wizytę na komendzie. To było morderstwo, prawda? – Orłowska uśmiechnęła się łagodnie.

– Może tak, a może nie. – Lenio postanowił pomóc koledze, z którym przyszło mu dzielić świeżo wyremontowany, nowoczesnie urządzone gabinet oddany im do użytku zaledwie miesiąc temu. – Prawda, Radi? –

Wyszczrzył zęby do – jak na jego gust – trochę zbyt domyślnej obywatelki.

Henryka poczyniła skądinąd trafne spostrzeżenie, że i ten przedstawiciel władzy nieczęsto widywał się ze stomatologiem.

– Właśnie. Może tak, a może nie – podchwycił Radi.

– Domyślam się również, że pan Stanisław został otruty.

– Henia przypatrywała się to jednemu, to drugiemu funkcjonariuszowi.

– Czy to prawda? – Tym razem zielona na twarzy Krystyna zerwała się na równe nogi.

– Może tak, a może nie – powtórzył niczym zakłęcie Lenio. – Coś mi się wydaje, że pani jest podejrzenie dobrze zorientowana w temacie. Mamy pierwszą do przesłuchania – groźnie uniósł do góry palec wskazujący – a resztę się rozdzieli. – Po czym ujął w dłoń słuchawkę.

W tym momencie wdowa połączyła fakty.

– To ty! – Z jej piersi wydobył się nieludzki jęk. Chwyliła Witolda za poły sportowej marynarki. – Morderca! Morderca! – darła się niczym opętana.

– Pani Krystyno, co też pani wygaduje? – Witold odsunął dłonie kobiety ze swojego ubrania i nerwowymi ruchami wygładził zagniecenia. – Oszalała. Ludzie, po śmierci męża padło jej na rozum. – Zdenerwowany kucharz przyglądał się minom zebranych.

– Tak ochoczo pchałeś w nas to swoje jedzenie! – nie ustępowała Kryśka.

– Przecież wszyscy jedliśmy z jednego pojemnika! Ja również. – Na szczupłej twarzy Wiktuała pojawiły się

kropelki potu. – Nie wierzcie jej państwo, to są absolutne brednie!

– Został otruty z termosu. – Pomysł Kacpra był odmienny od tego, który podsunęła Krystyna. Chłopak nie omieszkał się nim od razu podzielić.

– To by było zbyt oczywiste – odpowiedział mu Leonard.

– Leon ma rację, termos bez sensu, za oczywisty, przecież pan Stanisław ciągle o nim mówił i się z nim nie rozstawał. – Franka stanęła po stronie pisarza.

– W przypadku morderstwa nie ma rzeczy zbyt oczywistych – dorzuciła swoje trzy grosze Orłowska.

– Racja. – Irek pokiwał głową, dołączając do powstałego kółka dyskusyjnego.

– A ja myślę... – Urszula również miała swoje zdanie w kwestii narzędzia zbrodni, jednak krzyk sierżanta sprawił, że nie udało jej się podzielić nim z pozostałymi.

– Cisza! – Radi znalazł się o dobrych dziesięć kroków za granicą swojej cierpliwości. – Gęby się wam nie zamykają! Już mi stąd! Leniu, zabierz ich, bo nie ręczę za siebie, a potem wracaj i przesłuchamy tę starą. – Wskazał na Henrykę.

– Może by grzeczniej. – Ulka stanęła w obronie Heni.

– Ależ moje dziecko, ja się wcale na niego nie gniewam. To nie jego wina, tylko stresu w pracy, który wpływa na zachowanie tego chłopca, czytałam na ten temat ostatnio doskonały artykuł w „Poradniku hydraulika”.

– Dosyć! Wynocha! – Radi aż się trząśł.

Starsza pani dyskretnie szepnęła Urszuli do ucha:

– Widzisz, kochana, naoczny przykład dokładnie tego,



o czym mówię: stresu w pracy.

## ROZDZIAŁ 6

Przesłuchanie przeciągało się w nieskończoność. Od wciąż powtarzających się tych samych pytań Henryce zakręciło się w głowie. Kobieta z ulgą przyjęła z ust sierżanta, rozczarowanego jej wiedzą (a dokładniej niewiedzą w kwestii osoby, która zabiła), informację, że przyszedł kres przepytywaniu. Szczerze żałowała, że nie udało jej się niczego wyciągnąć na temat morderstwa Stanisława z nieszczególnie uprzejmym Lenia oraz Radiego. Kiedy funkcjonariusze pozwolili jej wreszcie odejść, okazało się, że to nie koniec wizyty na komendzie. Starszej pani przyszło czekać w samotności w maleńkim pomieszczeniu na nadal przesłuchiwanym pozostałych uczestników wycieczki. Orłowska z rozrzewnieniem wspomniała sympatycznego kapitana Zborowskiego, którego poznała podczas swojego pierwszego amatorskiego śledztwa, i możliwie najwygodniej umoszczona na drewnianym krześle z jedną krótszą nogą zabrała się za porządkowanie zawartości torebki, którą oddali jej policjanci.

Kilka godzin później, gdy właśnie kończyła trzeci rozdział wciągającego kryminału, do pokoiku bez okien (a może trafniej należałoby powiedzieć: schowka na szczotki bez szczotek, za to z jednym krzeselkiem i nieco pożółkłym plakatem na ścianie z hasłem: „Jedziesz – nie

pisz SMS-ów”) zajrzała funkcjonariuszka i oznajmiła:

– Jest pani wolna, proszę za mną. – Po czym zniknęła.

Henryka chwyciła wysprzątaną torebkę i pobięła za kobietą. Odprowadzona aż za drzwi posterunku, pokonała strome schody i podeszła do MAXIMUSA 3000 w wersji DELUX. Irek właśnie skończył wstępne oględziny pojazdu.

– Ich szczęście, że nie znalazłem ani jednej rysy.

Podróżni, zmęczeni emocjami związanymi ze śmiercią Stanisława oraz wielogodzinnym pobytem na komisariacie, zebrali się obok wejścia do autokaru.

– Skoro przynajmniej do jutra policja kazała nam zostać na miejscu, mam propozycję. Znam dobrą gospodę, dziesięć minut jazdy stąd. Możemy tam zjeść kolację i przenocować – powiedział kierowca.

– Tak zrobimy. Proszę wsiadać – poleciła przewodniczka wpatrzona w ekran telefonu z jedną słuchawką w uchu, a drugą wiszącą na wysokości klatki piersiowej.

– Dziecko kochane, że też się nie przewrócisz – rzekła z podziwem Henryka obserwująca Ulkę, która z nosem w telefonie i w butach na cienkiej, wysokiej szpilce bez jednego potknięcia podeszła do należącego jej miejsca.

– Podzielność uwagi i ponadprzeciętnie szeroki kąt widzenia, nic mi nie umknie – stwierdziła z dumą Urszula, zezując jednym okiem na panią Henię, a drugim na oglądany serial. – Ruszamy, bo umieram z głodu – rzuciła chwilę później.

Mechanizm zamykający drzwi syknął, a silnik autokaru zamruczał.

– Momencik! Brakuje pani Krystyny. – Tylko Orłowska zareagowała na braki w stanie osobowym.

Zebrani spojrzeli na pusty fotel, wcześniej zajmowany przez wdowę. Również skanowanie wzrokiem pozostałych miejsc w pojeździe doprowadziło wycieczkowiczów do tej samej konkluzji, którą poczyniła Henryka: nie było z nimi Krystyny.

– Ulka, wróć się i zapytaj o nią gliniarzy. – Irek otworzył drzwi.

– E tam, będę szła. – Machnęła ręką. – Po prostu poczekamy.

– Trzeba się dowiedzieć, co się z nią dzieje – przemówił Wiktuał.

– Właśnie, może wcale nie przyjdzie. – Franka dwuznacznie uniosła brwi.

– Dajmy jej jeszcze... – przewodniczka zamilkła, klikając palcem w wyświetlacz – pięć minut. Jeśli do tego czasu się nie zjawi, pójde zapytać, o co chodzi.

– Idź teraz, jestem głodny jak wilk. – Ireneusz ani myślał marnować cenne minuty na bezproduktywne oczekiwanie. Burczenie w żołądku przypomniało mu o podwieczorku pominiętym przez to całe zamieszanie.

– Skoro nie umarłeś do tej pory, głupie pięć minut by cię nie zbawiło – marudziła Urszula, podchodząc do wyjścia. – Ostatnie minuty ostatniego odcinka ostatniego sezonu – dorzuciła gniewnie z chodnika.

Niewiele później na powrót wskoczyła do autokaru.

– Nie ma co czekać. – Na tym planowała zakończyć wyjaśnianie i bez dalszej zwłoki wrócić do przerwanego

serialu, ale widok otwierających się trojga ust sprawił, że szybko dodała: – Dyżurująca policjantka powiedziała mi, że pani Krystyna musi zostać dłużej, tylko tyle się dowiedziałam. – Przepraszająco rozłożyła ręce. – Jeśli nikogo więcej nie brakuje – rozejrzała się wokoło – jedźmy. – I nareszcie uczyniła zadość swojemu pragnieniu poznania dalszych losów bohaterów, z którymi zdążyła się zaprzyjaźnić przez ostatnie trzysta trzy odcinki.

– Ciekawe, dlaczego ją przetrzymują – zastanawiał się głośno Witold.

– Dlaczego? Czy to nie jasne? – Franciszka wydawała się znać powód. – Pewnie ona zabiła. Kacper kiedyś czytał, że w przypadku jednego na trzy morderstwa winna jest żona. Prawda, Kacper?

Chłopak zrobił wielkie oczy:

– Niczego takiego sobie nie przypominam... – Przymknął książkę i zamyślił się.

– Musiałeś zapomnieć – zbyła go żona. – Nie przeszkadzaj sobie, czytaj dalej.

Kacper wzruszył ramionami i wrócił do powieści.

– Moje dziecko, lepiej nie wysnuwać pochopnych wniosków, bezpodstawne oskarżenie może przynieść więcej szkody niż pożytku. – Orłowska łagodnie osłabiła zapędy dziewczyny.

– No niby... – Franciszce zrobiło się głupio. – Ale jestem głodna – zmieniła temat.

– W takim razie po krakersiku. – Wiktuał wyjął zza pazuchy niewielki pojemnik wypchany po same brzegi aromatycznym wypiekiem.

– Yyyy... eeee... – dukąta Francesca, uważnie przyglądając się z każdej strony wyciągniętemu w jej kierunku pojemnikowi.

– Śmiało, bierzcie, serowe, własnej produkcji z tajnym składnikiem w postaci pięciu szczypt oregano oraz dwóch łyżeczek tymianku – zachęcał stylistę smaku.

– O! – Kacper ucieszył się na widok pyszności. Właśnie wyciągał przed siebie rękę, żeby uraczyć się dziesięcioma, gdy otrzymał w nią celny cios od Franki. – Ale co? – zdziwił się agresywną reakcją swojej na co dzień łagodnej małżonki.

– Najesz się teraz i zabraknie ci w żołądku miejsca na kolację – wyjaśniła mu Franciszka.

– Dam radę, jestem pojemny. – Chłopak uśmiechnął się szeroko, jednak i tym razem małżonka ani myślała pozwolić mu zjeść krakersy.

– Nie ma dyskusji. – Spojrzała groźnie na zaskoczonego męża, mrugając jak opętana powiekami. – Czytaj, a ja chwilkę się prześpię. – Ziewnęła, po czym skryła się w fotelu, wtulając głowę w ramię męża.

Minę, którą w tym momencie miał Witold, najdelikatniej mówiąc, można było określić jako nietęgą.

– A ja się chętnie poczęstuję. – Orłowska wzięła kilka krakersów i schrupała je z apetytem. – Bardzo nieprzyjemna sprawa z tą śmiercią – zaczęła uprzejmą pogawędkę.

– I dziwna – dodał Wiktuał, podtykając pojemnik pod twarz Henryki.

– O, dziękuję. – Z lubością dobrała kolejną garść słonych

ciasteczek. – A panowie gdzie się wcześniej poznali?

– Ale kto? – Witold zamarł z serowym trójkątem przy ustach.

– Pan, drogi panie, z panem Stanisławem. – Henryka zajadała się w najlepsze krakersami, co nie przeszkadzało jej w prowadzeniu wywiadu.

– Skąd w ogóle taki pomysł, żebyśmy się mieli wcześniej znać? – Witold był zaskoczony.

– Hm... dziwne... Widząc, jak rozprawialiście z przejęciem koło autokaru na parkingu stacji benzynowej, byłam pewna, że łączyła was zażyłość.

– Nic podobnego – zaprzeczył. – Pierwszy raz w życiu spotkałem pana Stanisława i jego żonę tutaj. A wtedy rozmawialiśmy, jak pani powiedziała z przejęciem, bo – na ułamek sekundy zawiesił głos – bo spieraliśmy o to, czy... – znów się zaciął – w tym roku cena benzyny dojdzie do poziomu sześciu złotych za litr.

– O, widzę, że jest pan fanem motoryzacji. – Orłowska uśmiechnęła się szeroko. – Ja mam takiego cudownego opelka, trochę już sobie liczy lat, ale dotychczas jeździł jak marzenie. Dopiero teraz po raz pierwszy mój staruszek się zepsuł. Na szczęście znajomy zgodził się wymienić mu silnik i jestem pewna, że jeszcze wiele lat mi posłuży. A pan czym jeździ?

– Rowerem albo autobusem. Dotychczas nie dorobiłem się samochodu – odrzekł nieco skrępowany Witold.

– No tak, ale temat cen paliw dla wszystkich jest równie emocjonujący, bez względu na to, czy posiada się wóz, czy też nie – powiedziała uprzejmie.

W odpowiedzi dryblas włożył do ust wielką porcję krakersów i dzielnie utrzymywał ów stan napychania aż do czasu, gdy kierowca ogłosił:

– Jesteśmy na miejscu.

Henryka spojrzała spod siwej grzywki na chylący się ku lewej stronie budynek z gigantycznym migającym neonem Rojal.

– Oho! – wyrwało się Leonowi.

\* \* \*

Ireneusz bez zbytniego poszanowania dla dóbr wycieczkowiczów zwałił ich walizy oraz torby na klejące się linoleum zaraz za drzwiami wejściowymi do motelu.

– Zapraszamy państwa do restauracji. – Recepcjonistka w koszulce z napisem „eat less, think more” zapraszającym ruchem ręki pokazała pomieszczenie po swojej prawej stronie. – Kolacja czeka.

Wygłodniali podróżni niemalże wbiegli do wskazanej im sali.

– Ewidentnie trzy gwiazdki Michelin – stwierdził z przekąsem Witold na widok długiego stołu przykrytego ceratą w gruszki oraz jabłka, do którego dostawiono z obu stron ławki obite sztuczną skórą przetartą tu i ówdzie. Sala była duszna, wąska niczym wagon tramwajowy. Jarzeniówki nieprzyjemnie migały. „Restauracji” nie dodawały uroku również ściany pomalowane olejną farbą na kolor, który najtrafniej można było określić jako agresywny fiołek.

– Smacznego! – rzuciła przez ramię recepcjonistka,



ewakuując się, zanim goście mieli okazję posmakować przygotowanych dla nich specjałów.

– Kanapki z mortadela... Nie jadłem tego świństwa od czasów kolonii nad jeziorem w osiemdziesiątym siódmym. – Wiktuał skrzywił się, rzuciwszy okiem na ustawione na środku stołu cztery talerze pełne kanapek. Obok nich znajdowały się dzbanki z ciemną, bliżej nieokreśloną cieczą.

– Wolne? – zapytała pisarza Henryka, wskazując miejsce na końcu ławki po lewej stronie mężczyzny.

– Oczywiście – odpowiedział, przesuając się.

Orłowska, niezrażona słabą recenzją, którą wystawił lokalowi stylisty smaku, położyła sobie na poślizgiem, lekko obtłuczonym talerzyku po kanapce z dwóch dostępnych rodzajów: jedną z mortadela, drugą z żółtym serem.

– Czerstwy chleb! – Słysząc było głos niezadowolonego Witolda dochodzący z drugiego końca stołu.

– Nie ma pana Stanisława, więc widać ktoś musiał przejąć jego rolę narzekacza – skomentowała siedząca vis-à-vis niego Urszula.

Henia spojrzała na Wiktuała, który pod wpływem uwagi poczynionej przez przewodniczkę skurczył się i bez słowa nadgryzł przed chwilą tak nisko ocenioną przez siebie kanapkę.

– Starszy chleb jest zdrowszy. Świeży fermentuje w żołądku i jelitach. Czerstwe pieczywo jest mniej ciężkostrawne. – Kacper chętnie podzielił się z zebranymi wiedzą, ładując na talerzyk kromki grubo smarowane

margaryną.

– Nie ma chyba na świecie sprawy, o której nie czytałeś.

– Franka dumnie wyprostowała plecy, jednocześnie gładząc męża po dłoni. – Mój kochany... – Spojrzała na niego z czułością.

– Pamiętam ją z podstawówki. – Cichy głos Leona wyrwał Henrykę z obserwacji.

– Francescę? – dopytała dla pewności.

– Nie, Urszulę – powiedział ledwo słyszalnie. – Bardzo mi się podobała, ale za wysokie progi na moje nogi. Zresztą byłem w niższej klasie niż ona. Pewnie dlatego mnie nie pamięta.

– Jest piękna – wyszeptała podobnie jak Leon Orłowska, domyślając się, że mężczyzna wolałby, żeby przewodniczka nie słyszała ich rozmowy.

– Piękna, ale lepiej było z nią nie zadzierać. Niech no tylko dostała przypadkiem piłką na boisku albo ktoś ją przezwał. Takie tam głupie szczeniackie wybryki dla żartu, które się robiło w podstawówce, nic strasznego, ale Ulka zawsze zadbała, żeby ją popamiętali. Niech pani nie zwiedzie jej niewinny uśmiech.

– Chcesz powiedzieć, mój drogi, że brała się do rękoczynów? – usiłowała zgadnąć Henryka.

– Nie, nic z tych rzeczy. To była porządna szkoła. – Leon zadumał się nad czymś. – Z drugiej strony minęło tyle lat... Ludzie się zmieniają, kto wie, może i ona się zmieniła.

– Myślisz, że zabiła pana Stanisława?

– Ależ nie. – Wzdrygnął się. – Absolutnie niczego takiego nie chciałem powiedzieć – zaprzeczył gorliwie. – Nalać

pani? – zaproponował, ujmując w dłoń dzbanek.

– A co to jest? – zapytała na widok trzymanego przez pisarza plastikowego naczynia z ciemnym, parującym płynem.

– Coś między czarną kawą a mocną herbatą – wyjaśnił bez cienia złośliwości.

– Chętnie spróbuję nowinki. – Pani Henia podsunęła szklankę. – Taki posiłek to dla mnie wspaniała sentymentalna podróż do czasów, kiedy jeździliśmy z zakładu pracy na majówki. Autokar pełen śmiejących się, śpiewających ludzi, jajka na twardo, rybka z puszki, żółty ser, kawa w termosie. Kogo tam było stać na większe luksusy... Zresztą, nawet gdyby były pieniądze, to i tak w sklepie mogłeś sobie, mój drogi, kupić najwyżej trzy butelki octu. Na wycieczkę brało się, co kto tam miał na podorędziu. Cudowne wspomnienia. – Henryka uśmiechnęła się do swoich myśli. – Po dziś dzień lubię sobie raz na jakiś czas usmażyć na kolację gruby plaster mortadeli, a do środka wkładam groszek konserwowy. Do tego pajdka chleba i kawa. Ale wy, młodzi, chyba nawet nie wiecie, co to jest mortadela.

– Jak nie wiemy, jak wiemy – odrzekł Leonard. – Kto by sobie odmówił wędliny w cenie dziesięć dwadzieścia trzy za kilogram. Tania oraz smaczna – zapewnił.

– Gdzie ja mam głowę! W końcu literatów oraz emerytów łączy wspólna cecha: zazwyczaj nie doskwiera nam nadmiar wolnych środków finansowych. – Orłowska zachichotała.

– Właśnie. – Mężczyzna puścił do niej oko.

– Swój chłop – podsumowała z uznaniem. Niespodziewanie do jej uszu doszły fanfary wygrywane na trąbce – Zapewniają tutaj również oprawę muzyczną! – Henryka podskoczyła z radości na ławeczce, rozglądając się po sali w poszukiwaniu orkiestry.

– To mój telefon. – Leonard wyjął z kieszeni smartfona ze stłuczonym ekranem. Spojrzył na wyświetlacz i rzucił: – Przepraszam.

– Mną się nie przejmuj, odbierz sobie – zachęciła go.

Leon wstał od stołu i przeniósł się pod ścianę, gdzie przeprowadził przyciszonym głosem rozmowę. Henryka, zajęta zajadaniem się tanimi, ale jakże smacznymi kanapkami, chcąc nie chcąc, usłyszała znaczną część wypowiedzi pisarza.

– O! Czyli babcia zdążyła do cici zadzwonić? – zdziwił się.

– ...

– Tak, niestety, obawiam się, że w tej sytuacji nie dotrzemy do Paryża.

– ...

– Również żałuję, że się nie zobaczymy. A jak cici astma, jest chociaż trochę lepiej?

– ...

– Zagraniczna rozmowa jest bardzo droga, ciciu, pogadamy na Skypie, jak wrócę. Niech się ciocia trzyma! Do usłyszenia. – Rozłączył się i wrócił na swoje miejsce przy stole.

– Niechący usłyszałam twoją rozmowę. To miłe, że przy okazji wycieczki chciałeś odwiedzić cicię – pochwaliła go

Orłowska.

– Trudno byłoby inaczej – zaśmiał się. – To ciocia zasponsorowała mi wyjazd. Gdyby nie jej hojność, mógłbym sobie obejrzeć Paryż tylko w internecie. Wycieczka była wykupiona dla mojego kuzyna jako prezent od ciotki z okazji jego osiemnastych urodzin, ale chłopak złamał nogę na nartach. Biuro podróży nie zgodziło się zwrócić pieniędzy, a szkoda by było, żeby przepadły. Miałem kilka dni zaległego urlopu, więc postanowiłem skorzystać.

Gdy Leon kończył mówić, drzwi sali restauracyjnej otworzyły się.

– Kacper, patrz, jaka szybka, już się przebrała. – Franciszka wymierzyła palec we wchodzącą do pomieszczenia Krystynę, ubraną od stóp do głów na czarno. – Ciekawe, skąd wiedziała, że będzie jej potrzebny na wycieczce żałobny strój. – Nie mogło być inaczej, donośny głos dziewczyny dotarł do uszu uczestników wycieczki do Paryża, także do świeżo upieczonej wdowy.

– Dobre pytanie, Francesco – przyznał Kacper, zachłannie skanując wzrokiem dwieście piątą stronę powieści towarzyszącej mu podczas kolacji.

– Coś insynuujecie?! – Nastawiona wojowniczo Krystyna ani myślała przemilczeć zasłyszana uwagę. – I gdzie mi z tym paluchem?

Franka odruchowo opuściła wyciągniętą przed siebie dłoń.

– A co, mam po śmierci męża chodzić w pstrokaciznach?

Zmarłemu należy się szacunek. Ciekawa jestem, kto z was nie ma w swoim bagażu czarnej koszulki i spodni. Swoją drogą, to oburzające, że musiałam się przebierać w WC – syknęła. – Na waszym miejscu uważałabym na to, co mówicie. Na policji pytali o wroga Staśka, wierzcie mi, że bardzo skrupulatnie wymieniłam całą listę osób. Lepiej dobrze się zastanówcie, kto naprawdę ma się czego obawiać. – Spojrzała złośliwie na młodą parę, poprawiając białym szponem oprawkę okularów pozłacaną dwudziestoczerokaratowym złotem.

– Do pani informacji... – zaczął Kacper, jednak zamilkł pod wpływem kuksańca wymierzonego mu przez żonę w bok.

Czujna Henryka dostrzegła nie tylko to, ale również porozumiewawcze spojrzenia wymienione przez małżonków.

– Hm, interesujące – wyszeptała sama do siebie.

– Słucham? – zapytał zajęty napełnianiem żołądka pisarz.

– A nic, nic, mój drogi. Bądź tak miły i dolej mi troszkę tego... hm... napoju – poprosiła Henia.

Mężczyzna bez słowa spełnił jej prośbę.

## ROZDZIAŁ 7

Henryka przeżuła ostatni kęs kanapki z żółtym serem, wypła duszkiem pozostałe jej pół szklanki ni to kawy, ni to herbaty i rażnym krokiem przeszła do recepcji. Pod ścianą naprzeciwko obtłuczonego biurka służącego za kontuar stała oparta plecami o ścianę Urszula.

– Nie przeszkadzam? – zapytała Orłowska, podchodząc do przewodniczki.

– Nie – odpowiedziała od niechcienia kobieta, wykazując dokładnie żadne zainteresowanie starszą panią.

– Czy pokoje są już gotowe? – Henryka miała w głowie bardzo konkretny plan.

– Trzeba będzie trochę dłużej poczekać – rzuciła Ulka.

– I pomyśleć, że jest człowiek, a za chwilę go nie ma – przemówiła filozoficznie Henryka. – Podwójna tragedia, śmierć i morderstwo za jednym razem. – Pokiwała głową ze smutkiem.

W tym właśnie momencie Urszula straciła resztki dotychczas tłącej się w niej nadziei, że starsza pani pójdzie sobie precz, zostawiając ją w spokoju sam na sam z drugą połową niskobudżetowego filmu o wątpliwej wartości merytorycznej. Ciężko westchnęła, przyduszając kciukiem pauzę na wyświetlaczu telefonu.

– Tak – mruknęła.

– Choć trzeba przyznać, że pan Stanisław nie cieszył się

zbytnią sympatią wśród jadących w autokarze, szczególnie pana Irka – kontynuowała Henryka.

– Czy ja wiem...

Orłowska śledziła wzrokiem ruch unoszących się do góry dwóch czarnych, masywnych gąsienic, występujących u Urszuli w miejscu, gdzie u większości ludzi znajdowały się brwi.

– Jak tam było między nim a państwem, to nie powiem. Siedzę z przodu, więc nie widzę, co się dzieje z tyłu. A jeśli chodzi o Irka... hm... zresztą nie wiem. – Wzruszyła ramionami.

Henia ani myślała dać za wygraną.

– I tobie, moja kochana, pan Stanisław chyba też nieźle załazł za skórę. Słyszałam, jak się odgrażał, że planuje donieść o tym i owym do waszego pracodawcy – wyjawiała niby od niechcienia.

– Phi! – Urszula odrzuciła do tyłu długi warkocz. – On tam sobie mógł donosić, o czym tylko mu się zamarzyło. Robimy z Irkiem Niezapomnianym Doznaniem łaskę, że godzimy się pracować za psi pieniądź. Ciekawe, czym by wozili te swoje wycieczki, gdyby nie autokar Irka.

– Autokar nie należy do biura podróży?

– Skąd! W życiu nie byłoby ich stać na taki luksusowy pojazd. Irek jest podwykonawcą. Wcześniej jeździł ich starym autosanem, ale potem kupił sobie tę swoją rakietę na kredyt, dlatego tak trzęsie się o wóz. Chodzi, zbiera po jednym papierku z podłogi, szoruje szyby raz w tygodniu. A ten cały pan Stanisław nie odkrył Ameryki. Wielka mi tajemnica, że dorabiamy sobie do głodowej



pensji, zahaczając po drodze o zaprzyjaźnione miejsca, gdzie odpalają nam dolę za ściąganie im klienteli. Co to komu szkodzi? Przy okazji więcej sobie państwo pozwiedzać, przekąsicie coś dobrego, wilk syty i owca cała – wyjawiała bez ogródek. – Dzięki temu udało mi się odłożyć niezłą sumkę na czarną godzinę. – Kobieta z zadowoleniem poprawiła grzywkę.

– Drogie dziecko, zżera mnie ciekawość – zaczęła delikatnie Orłowska.

– Tak?

– Zapewne widziałas te wielkie worki, które pan Irek wrzucił do luku bagażowego podczas postoju na stacji benzynowej?

– Widziałam. – Ulka bacznie przyjrzała się Henryce.

– Wiesz może, co w nich było?

– Nie mam bladego pojęcia. Nie pierwszy raz Irek podczas wycieczki przyniósł podobne wory, ale nigdy jakoś specjalnie mnie to nie interesowało.

Starsza pani odniosła wrażenie, że przewodniczka mówiła szczerze.

– Może coś tam przewozi komuś za pieniądze? – zastanawiała się głośno Ulka. – Zresztą nie moja sprawa. – Blondynka, chwilę temu wylewna, teraz niespodziewanie ucięła dalsze rozważania i wróciła do wcześniej podjętego narzekania na pracodawcę, najwidoczniej uznając temat za niewyczerpany. – Niezapomniane Doznania powinny nas całować po rękach za to, że godzimy się dla nich pracować. Kto inny za kilka złotych chciałby się tak tłuc autokarem w tę i we w tę? Nie ukrywajmy, bez trudu

mogłabym znaleźć sobie coś o niebo lepszego.

– Zatem czemu nie rzucisz tej pracy, jeśli nie jesteś zadowolona?

– Widzi pani, może to i nie jest praca moich marzeń, ale przynajmniej mam czas na rozwijanie swoich pasji. – Kobieta spojrzała na smartfona.

– Znaczą się lubisz patrzeć w telefon? – Henryka próbowała odgadnąć, co też Ula mogła mieć na myśli.

– W pewnym sensie – powiedziała ze śmiechem. – Kocham oglądać filmy i seriale, gdzie indziej w czasie pracy legalnie pozwoliliby mi na to? A tak autokar jedzie, a ja mogę robić, co mi się żywnie podoba.

– Drogie dziecko, stracisz wzrok! – Starsza pani złapała się za głowę. – I co ty w ogóle tam widzisz? Przecież to ustrojstwo jest niewiele większe od kostki masła.

– Nie jest tak źle.

– Oj, lepiej chuchać na zimne – przestrzegła Orłowska. – Żeby telewizja była w telefonie... – Podejrzliwie przyjrzała się urządzeniu.

– A kto mówi, że ja oglądam telewizję? To jest taka platforma z filmami i serialami.

– Zaraz, nic nie mów! Wiem! Refluks – powiedziała zadowolona ze swojej rozległej wiedzy Henryka.

– Netflix – poprawiła ją Ulka.

– Właśnie, Netflix. Mówił mi o tym wnuczek sprzedawczyni z warzywniaka. Podobno na tym Netflixie są nawet takie perełki jak mój „Dexter”.

– Widziała pani „Dextera”? – Oczy Urszuli powiększyły się do rozmiarów nakrętek od butelek PET.

– A pewnie, że widziałam! A ten aktor jaki przystojny. Obejrzałam wszystkie odcinki w tydzień, ależ to było ekscytujące. Tylko szkoda, że takie smutne zakończenie. Później oglądałam inny tasemiec o nauczycielu, który po kryjomu produkuje narkotyki, też interesujący, ale zdecydowanie mniej w moim stylu.

– Mówi pani o „Breaking Bad”? – Urszula nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– O, właśnie! Trudny tytuł, zawsze mi wyleci z głowy.

– Widzę, że pani podobnie jak ja jest fanką kinematografii. – Przewodniczka nie kryła zadowolenia z faktu, że odnalazła w Henryce bratnią duszę.

– A pewnie! Od trzech lat nie opuściłam ani razu wieczorku kinowego w Klubie Emeryta. Jedynym, do czego nie mogę się przekonać, są romanse.

– A ja powiem pani, że co jakiś czas z przyjemnością rzucam okiem na film o miłości. Sama nie mam szczęścia, żeby się zakochać, więc przynajmniej popatrzę sobie na innych – powiedziała z żalem Ulka, po czym dodała: – Nie wiem, czemu nie trafił mi się żaden facet. Przecież nie jestem taka ostatnia. – Na potwierdzenie swoich słów wypięła pierś okraszoną atrakcyjnym biustem oraz wydeęła pełne, bez grama silikonu usta ozdobione warstwą czerwonej szminki. – A pani ma męża?

– Miałam, niestety zmarł. Był wspaniałym człowiekiem. – Henryka z przyjemnością wspomniała małżonka.

– Przykro mi – rzekła Urszula. – A ja szukam i szukam miłości, i co? I nic! Niech sama pani powie jako osoba z większym doświadczeniem: dlaczego tak jest?

Henryka, zazwyczaj niechętna do udzielania rad, przez chwilę milczała, bijąc się z myślami, czy odpowiadać na zadane jej pytanie. W końcu jednak powiedziała:

– Widzisz, moja miła, oczywiście mogę się mylić, ale... – jeszcze na moment zawiesiła głos, niepewna, czy słusznie postępuje – może w dzisiejszych czasach młodzi ludzie zbyt często patrzą tutaj – wskazała na telefon trzymany przez przewodniczkę – a zbyt rzadko rozglądają się dookoła siebie. – Tym razem przeniosła wzrok na Wiktuała siedzącego nieopodal na zapadniętej kanapie z nadgryzionym zębem czasu oraz myszy oparciem.

Urszula zerknęła na mężczyznę.

– Myśli pani? – Baczniej przyjrzała się kucharzowi.

– Nigdy nie szkodzi spróbować, kto wie, co przyniesie los – rzekła filozoficznie Henryka.

– Sama nie wiem... – Blond piękność zmarszczyła nos. – On taki jakiś niespecjalny, a jak gderał przy kolacji.

– Wystarczy, żeby mężczyzna był ładniejszy od diabła. – Orłowska puściła do Ulki oko. – Gdy posłuchać, jak się przekomarzaliście na stołównce, można by pomyśleć, że znacie się nie od dzisiaj. – Uśmiechnęła się szelmowsko pod nosem.

– Co też pani mówi, nigdy wcześniej go nie widziałam. – Urszula zdawała się szczerze zaskoczona pomysłem Heni.

Witold najpewniej intuicyjnie wyczuł, że jest obiektem zainteresowania rozmawiających nieopodal niego kobiet, bo odruchowo podniósł wzrok. Spojrzenia blondynki oraz łyszego dryblasa spotkały się, po czym oboje bezzwłocznie obrócili głowy w przeciwnych kierunkach.

– Muszę cię przeprosić, mam do wykonania ważny telefon – wypaliła niespodziewanie Henryka, tym sposobem żegnając Urszulę.

Zadowolona z siebie ukryła się w przypadkowym korytarzu, skąd zamierzała przeprowadzić ściśle tajną rozmowę. Dla pewności, że nikt jej nie podsłuchuje, rozejrzała się czujnym wzrokiem po pomieszczeniu. Pusto – dokonała szybkiej i bezbłędnej oceny sytuacji. Nałożyła na nos okulary i wyszukała właściwą osobę w książce kontaktów.

– Pan kapitan? Z tej strony Henryka Orłowska – rzekła przyciszonym głosem, uznając, że ostrożności nigdy za wiele. – Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Pani Heniu kochana! – Zaprzyjaźniony policjant ucieszył się z telefonu. – Jakie późno? Przecież pani doskonale wie, że przed północą nie chodzę spać. Jak miło panią słyszeć. Dziękujemy za ciasteczka. Cały komisariat zajadał się nimi przez tydzień. Ich kruchość, długo pozostający w ustach posmak masła, aromat skórki cytrynowej... Po prostu ambrozja w postaci ciała stałego.

– Och, proszę mnie nie zawstydząć – zaszcebiotała Henryka. – Panie kapitanie, dzwonię ze sprawą. – Przeszła od razu do rzeczy.

– Dla pani wszystko.

– Zacznę od streszczenia zaistniałej sytuacji, tak w dwóch zdaniach – wyjaśniła z przejęciem. – Postanowiłam zaszaleć i wykupiłam autokarową wycieczkę do Paryża...

– To wspaniale! – przerwał jej Zborowski.

– Nie tak wspaniale, panie kapitanie, niestety nie tak

wspaniale. – Henryka energicznie pokiwała głową, czego policjant, z oczywistych względów, nie mógł zobaczyć. – Dziś, kiedy byliśmy blisko granicy, zamordowano jednego z uczestników wyprawy. Został otruty!

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Panie kapitanie? Jest pan tam? Halo? Słysząc mnie? – pokrzykiwała Henia, zupełnie zapominając o środkach ostrożności, które miały zapobiec ewentualnemu podsłuchowi.

– Jestem... – wyduślił z siebie z trudem mężczyzna. Dłużej jednak nie był w stanie się powstrzymać i parsknął śmiechem wprost do słuchawki. – Pani Heniu kochana, ładne rzeczy! Ledwie zamknęła pani jedną sprawę u nas, a już kolejna zbrodnia pod nosem. Jak tak dalej pójdzie, strach będzie gdzieś z panią pójść, żeby nie potknąć się o zwłoki – podśmiewał się.

– Och, panie kapitanie! Proszę sobie nie robić ze mnie żartów – obruszyła się teatralnie się Henryka.

– Pani się na mnie nie gniewa, ja tak z sympatii. – Przywołany do porządku stróż prawa powoli zaczął się uspokajać.

– A gdzież tam ja miałabym się gniewać, śmiech to zdrowie.

– Dobrze, proszę powiedzieć, w czym rzecz.

– Widzi pan, kapitanie, tutejsi policjanci są... jak by to ująć... – Orłowska zastanawiała się nad właściwym doбором słów – są bardzo profesjonalni.

– Znaczą się, nic nie chcieli pani powiedzieć?

– Właśnie – przytaknęła. – Nie zdradzili się ani słowem

nawet z drobną informacją.

– I ja mam od nich wyciągnąć te drobne informacje? Pani Heniu, przecież pani wie, że ja nie mogę.

– Oj, zaraz wyciągnąć. Mocne słowa. Wystarczyłoby, gdyby pan tylko troszeńkę podpytał. Na pewno są szczegóły, które nie zaszkodzą prowadzonemu przez policję śledztwu, a mnie podsuną jakąś myśl. W panu cała nadzieja, proszę mi nie odmawiać.

– Pani Heniu, niech mi pani wierzy, koledzy sami sobie poradzą ze znalezieniem winnego.

– Panie kapitanie... – jęknęła.

W słuchawce znów zapadła cisza.

– No dobrze. – Po długich sekundach zastanowienia Zborowski ostatecznie zgodził się jej pomóc. Nie potrafił rozczarować jednej ze swoich ulubionych obywaterek. – Niech pani powie, gdzie to jest.

Henryka z aptekarską dokładnością podała swoją lokalizację oraz numer komisariatu, w którym była przesłuchiwana.

– Zanotowałem. Dobrze się składa, bo byłem tam w ubiegłym miesiącu przez tydzień na wizytacji i poznałem całą kadrę. A pamięta pani nazwiska prowadzących śledztwo?

– Akurat nazwisk nam nie podali, ale zapamiętałam, jak się do siebie zwracali; Lenio i Radi. To chyba powinno pomóc, w końcu posterunek nie jest bardzo duży, więc ilu może być pracowników.

– Jak to nie podali nazwisk? W ogóle się nie przedstawili?

– Jakoś się nie złożyło. Mają tyle na głowie, pewnie po prostu zapomnieli. Drobnostka. – Henryka wystąpiła w obronie mężczyzn. – Bardzo jesteście panowie biedni. Pan najlepiej wie, że praca w policji to ciężki kawałek chleba. Dzisiaj byłam na komisariacie ledwie sześć godzin, a jestem zupełnie wypompowana. Co dopiero, gdybym tak miała codziennie!

– Przesłuchiwali panią sześć godzin? – huknął do słuchawki Zborowski.

– Ależ nie! Panie kapitanie, o czym ja bym miała mówić ciągiem przez sześć godzin? – zaśmiała się. – Przesłuchanie trwało tylko trzy godziny.

– A co pani tam robiła przez resztę czasu?

– Podawałam swoje dane, spisywali mnie z dowodu, były też odciski palców. Już drugi raz pobrano je ode mnie. – Henia nie kryła swojej radości. – Potem czekałam w niewielkim, ale sympatycznym pokoiku, aż skończą się przesłuchania pozostałych osób. Trochę to trwało, ale gdzie mi się spieszy? Czasowa jestem. Zawsze wożę ze sobą w torebce podręczną książkę, a i coś dobrego na ząb się znalazło w bocznej kieszonce. Nie ma powodu do narzekania. Zmieniając temat, kapitanie, muszę panu powiedzieć, że udał się wam plakat „Jedziesz – nie pisz SMS-ów”. Bardzo przemówił do mojej wyobraźni ten zakrwawiony nastolatek. Nawet teraz na jego wspomnienie aż ciarki przechodzą mi po plecach.

– Gdzie pani widziała ten plakat? – zapytał zaskoczony kapitan. – Przez jego nadmierną brutalność wycofaliśmy wszystkie egzemplarze następnego dnia po ich



rozwieszeniu.

– Może faktycznie trochę to było brutalne, żeby młody chłopak... i to na dzidę... brrrr! – Orłowska wzdrygnęła się.

– Zaraz, pani Heniu, jak pani mówiła? Lenio i Radi? – dopytał Zborowski.

– Tak. – Starszej pani zapaliła się w tym momencie w głowie lampka awaryjna.

– A ta salka, w której pani czekała, była taką komórką wielkości połowy szafy, pozbawioną okien?

– Nie jestem przekonana, czy myślimy o tym samym pomieszczeniu. – Orłowska zaczęła się niepokoić, czy czasem niechcący nie narobiła Leniowi oraz Radiemu kłopotów. – Największe może i ono nie było, ale żeby zaraz komórka...

– No to wszystko jest dla mnie jasne. Już ja sobie porozmawiam z ich szefem – mruknął pod nosem Zborowski.

– Ależ panie kapitanie, ja bym nie chciała...

Policjant przerwał jej w pół zdania:

– Żeby tak panią potraktować! Oj, popamiętają mnie – zagrzmiął.

– Ale...

– Ani słowa więcej, pani Heniu. Pani każdemu przychyliłaby nieba. Dwóch takich się znajdzie i potem psują opinię całej policji. Zadzwoń do pani, kiedy się czegoś dowiem w sprawie śmierci tego mężczyzny. Do usłyszenia – pożegnał się.

Orłowska pokręciła głową z rezygnacją.

– Narozrabiałam! – Głośno wypuściła powietrze przez

usta. Nieco przygnębiona, wlokąc się noga za nogą, wróciła do recepcji.

## ROZDZIAŁ 8

– Tu będą spały kobiety. – Właścicielka przybytku Rojal z dumą zaprezentowała wewnątrz pokoju numer jeden. – A mężczyźni będą mieli swoje królestwo tutaj. – Nacisnęła klamkę, otwierając drzwi pokoju obok.

Uczestnicy wycieczki do Paryża, przepychając się jeden przez drugiego, zaglądali do ciemnych, od miesięcy niewietrzonych pomieszczeń, w których ledwie mieściły się po dwa łóżka piętrowe. Na resztę wyposażenia, identycznego w obu pokojach, składały się: dwie półki długości zeszytu A5 zawieszane na wysokości mniej więcej stu osiemdziesięciu centymetrów, dwa przenośne radia na baterię z kieszeniami na kasety, dwie szafki nocne bez drzwiczek pomalowane farbą olejną na zielono oraz dwa krzesła.

Jako pierwszy odzyskał mowę Kacper.

– *Uno momento!* Mamy z żoną nocować oddzielnie? Żartuje sobie pani?

– A co? Masz z tym jakiś problem, kochasiu? Wam, chłopom, tylko jedno w głowie. – Pani na włościach w wieku bliskim emerytalnemu skrzywiła się.

– Heloooo! Jesteśmy w podróży poślubnej. Ani mi się śni spać jak na wycieczce w podstawówce – przemówiła oburzona Franka. – I żeby było jasne: nic pani do tego, co mój Kacper ma w głowie.

Właścicielka gospody tylko prychnęła w odpowiedzi na zaczepkę.

– Pokoje jakie są, sami widzicie. Nie podoba się? Fora ze dwora. – Nie ulegało wątpliwości, że obecna tu bizneswoman gardziła zasadą „klient – nasz pan”. – Wasze szczęście, że w ogóle zgodziłam się was przyjąć po nocy i jeszcze dać kolację.

– Jeśli mogę się wtrącić... – odezwała się Henryka. – Proszę zrozumieć młodych, chcą się nacieszyć swoim towarzystwem. Na pewno pamięta pani, jak to jest być zakochanym. Te rozmowy przez pół nocy, patrzenie sobie w oczy, trzymanie się za ręce – wymieniała rozmarzona Orłowska.

– A co mnie tu będzie gadała! Stara, a życia nie zna. Ta, patrzenie w oczy, trzymanie się za ręce. – Kobieta bezlitośnie spacyfikowała Henrykę. – Niby że ja uwierzę! Pod moim dachem nie będą się odbywać żadne bezeczeństwa. Róbcie sobie koedukację gdzieś indziej.

– Dałaby pani spokój, mamy za sobą długi dzień, jesteśmy zmęczeni. Proszę naszykować im wspólny pokój. – Urszula miała dość.

– Chcecie inne lokum, jedźcie sobie na Tujkowską trzysta pięćdziesiąt dziewięć, z buta to ledwie pięć kilometrów, tylko ciekawe, czy macie tyle mamony, żeby płacić za luksusy trzech gwiazdek. – Wyszczrzyła każdy z dziesięciu krzywych zębów. – Obyście tylko nie zapomnieli zapłacić za kolację, którą u mnie zjedliście.

– A żeby pani wiedziała, że pojedziemy. – Kacper uniósł się honorem.

– Niezapomniane Doznania raczej nie pokryją kosztu noclegu w hotelu – przemówiła słabo przewodniczka, której odwaga sprzed chwili bezpowrotnie uleciała. – Będziecie państwo musieli zapłacić z własnej kieszeni.

Zaciskająca pięści Franciszka pominęła milczeniem słowa przewodniczki, za to wybuchnęła ze zdwojoną siłą wprost w twarz bizneswoman:

– A żebyś wiedziała, babo, że stać nas na trzy gwiazdki, a jak będzie trzeba, to nawet cztery. Nikt nie będzie nam zaglądał do sypialni. Ta speluna nie nadaje się nawet do hodowli świń, a co dopiero dla ludzi. Mam rację, Kacper?

– Masz – przytaknął chłopak. – Chodź, idziemy. Do widzenia. – Ciasno objął żonę ramieniem i poprowadził ją do schodów.

– A wy jak? Bierzecie czy też się nie podoba? – Właścicielka nic a nic nie traciła rezonu.

Przewodniczka powiodła wzrokiem po twarzach zebranych osób, a następnie przemówiła w swoim i ich imieniu zrezygnowanym głosem:

– Bierzemy.

– Ja myślę. – Gospodyni triumfowała. – Pryszyć i WC są na końcu korytarza. Papier toaletowy we własnym zakresie. Jak nie macie, można u mnie dokupić, rolka sześć pięćdziesiąt. Mydło w siateczce przy umywalce, w razie kradzieży wzywam policję. Śniadanie od dziewiątej do dziesiątej. Kto się spóźni, nie je. Doba hotelowa kończy się w południe. Przyjdziecie po terminie, płacicie za kolejny dzień. Jeśli zostajecie dłużej, macie się do mnie

zgłosić, sprawdzę, czy będzie wolne.

– Bo z pewnością rezerwacje są zrobione na dwa lata w przód. – Tym razem dla odmiany to Leon pochwalił się umiejętnością rzucania ciętych ripost.

– Nooo... – Właścicielka zagrzewała się do drugiej rundy.

– Wystarczy. Nie ma sensu się kłócić – oświadczyła Ulka. Chwyła rączkę walizki firmy Radien Orłowskiej i zaproponowała emerytce: – Pomogę pani z bagażem. – Zrobiła krok w kierunku celi numer jeden i dodała na odchodne: – Życzę państwu dobrej nocy. – Po czym bardziej odważnie niż chętnie weszła do środka. Zaraz za nią wkroczyły potulne niczym baranki Henryka z Krystyną.

Natychmiast po przekroczeniu progu starsza pani zapytała:

– Czy ja mogłabym spać na górze? Strasznie chciałabym zobaczyć, jak to jest.

Krystyna z niechęcią przyjrzała się Orłowskiej, która zdawała się nie tylko nie dostrzegać niedostatków pokoju, ale również była zadziwiająco podekscytowana możliwością wdrapania się na chybotliwą konstrukcję.

– Oświadczam, że nade mną nikt nie będzie spał. Chwilę temu wykończyliście mojego małżonka – przyłożyła chusteczkę higieniczną do oka, które nagle wypełniło się łzami – a teraz planujecie zamach na moje życie. – Opadła na dolną kondygnację, kryjąc twarz w poduszce.

– Pani Krysiu... – Orłowska przysiadła obok i położyła jej dłoń na plecach.

Ulka przeklęła dosadnie pod nosem, ale zaraz, już

spokojniejsza, wrzasnęła:

– Jaki znowu zamach! Limit durnot, które dzisiaj usłyszałam, przekroczył wszelkie granice. Pani Henryko, śpi pani nade mną. Dobranoc. – Rzuciła się szczupakiem na parterowe łóżko naprzeciwko Kryśki, odwróciła plecami do współsadzonych, bezgranicznie oddając się swojej pasji.

Krystyna z Henryką wymieniły spojrzenia.

– Biedne dziecko, taki silny stres dla delikatnej dziewczyny. My, starzy, przećwiczeni przez życie, uodporniliśmy się na wstrząsy. Na szczęście młodzi szybko się regenerują. Pani się nie boi, wyśpi się, wypocznie i nic jej nie będzie. – Henia, widząc brak zrozumienia w oczach Krystyny, poklepała ją serdecznie po plecach i wstała. Chciwie zerknęła na drabinkę prowadzącą do pośłania, które szczęśliwie przypadało jej na tę noc, najpierw jednak należało zająć się bagażem oraz wieczorną, a może trafniej, ze względu na późną godzinę, należałoby powiedzieć: nocną higieną. Z trudem przetoczyła walizkę ze środka w róg pokoju. W końcu, usatysfakcjonowana, wyprostowała się. Z zaciekawieniem zerknęła na plac przed gospodą rozświetlony żarówką jednej latarni. Tuż pod nią wmurowano ławeczkę, na której tymczasowo rozgościł się z książką opatulony Kacper. Kobieta ponownie spojrzała na drabinkę. Co się odwlecze, to nie uciecze – pomyślała, zakładając płaszcz.

Mocno trzymając się lepkiej poręczy, zeszła po stromych schodach na dół i za moment znalazła się przy ławce. Choć pogoda jak na drugą połowę marca była wiosenna,

z każdym podmuchem wiatru nadal czuć było zimowy chłód, który nieprzyjemnie smagał po twarzy oraz krzyżu.

– Widzę, że inaugurację sezonu z książką na powietrzu masz za sobą, mój drogi – zaczęła rozmowę.

– Czekam na Francescę, skoczyła na minutę do łazienki, więc sobie czytam dla zabicia czasu, ale powiem pani, że palców już nie czuję.

Henryka mocniej naciągnęła wełniany kapelusik na uszy i usiadła obok Kacpra.

– Chłopcze, jest zdecydowanie za zimno, żebym miała wyciągać z ciebie informacje podstępem. Powiedz mi po prostu, co miała na myśli pani Krystyna, kiedy sugerowała, że ty oraz Francesca byliście na liście wrogów jej męża.

– Od początku spodobała mi się pani prostolinijność, więc powiem. – Nie wahał się ani sekundy. – Racja, jest zdecydowanie zbyt zimno na kombinowanie, podobnie jak na długie opowieści, dlatego będę się streszczał. I nawet nie zapytam, dlaczego to panią interesuje. – Uśmiechnął się życzliwie.

Henryce przeszła przez głowę niepojąca myśl, że za łatwo jej idzie, a przepytывani podejrzenie chętnie jej się zwierniają, mimo to słuchała go w skupieniu.

– Ta cała pani Krystyna to awanturnica, a jej zmarły mąż był niezłym cwaniakiem. Jakiś czas temu była u Franceski na paznokciach i podobno moja żona zniszczyła jej dłonie. Bzdury. Francesca jest doskonała w swoim zawodzie. Pani Krystyna poskarżyła się mężowi, a on od razu wyczuł interes. Wiem, że ona chciała odpuścić, zresztą nie ma się



co dziwić, w końcu wiedziała, że naopowiadała głupot. Ale on nie zamierzał dać za wygraną i parł ze sprawą domniemych szkód jak czołg, nie zwracając uwagi na sprzeciw swej żony. Zacierał ręce na myśl o odszkodowaniu, które planował wyłudzić od Franceski. Ale proszę bardzo, niby taki sprytny, a jak przyszło co do czego, to ktoś go przechytrzył i otruł. Od razu dodam, że to nie byliśmy my. Tyle w temacie.

– Domyślam się, chłopcze, że dorzuciłeś panu Stanisławowi od siebie kilka słów, a może i nie tylko słów, w obronie żony. – Orłowską kierowała intuicja.

– Nie – zaprzeczył spokojnym głosem. – Nie było powodu. Poznałem go dopiero tutaj, na wycieczce. Facet opowiadał historię wyssaną z palca, moja żona jest niewinna. W siódmym wydaniu „Prawa karnego w sytuacji wyłudzeń odszkodowań oraz innych przestępstw natury gospodarczej” było wyraźnie napisane, że oskarżenia niepoparte dowodami nic mu nie dadzą w sądzie. Taki pozew od razu zostałby odrzucony. Szkoda by mi było pieniędzy na bilet tramwajowy, żeby zawracać sobie głowę rozmową ze zwykłym naciągaczem – powiedział bez skrępowania Kacper.

– Jestem – ogłosiła radośnie Franciszka, bezceremonialnie przerywając im rozmowę. – Zeszło mi kapkę dłużej, bo poza oczywistą sprawą zamieniłam przez telefon dwa słowa z przyjaciółką. – Cmoknęła męża w policzek. – Przy okazji zawołałam taksówkę, powinna zaraz podjechać przed bramę. Idziemy? – zapytała.

Chłopak podniósł się i włożył książkę do wewnętrznej

kieszzeni kurtki.

– Do zobaczenia – rzucił do Orłowskiej, biorąc ukochaną za rękę.

– Pani się trzyma – zwróciła się Franka do Henryki. – Jakby miała pani ochotę na paznokietki, zapraszam. – Wręczyła starszej pani wizytówkę.

– Dziękuję, dużo zdrowia, kochani, i szczęścia na nowej drodze życia.

Małżonkowie zaczęli się oddalać. Nagle Henryka zerwała się z ławki.

– Francesco! – krzyknęła.

Kacper z Franką zatrzymali się. Henia wykonała jeden sus i dopadła do pary.

– Tam, na stacji benzynowej, gdzie na ciebie czekaliśmy, widziałam przez okno autokaru, jak podnosiłaś z ziemi coś, co wypadło z worka pana Irka – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– A nie, to nie było jego. – Franciszka machnęła ręką. – Chociaż dałabym sobie uciąć głowę, że jednak jego.

– Co to było?

– Wyszuszony na wiór liść. Moment. – Wsunęła dłoń do kieszeni kurtki. – Jest! Zapomniałam wyrzucić – powiedziała, podając Orłowskiej znalezisko.

Henryka chwyciła je zachłannie, błyskawicznie założyła na nos okulary i przyjrzała się ciemnobrązowemu, dziwacznie poskręcanemu grubemu liściowi.

– Do czego to pani potrzebne? – Dziewczyna dopiero teraz wykazała zainteresowanie.

– A do niczego, zwykła babska ciekawość –

odpowiedziała Henia, którą przeniesienie wzroku z liścia na kosmetyczkę kosztowało wiele wysiłku. – Mogę go zachować?

– Pani bierze – zgodziła się bez oporów Frania i dodała po chwili: – Coś pani kręci. Kacper, też to widzisz? – Potrząsnęła mężowską dłonią.

– Co? – Kacper nie był na bieżąco. Nie wiedzieć kiedy wyjął z kieszeni książkę i korzystając z ledwo docierającego do niego światła latarni, sprawdzał, czy zarządzenie Patrycjusza Havelocka Vetinariego rozwiąże problem epidemii szczurów w Ankh-Morpork<sup>1</sup>.

– Już nic. – Franka przewróciła oczami, a chłopak wrócił do przerwanej lektury. – Ja nie z tych, co łatwo ich zwieść – oznajmiła dziewczyna.

– Jestem zwyczajnie wścibska. – Orłowska przezornie schowała zdobycz, żeby czasem Franciszka nie zmieniła zdania i nie odebrała jej liścia.

Franka zmrużyła powieki i z przekrzywioną jak u gołębia głową popatrzyła Henryce głęboko w oczy.

– Ktoś tu się bawi w detektywa i szuka mordercy – powiedziała zadowolona z własnej domyślności. – Słyszysz, Kacp... – Jeden rzut oka na męża szczerzącego się do książki sprawił, że dała sobie spokój. – Niepotrzebnie się pani męczy, zabiła żona, mówię pani. Chyba że pani coś wie. – Nagle zrobiła się podejrzliwa.

– Ja... – Henryka planowała zaprzeczyć, ale ponownie kierujące się w jej stronę hipnotyzujące oczy Franceski skutecznie odwiodły ją od tego pomysłu. – Tylko nikomu mnie nie wydaj, kochana. Jestem na emeryturze, mam

dużo czasu, więc pomyślałam, że z nudów trochę powęszę. Taka tam rozrywka starszej pani – usprawiedliwiła się.

Nagle z mroku wyłonił się rozwścieczony mężczyzna.

– To wy zamawialiście taryfę? – zagrmiał.

– My – potwierdziła struchlała Franciszka.

– Miastowi! Ile mam na was czekać? Żeby było jasne: licznik cały czas bije.

– Przepraszamy, już idziemy. – Dziewczyna pociągnęła zaczytanego Kacpra w stronę, z której nadchodził taksówkarz.

Henryka została sama, a ponieważ nogi zdążyły jej zmarznąć na kość, bez dalszego ociągania, najszybciej jak potrafiła, wróciła do pokoju.

Temperatura w jedyńce przywodziła na myśl saunę, lecz zmarznięta Orłowska przyjęła taki stan rzeczy z wielką radością. Delikatnie zamknęła za sobą drzwi, jako że nie była pewna, czy jej współlokatorki zasnęły. Światło nadal się świeciło, ale obie panie, zwrócone do siebie plecami, a twarzami do ścian, wydawały się spać. W tej sytuacji, żeby im nie przeszkadzać, Henryka postanowiła zachowywać się jak ninja. Na paluszkach podeszła do krzesła, na którego oparciu zawiesiła płaszcz. Przykucnęła przy swojej walizce i z zaciśniętymi zębami powoli zaczęła przesuwac ekspres. W absolutnej ciszy rozległo się miarowe terkotanie, jakie zwyczajowo towarzyszy tego typu czynności. Orłowskiej, która nie chciała zakłócać snu pań, ów dźwięk przypominał natężeniem trąbienie tudzież bębnienie, dlatego po otwarciu zamka o każde kolejne kilka milimetrów

na chwilę zamierała w bezruchu. W konsekwencji dostanie się do koszuli nocnej oraz kosmetyków, przynajmniej w jej odczuciu, przedłużało się w nieskończoność.

– Niech pani w końcu otworzy tę walizkę! – ryknęła zniecierpliwiona doprowadzona do ostateczności Krystyna.

Henia aż podskoczyła.

– Obudziłam panią, przepraszam. – Zrobiło jej się głupio.

– Nie spałam. – Ton głosu wdowy był nieco mniej wrogi. – Jak mogłabym spokojnie spać w takiej sytuacji? – Pociągnęła nosem.

Henryka przysiadła na łóżku obok leżącej kobiety i z troską położyła jej dłoń na ramieniu.

– Bardzo mi pani szkoda – powiedziała ze współczuciem.

Krystyna uniosła się na łokciu i pochlipując, zaczęła mówić urwanymi zdaniami:

– Trzydzieści osiem lat razem. Mieliśmy się wspólnie zestarzeć, podróżować na emeryturze. Tyle planów. A teraz wszystko legło w gruzach. Mój Stasiek, mój Stasieniek! – zawyła, ukrywając twarz w poduszce.

Henryka, chcąc dodać kobiecie otuchy, delikatnie poklepała ją po plecach. Wdowa ze zwieszoną głową usiadła obok starszej pani.

– Nikt nie jest w stanie przywrócić Staśkowi życia. Pamiętam dzień naszego ślubu. W kościele miałam suknię z koronkami, wyszywaną perełkami, a ile falban! Do tego wianek z prawdziwych kwiatów, atłasowe rękawiczki za łokieć, wiązanka z białych lilii. Wyglądałam przepięknie – rozmarzyła się. – A na cywilny założyłam garsonkę w kolorze ecru. Żakiet miał guziki z imitacji kości

słoniowej, bufiaste rękawy, spódnica była centymetr przed kolano. W życiu bym nie przypuszczała, że spotka nas coś takiego jak dzisiaj... Zajmowałam się domem, pomagałam Staśkowi w interesach. Co ja teraz pocznę? W tym wielkim domu będę sama jak palec. Tyle wspomnień! Byliśmy tylko ja i on, on i ja, nie złożyło się na dzieci. Zostałam sama.

Henia podała jej nieużywaną chusteczkę higieniczną, którą zawsze na wszelki wypadek miała ukrytą w rękawie swetra. Krystyna głośno wysmarkała nos. Zapadła cisza. Orłowska ujęła dłoń wdowy.

– Czasami w życiu jest tak, że trzeba się wygadać, niech pani mówi, co ślina przyniesie na język. W tej sytuacji chyba jedyne, co da się zrobić, to wszystko z siebie wyrzucić. Jeśli nawet nie pomoże, przynajmniej nie zaszkodzi – poradziła.

Krystyna pokiwała głową. Rzuciła jednym okiem na plecy Urszuli. Henryka jakby czytała jej w myślach, bo zapewniła ją:

– Proszę się nie obawiać. Wydaje mi się, że dziewczyna miała dziś dość wrażeń i dla relaksu włączyła sobie film, a może nawet śpi. Zresztą, głęboko do uszu wetknęła słuchawki, nie ma szans, żeby nas słyszała – uspokoiła wdowę.

Krystyna dłużej się nie powstrzymywała, z jej ust wylał się potok mniej bądź bardziej sensownych wypowiedzi.

– Co z wydawnictwem? Mam je sprzedać? Sama prowadzić? Kto będzie teraz wyrzucał śmieci? Kto naprawi gniazdko, które wypadło w łazience koło lustra? Nie

pamiętam hasła do konta. Jak on mówił? MRWKRT234 czy może RMWKRT1234? Taka piękna miłość... Pomagaliśmy sobie. Służyliśmy radą. Jeden mógł zawsze liczyć na drugiego. A teraz go nie ma i nigdy nie będzie. Zawsze w duecie. Chyba pierwszy raz od trzydziestu ośmiu lat będę dzisiaj spała sama. – Wdowa rozkleiła się na dobre, ale potok płynących po policzkach łez, podobnie jak poprzednio, nie naruszył misternie wykonanego makijażu. – Tak strasznie wyglądał ten wystający język. Taki silny mężczyzna... – Kobieta zamyśliła się, na jej twarzy nagle zaszła zmiana. Wymierzyła w Henrykę palec wskazujący zakończony białym, przerażającym szponem i ze złością zaczęła wyrzucać z siebie słowa: – To on go zabił! Mówię pani, że to on!

– Jaki on? – Orłowska nie miała pojęcia, o kim mowa.

– Ten kucharzyna! Policja wyraźnie powiedziała, że Stasiek został otruty.

– Pani Krysiu – Henryka przemawiała łagodnie – przecież każdy z nas jadł z tych samych pudełek, nie tylko pan Stanisław. I niech się pani sama zastanowi, niby po co pan Witold miałby zabijać pani męża? Przecież wcześniej nawet się nie znali.

– Nie wiem do końca, jak ani dlaczego zabił mojego Stasię, ale to był on. Mówię pani, jestem tego pewna. Gdzieś go już widziałam. – Zmrużyła oczy, sięgając do najdalszych zakamarków pamięci. – Coś mi się kołacze po głowie. Oj, przypomnę sobie! Nie ujdzie mu to na sucho.

Ku uldze starszej pani pazur zniknął z jej pola widzenia,

jednak nie na długo, gdyż po sekundzie, równie nieoczekiwanie jak poprzednim razem, Krystyna ponownie wystrzeliła nim w bliskie okolice oka Orłowskiej. Tętno emerytki poszybowało pod niebo.

– Albo ta druga! Ta druga też jest niezłym ziółkiem. I ten jej napompowany męzulek. We dwójkę zaplanowali morderstwo z zimną krwią! – Krystyna z wielką lekkością rzuciła kolejnym kamieniem, oczywiście w przenośni, chociaż trudno powiedzieć, jak potoczyłaby się akcja, gdyby wdowa miała pod ręką zarówno oskarżonych, jak i kamienie.

– Ma pani na myśli Francescę z Kacprem? – Henryka dyskretnie zerknęła na Ulkę, lecz zgrabne plecy blondynki nawet nie drgnęły po tych wszystkich rewelacjach wypowiedzianych przez Krystynę.

– A niby kogo innego? – Wzburzona dama poprawiła szponem oprawkę okularów.

Gdy zaostrzony paznokieć oddalił się na bezpieczną odległość od gałki ocznej Henryki, ta poczuła się trochę pewniej. Nie zamierzała jednak tracić czujności. Spodziewając się następnych wymachów dłoni, była przygotowana do zrobienia uniku. W końcu nie mogła mieć pewności, czy sama nie stanie się przypadkową oskarżoną, a wdowa nie dokona na niej samosądu przy użyciu trupio bladych tipsów.

– Pani Krystyno, skąd w ogóle pomysł, że to mieliby być oni? – mówiła uspokajającym, łagodnym głosem Orłowska.

W dwa tysiące dwunastym roku widziała w telewizji



wywiad z policyjnym negocjatorem. Mężczyzna poza przytoczeniem garści pikantnych historii ze swojej pracy wspomniał również, jak należy modulować głos, dobierać słowa, żeby wpłynąć na agresora i uratować zakładników. Nie do końca zrównoważone zachowanie Krystyny, które Henryka łączyła z przeżytym tego dnia szokiem, sugerowało starszej pani, że jeśli nie już, to za chwilę rolę zakładników mogą odegrać ona oraz niczego nieświadoma Urszula. Należało działać, priorytetem było przywrócenie Krystynie pełni władz umysłowych. Orłowską naszła niespodziewane jednak inna myśl: a co, jeśli wdowa ma wiedzę przydatną dla jej śledztwa? Pokusa zdobycia informacji była silna, Henryka biła się z myślami.

– Dlaczego? Bo Stasiek chciał, żeby ta mała poniosła odpowiedzialność za swoją nieudolność! Jeśli ktoś chce się nazywać kosmetyczką, powinien wiedzieć, jak się robi paznokcie i dłonie, a nie żeby potem klientka, tak jak ja, wychodziła ze zmasakrowanymi dłońmi. Wyglądałam strasznie. Napaprała mi jakiegoś mazidła, chwaliła się, że to jest jej własna tajna receptura. Trutka na szczury, a nie krem złuszczający! Dwie godziny miałam czerwone ręce. Było mi wstyd tak się pokazać w sklepie. Ja jestem litościwa, zrobiło mi się jej szkoda, ale Stasiek ani myślał darować mojej krzywdy – wyjawiała rozzłoszczona żona świętej pamięci Stanisława.

– Chcieliście, żeby ją zwolnili?

– Jakie zwolnili? Co mi po jej zwolnieniu? Poniosłam straty moralne. Ile ja się nabałam, że te plamy mi nie zejda! Stasiek chciał wywalczyć w sądzie w pełni należące

mi się odszkodowanie. Sama pani powie, czy te marne piętnaście tysięcy złotych wynagrodziłoby mój stres? Przynajmniej Francesca miałaby nauzkę. Pewnie dowiedzieli się, że Stasiak będzie na tej wycieczce, i tylko czekali na okazję, żeby go otruć – wylewała z siebie jad.

– Pani Krysiu, przecież Francesca wygrała wyjazd w radiu, sama mi powiedziała.

– Sama powiedziała, wielkie mi co! Każdy może powiedzieć wszystko. A słyszała pani na własne uszy na antenie, jak wygrywała? Przejrzałam ich. Oni zabili Staśka. Sama pani widzi, że mam rację, no niech pani powie. – Świdrowała wzrokiem Orłowską.

– Dziewczyna nie chciała zapłacić – rzekła starsza pani, mając nadzieję na wymiganie się od odpowiedzi.

– A skąd! Jeszcze mi pyskowała w twarz, że tak miało być. Podobno zabiegi złuszczające na początku powodują podrażnienie skóry. Ja jestem światową kobietą! Żoną poważnego biznesmena! O ludzie... – Raptownie w jej zachowaniu zaszła zmiana. – Nie żoną, wdową! – zawyła.

– Już dobrze, moja droga. – Henryka objęła ją ramieniem. – Wszystko będzie dobrze, jakoś się to ułoży.

Nie potrafiła zostawić Krystyny samej, dlatego tylko tęsknym wzrokiem zerknęła na piętro łóżka, gdzie pierwotnie miała spać, i tak długo siedziała obok płaczącej wdowy, aż ta się uspokoiła i zasnęła. Orłowska zgasła światło, wróciła na miejsce obok Krystyny, gdzie wierząc się przez dłuższą chwilę w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji, w końcu oparła się ramieniem o drabinkę. Długo myślała o śmierci Stanisława oraz o tym, czego się

dowiedziała. Miarowy oddech wdowy uspił ją dopiero nad ranem.

Wygiętą w paragraf Orłowską obudziło delikatne potrząsanie za ramię. Henia otworzyła oczy.

– Proszę pani, trzeba wstawać, przyjechała policja i kazali nam przyjść do recepcji – poinformowała nachylona nad nią przewodniczka. Pozbawiona genu wścibskości blondynka nie zapytała, co też Henryka robi w pozycji półsiedzącej na posłaniu żony denata.

– Która jest godzina? – Starsza pani zabrała się za rozmasowywanie zeszywniałego karku.

– Ósma czterdzieści osiem – odczytała z ekranu telefonu Urszula.

– A gdzie pani Krystyna?

– Chcieli porozmawiać z nią w pierwszej kolejności.

– Nie słyszałam, żeby ktoś wchodził do naszego pokoju.

– Całkiem możliwe, zachowywali się zaskakująco cicho, a nawet powiedziałabym, że kulturalnie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę ich wczorajsze chamstwo.

– To ja się szybko umyję, przebiorę i zaraz przyjdę.

– Nie ma czasu. Nie wiadomo, ile tamci znowu będą nas trzymać. Pal licho to pozał się Boże śniadanie, ale ani myślę zostawać tutaj choćby godzinę dłużej, niż jest to absolutnie konieczne. – Urszula dokładnie przyjrzała się Orłowskiej i zdecydowała: – Niech pani idzie tak, jak jest, dobrze pani wygląda.

W drodze do recepcji przewodniczka delikatnie, acz stanowczo popędzała Henrykę, dzięki czemu niewiele później znalazły się w holu. Orłowska rozejrzała się

dookoła. Poza nią i Ulką na wezwanie stawił się komplet uczestników wycieczki do Paryża, Irek oraz wyglądające zza winkła trzy osoby z obsługi wraz ze wścibską właścicielką gospody.

– Czekaliśmy tylko na panie. Chcielibyśmy powiedzieć kilka słów wyjaśnienia przed podjęciem dalszych kroków w kontekście morderstwa, które miało miejsce w państwa autokarze – wyrecytował na jednym wdechu wcześniej przygotowaną mowę starszy z dwóch policjantów, którzy ich przesłuchiwali poprzedniego dnia. – Nie zajmiemy dużo czasu.

– O, a co to dzisiaj tak grzecznie? – zapytał nie bez złośliwości Witold.

– Proszę, jaka zmiana, będą nam wyjaśniać. – I pisarz dorzucił coś od siebie.

Radi napiął muskuły, zrobił krok w kierunku Leonarda.

– Radi, daj spokój. – Lenio chwycił go za przedramię.

O dziwo, młody policjant posłuchał partnera.

– Jak zacząłem... – kontynuował Lenio.

– Nie macie prawa nas przetrzymywać! Dzisiaj jadę do domu. Zaraz zadzwonię po swojego prawnika. – Wdowa była rozjuszona.

– To nie będzie potrzebne. – Radi, choć przychodziło mu to z niemałą trudnością, co zdradzała pulsująca żyłka na środku jego czoła, na razie panował nad sobą. – Mamy państwa dane, przesłuchania na ten moment uważamy za zakończone. Możecie państwo wrócić do swoich domów, choćby nawet teraz.

– My oczywiście nie spoczniemy. Będziemy szukać

mordercy. – Lenio zsalutował.

– Do domu? A co z wycieczką do Paryża? – Francesca była rozczarowana, nadal miała cichą nadzieję, że wyruszą w dalszą podróż.

– Współczuję, ale ze względu na trwające śledztwo w sprawie morderstwa nie możecie państwo w najbliższym czasie opuszczać kraju. – Starszy z funkcjonariuszy rozłożył ręce, nie wydawało się jednak, żeby było mu szczególnie przykro.

– Jak to nie możemy opuszczać kraju? Kto niby tak zdecydował? O nie, tak nie będzie! Dzwonię do prawnika.

– Krystyna zaczęła grzebać w torebce, zapominając, że jedyne, o czym marzyła jeszcze chwilę temu, to powrót do domu, a nie zagraniczne wojaże.

– Właśnie, chcemy jechać! Wygraliśmy wycieczkę, druga taka okazja może się nam nie powtórzyć nigdy w życiu. – Franka ani myślała łatwo zrezygnować z darmowej podróży poślubnej.

– Ty nieczuła, mała... – Wdowa doskoczyła do kosmetyczki.

– Spokój! – Radi poczuł, że zaraz oszaleje. – Do żadnej Francji nie pojedziecie! – krzyknął. – Cieszcie się, że puszczaamy was do domu, zamiast zamknąć w areszcie. Robimy wam wielką uprzejmość – rozkręcał się.

– Radi, spokojnie. – Lenio poklepał go po ramieniu.

– Jak z nimi można spokojnie? Sam powiedz. – Sierżant zacisnął pięści.

– Tyle z naszej strony. – Lenio przejął pałeczkę. – Dziękujemy państwu za współpracę, życzymy miłego dnia.

Funkcjonariusze odwrócili się i w pośpiechu wyszli.

– Za trzy minuty dziewiąta. – Urszula zerknęła na zegarek i aż zbladła z przestachu na widok dużej wskazówki niebezpiecznie zbliżającej się do dwunastki. – Chodźmy na śniadanie, a potem jak najszybciej opuśćmy ten barak – ponagliła towarzystwo.

– Ani nam się śni zostać tutaj choćby sekundę dłużej. Kacper, zgodzisz się ze mną? – Franka wetknęła na głowę czapkę z monstrualnym pomponem. Ponieważ mąż nie odpowiadał, rzuciła na niego okiem. – Zobaczysz, w końcu się z tobą rozwiodę, jeśli nie przestaniesz z tymi książkami! – wysyczała na widok chłopaka, który swoim zwyczajem był całkowicie pochłonięty dzierzoną w dłoni literaturą.

– Co, że co? – „Rozwiodę”, które padło z ust ukochanej, podziałało niczym kubeł zimnej wody wylany wprost na twarz. – Francesca, sorry.

– Schowaj to! – rozkazała.

– Oczywiście, kochanie. – Próbował ułagodzić małżonkę, nie tylko ukrywając w kieszeni powieść, ale również gładząc Franię po przedramieniu, którego odnalezienie nie było proste pod warstwą sztucznego turkusowego futra okalającego kaptur.

Franciszka ciężko westchnęła, ale dała spokój dąsom.

– Nie czekajcie na nas z autokarem. Zostajemy na weekend w hotelu na Tujkowskiej. Kto wie, czy jego wystój nie jest bardziej romantyczny niż Paryż. Takie luksusy, że głowa mała. No i bez porównania lepiej niż w tym rynsztoku. – Ostatnie słowa powiedziała podniesionym głosem, patrząc w kierunku nieudolnie

ukrytej za rogiem właścicielki.

Bizneswoman nie zamierzała pozwalać na bezkarne obrażanie jej interesu, dlatego natychmiast wystawiła jedną nogę na korytarz. Widząc to, Franka chwyciła Kacpra pod ramię.

– Do widzenia – wyrzuciła z siebie pożegnanie szybciej niż kałasznikow pocisk i czmychnęła, nie dając właścicielce szans na odwet.

– A co tak stoicie? Śniadanie się zaczęło. Nie myślcie czasem, że jak się spóźnicie, kucharz będzie drugi raz ślęczał nad garami. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi. – Skoro nie udało jej się wyrównać rachunków z Franciszką, postanowiła przynajmniej odegrać się na pozostałych wycieczkowiczach.

Towarzystwo przeszło na stołówkę, wlekąc się noga za nogą. Na talerzach czekały na nich specjały w postaci grzanek, których rolę pełniły kanapki niezjedzone wczoraj podczas kolacji. Jedynie najtwardsi, czyli Henryka, Irek oraz Leon, zdecydowali się nimi posilić. Pozostali, którzy cytując Witolda, „woleliby szeznać, niż zjeść takie świństwa”, pobiegli do pokoi, gdzie w pośpiechu spakowali swoje rzeczy, żeby jak najszybciej ewakuować się z pozostawiającego wiele do życzenia motelu Rojal.

## ROZDZIAŁ 9

– Nie czekamy na resztę? – zdziwiła się Orłowska, omiatając wzrokiem jedynie cztery osoby znajdujące się na pokładzie odjeżdżającego autokaru.

– Pani Francesca z mężem zostali w hotelu – podjęła się wyjaśnienia Urszula.

– Słyszałam, jak mówili – przyznała Henia.

– Po pana Witolda przyjechał samochodem kolega, który był w okolicy. Podobno jeśli nie będą żałowali gazu, to dzisiaj zdąży pójść do pracy. Pan Leon przy okazji zabrał się z nimi – pokrzykiwała przewodniczka, odwrócona tyłem do kierunku jazdy, a przodem do siedzącej kilka rzędów dalej Henryki.

– Aha. – Orłowska zerknęła na wdowę, która w odpowiedzi ostentacyjnie skrzyżowała tułów do okna, pokazując starszej pani tył czarnej bluzy z dwoma paskami na rękawie i dając tym do zrozumienia, że nie ma ochoty na pogaduszki. Gdy sekundę później Henryka ponownie spojrzała na Ulkę, już nie było z nią kontaktu.

Emerytka wzruszyła ramionami i zabrała się do grzebania w torbie z rozrywkami. Nie bardzo miała ochotę na krzyżówki. Podobnie nie kusiło jej sudoku, szydełkowanie ani czytanie przewodnika po Paryżu. W końcu natrafiła dłonią na złożoną chusteczkę higieniczną, która służyła jej za zabezpieczenie dowodu



rzeczowego ze stacji benzynowej. Odwinęła liść i ponownie obejrzała go ze wszystkich stron w nadziei, że tym razem dostrzeże coś nowego, przełomowego dla śledztwa. Nic z tego. Liść jak na złość ani myślał wyjawić jakiegokolwiek tajemnicy. Niezrażona Henia schowała go i przeszła do przodu autokaru.

– Przysiądę tu sobie, mogę? – zapytała Ireneusza, zajmując miejsce tuż za jego plecami.

– Pani siada – powiedział dokładnie w tej samej chwili, kiedy pojazd wypełniło przeciągłe chrapnięcie. – Trzeba przyznać, że jak na kogoś, komu wczoraj zmarł mąż, sen jej dopisuje – rzucił zgryźliwą uwagę pod adresem wdowy.

– To pewnie taki mechanizm obronny, mówiła mi o nim ekspedientka z mięsnego. – Henryka chętnie podzieliła się wiedzą.

– He? Że co? – Kierowca uniósł prawy wąs.

– Wie pan, taki sposób, żeby sobie poradzić z problemem.

Irek zmarszczył nos, na poły z niezrozumieniem, a na poły z niedowierzaniem mierząc wzrokiem Krystynę we wstecznym lusterku.

– Ale ten autokar to prawdziwy klejnot! – pochwaliła Henia.

– Się dba, to się ma. – Nie ulegało wątpliwości, że rozpierała go duma.

– Musiał pan wydać dużo oszczędności, żeby kupić takiego mercedesa. – Orłowska zerknęła z ukosa na Ulkę, sprawdzając, czy przypadkiem się im nie przysłuchuje. W końcu ledwie wczoraj blondynka mówiła jej o kredycie

Irka. Starszej pani nie uśmiechało się zostać posądzoną o postępującą sklerozę. Szczęśliwie przewodniczka była obecna jedynie ciałem, całą swoją uwagę poświęcała przebieraniu kciukami po ekranie telefonu, co najwidoczniej musiało ją niebywale bawić, ponieważ zaśmiewała się przy tym do łez.

– Gdzie tam! Przez dziesięć lat będę go miał na spótkę z bankiem.

– Współczuję, to musi być mało przyjemne. Teraz przyszedły takie czasy, że co drugi człowiek bierze kredyt i spłaca go aż do emerytury. A co, jeśli przytrafi się zwolnienie z pracy? Strach pomyśleć. U nas w Łodzi ciężko o zatrudnienie.

– Po co się niepotrzebnie martwić na zapas? Jak się ma zdrowe ręce, to zawsze coś się wykombinuje, jak nie u kogoś, to przecież można rozkręcić swój biznes. Za przykład weźmy mnie. Niby każdego dwudziestego przypada rata, ale czy przejmuję się, że mi powiedzą „do widzenia” w Niezapomnianych Doznaniach? A skąd! Druga sprawa, że pensja u nich jest jak kieszonkowe. Kiedy dostaliśmy z Ulką premię świąteczną, nie wiedzieliśmy, czy się śmiać, czy płakać. – Mocno zakręcił kierownicą i ostro wjechali w zakręt. – Wypowiedzą mi umowę, trudno. Pewnie, że chwilę miałbym kłopot, ale nie ma tak, żeby się nie znalazło jakieś wyjście awaryjne – przemawiał pewnym siebie głosem.

– Dobrze podejście – przyznała Henryka.

– Zresztą nie minął miesiąc, jak sam się zastanawiałem, czy nie podziękować im za współpracę.

– Czemu?

– Turyści są uciążliwi, wiecznie czegoś chcą, ciągle coś się nie podoba, myślą, że mogą korzystać ze sprzętów, jakby były ich, nie szanują autokaru, a nawet go dewastują – wypunktowywał oburzony.

Orłowska skurczyła się. Chwilę wcześniej, podczas nalewania z termosu do kubka ni to kawy, ni to herbaty, którą wzięła na drogę z dzbanka na stole w „sali restauracyjnej” Rojalu, niechcący uroniła kilka kropel napoju na podłogę.

– Mówiłem, u mnie nie ma żółtych kartek, więc jak coś, od razu wywalam delikwenta. A niech sobie szukają innego naiwnego, który ich zabierze.

Wizja usunięcia z autokaru i łapania stopa do Łodzi sprawiła, że Henia duszkiem wypięła ciepławy napój, zakręciła termos i skryła go pod połą swetra w nadziei, że w razie gdy Ireneusz spostrzeże plamę na podłodze, to nie połączy tego z jej osobą. Nie wiedziała bowiem, jaki miałyby być wymiar kary zadawanej przez kierowcę za takie przewinienie, jednak na wszelki wypadek postanowiła natychmiast odwrócić uwagę mężczyzny, nawet jeśli miałyby to wyjść niezgrabnie.

– Panie Irku, a tak z innej beczki: czy wtedy pod muzeum autokar cały czas był zamknięty?

Ireneusz nerwowo poruszył się na fotelu, aż metalicznie zabręczało z co najmniej kilku kieszonek jego kamizelki.

– Nie dość nas wymęczyli na komisariacie? Co to panią w ogóle obchodzi?

– Wie pan, jakie są starsze panie. Nie zdzierzę, jeśli nie

zaspokoję swojej ciekawości. – Posłała mu kokieteryjny uśmiech. – Niech pan się zlituje nad starowinką – prosiła.

Mimo że mężczyzna był młodszy od niej zaledwie o jakieś kilkanaście lat, słowa Orłowskiej podziałały na niego niczym zaklęcie. Wychowany w duchu szacunku dla kobiet oraz osób starszych nie miał wyboru, musiał ulec.

– Niech będzie, powiem pani, ale potem ani słowa o sprawie ze śmiercią, chcę jak najszybciej o tym zapomnieć. Żeby tak w moim autokarze! – warknął. – Zaraz jak wyszłicie, zostawiłem otwarte i skoczyłem do ustępu. Wracając, przypomniałem sobie zrzęczenie tego całego Stanisława na stacji benzynowej, więc zamknąłem drzwi, żeby drugi raz nie miał satysfakcji.

– A długo pana nie było?

– Tyle, co się jest w WC – mruknął. Ani myślał pozwolić na dłuższe wypytywanie. I tak uważał, że zrobił wielki ukłon w kierunku wścibskiej baby. – Zresztą czy to na pewno było morderstwo? Może przekreślił się na zawał, a robią z tego wielką sensację – snuł domysły. – Taki mądry był, a jak skończył? Nie lubiłem go za życia, więc i po śmierci nie polubię, ale ziemia niech mu lekką będzie. Powiem pani, że znam takich jak on: delikatne żołądki, ziółka, dietki, francuskie pieski. Chłop musi być chłop, pani patrzy na mnie. – Puścił kierownicę i dla potwierdzenia słów uderzył się pięściami w pierś, aż gruchnęło. – Niech się tylko robi chłodno, a od razu wyruszam na objazdówkę z klubem morsa. Zanim krioterapia zrobiła się modna w Polsce, my od lat hartowaliśmy się

w przeręblach. Nawet głupi katar się mnie boi, o grypie nie wspomnę.

– Wie pan, u mnie w klubie też jest sekcja morsów, nawet kiedyś się przymierzałam, ale czy ja bym dała radę? – zastanawiała się Henia.

– Starsze ze mną były na Podlasiu na początku stycznia. Trzeba o siebie dbać, bo służba zdrowia u nas, jaka jest, każdy widzi. – Z niezadowolenia uniosły mu się wąsy, smyrając go po nosie.

– Panie Irku – Henryka zdecydowała się postawić wszystko na jedną kartę – niech pan mi powie, tak szczerze, po co panu te liście w workach. – Wyjęła z kieszeni znalezisko Franki i pomachała nim na wysokości oczu kierowcy.

– Co mi tu pani majta przed twarzą! – wściekł się. – Kupiłem sobie ziemniaki od rolnika. Ziemniaki, nie żadne badyle! To nie moje!

– Coś te worki za lekkie jak na ziemniaki.

– Znalazła się wielka znawczyni, która ma wagę w oczach. – Nagle wskazał na naklejkę na oknie. – A tak w ogóle co tu jest napisane? „Rozmowa z kierowcą w czasie jazdy surowo zabroniona” – odczytał. – Nie wolno zagadywać kierowcy. Potem będzie wypadek i do kogo pretensje? No, do kogo?! – Choć wydawało się to niemożliwe, jeszcze bardziej niż poprzednio odwrócił się do niej plecami. Zasznurował usta i wlepił oczy w asfalt.

Henryka, nie przejmując się reakcją Irka, nadal siedziała za nim i patrzyła przez okno. Łudziła się, że znowu go najdzie chęć na pogawędkę. Ponieważ jednak tak się nie

stało, w końcu, z ukrytym pod swetrem termosem, wróciła na swoje miejsce.

Dystans z Łodzi do granicy, na którego pokonanie wczoraj zeszła im znaczna część dnia, w drugą stronę krótszą drogą i bez dodatkowych postojów pokonali w czasie pięciu godzin. Całkiem nieźle wyspana Henryka przekroczyła próg swojego stumetrowego mieszkania zlokalizowanego w starej kamienicy, odziedziczonego po rodzicach. Ku jej wielkiemu zdziwieniu w przedpokoju nie dostrzegła słodziutkiego buraska, którego przed kilkoma miesiącami przywiozła z Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej. To nie było do niego podobne, kociak zwykł czekać na właścicielkę w korytarzu rozłożony na kaloryferze. W dziewięciu na dziesięć przypadków na dźwięk klucza przekręcanego w zamku wykonywał niezgrabny zeskok, żeby chwilę przed wetknięciem mokrego nosa do torby z zakupami niby przypadkiem otrzeć się o łydkę właścicielki.

– Cziz? – Starsza pani błyskawicznie zdjęła z nóg kozaki. A jeśli kuzynka zapomniała nakarmić malca? – przemknęło jej przez myśl.

– Qłi, qłi, qłi. – Z głównego pokoju dobiegało przyjazne piszczenie świnki morskiej.

– Cześć, Bibusiu – odkrzyknęła w odpowiedzi Henryka, wyruszając na poszukiwanie kociaka. – Cziz, łobuzie, gdzie jesteś? – nawoływała. – Obraziłeś się?

Dachowca nie było ani w pokojach, ani w łazience. Orłowska właśnie dotarła do kuchni zlokalizowanej na końcu dziesięciometrowego korytarza.

– Cziz, pokaż się wre... – Włączyła światło i osłupiała. – O nie, znowu? Cziz... – jęknęła na widok pobojuwiska koło lodówki. – Brzydko, bardzo brzydko – rzuciła w przestrzeń słowa nagany, po czym zakasała rękawy płaszcza, zabierając się do zgarniania na kupkę potłuczonych jajek, nadgryzionego masła, namoczonej w mleku laski jałowcowej, zalanego olejem białego sera. Wszystko to było suto okraszone warstwą powideł, musztardy oraz koncentratu pomidorowego. Henryka zebrała w dłoń co większe kawałki szkła. Następnie poszły w ruch ręczniki papierowe, zmiotka z szufelką i po kilku minutach na kafelkach nie było ani śladu apokalipsy sprzed chwili. – Wyłaż, nie bój się, przecież nic ci nie zrobię. – Kątem oka dostrzegła jedną szóstą puszystego łebka grubaska, który ukazał się w dziurze między kuchenną szafką a zamrażarką. – Chodź, łobuzie jeden, nakarmimy cię.

Na te słowa kot wystrzelił w okolice miseczki niczym z procy.

– Zmarnowałeś całe jedzenie z lodówki, które dla ciebie naszykowałam, więc przykro mi, ale będziesz musiał się zadowolić chrupkami – powiedziała, ujmując w dłoń własnoręcznie ozdobiony techniką decoupage pojemnik z obrazkiem cherubinka. Jeden rzut oka na przewróconą miseczkę, która znajdowała się na szczycie pokażnej górki suchej karmy, wyjaśnił sytuację. – No tak, dziewczyna pomyliła się i rano zamiast należnego ci sera dała sucharki. Masz ty charakterek. – Rozbawiona podrapała za uchem zagorzałego fana nabiału. Nakarmiła kota, a następnie dorzuciła sianka do paśnika świnki morskiej. Teraz dla

odmiany to Henryce zaburczało w brzuchu, niestety lodówka świeciła pustkami. A gdyby tak upiec dwie pieczenie na jednym ogniu? – pomyślała. Jak on mówił? To było jakoś tak śmiesznie, jakby z kaczką – próbowała sobie przypomnieć.

Usiadła do komputera. Kilkadziesiąt kliknięć w klawiaturę wystarczyło, żeby odnaleźć adres restauracji, o którą jej chodziło. Zdjęcie Witolda trzymającego w dłoni złotą szypułkę zdobytą w ubiegłym roku podczas dorocznego konkursu kulinarnego organizowanego w Częstochowie z okazji zakończenia wakacji potwierdziło, że chodzi o ten lokal. Jeśli pojedę dwudziestką, to będzie zaledwie piętnaście minut ode mnie – ucieszyła się. Przebrała się, odświeżyła i właśnie miała wychodzić, gdy coś jej się przypomniało. Nie zdejmując butów, przeszła na powrót do kuchni, skąd z kubła na śmieci zabrała zapełniony do połowy worek.

– Żeby cię nie skusiło – powiedziała do kota, który spojrzał na nią z wyrzutem z poziomu półki na kapelusze. – Tam jest pełno szkła – dodała, zanim zniknęła za drzwiami wejściowymi.

Trafiła na miejsce bez problemu. Stojąc pod gustownym szyldem z nazwą restauracji, uświadomiła sobie, że była tutaj całkiem niedawno, gdy w ramach promocji urządzono prezentację połączoną z degustacją gotowania tradycyjnego rosółu w wersji wege fit. Obserwując wtedy z lekką nutką niedowierzania wyczyn kucharza, który przygotowywał kurczaka z soi, z ciekawości zerknęła do menu. Ceny dalekie były od możliwości finansowych



emerytów. Gdyby nie otrzymany kilka miesięcy wcześniej spadek po ciotce, Henryka, nie nadwyrężając budżetu domowego, mogłaby w Kaczym Piplu skorzystać co najwyżej z toalety. Raz, nie zawsze – postanowiła, śmiało popychając drzwi.

Ledwie znalazła się w środku, a zaraz doskoczyła do niej pracownica lokalu, która nie tylko pomogła jej wyswobodzić się z płaszcza, ale również posadziła ją z menu w dłoni przy stoliku. Pobieźny rzut okiem na listę dań wystarczył oszczędnej Heni, żeby wybrać najtańszą pozycję: krem z białych warzyw muśnięty pianą z bobu z dodatkiem pietruszkowych chipsów smaganych aromatem wędzonego drewna za jedyne trzydzieści siedem złotych. Orłowska złożyła zamówienie, a nim zdążyła się dobrze rozejrzeć po lokalu, na stole przed nią stało kilka maleńkich miseczek w fikuśnych kształtach, dzbanuszek oraz pusty talerz. Dla zagorzałej fanki takich programów jak: „Kucharze do mety”, „Pucharek z wazówką”, „Szeł kuchni roku” nie było w tym nic dziwnego. Powoli, wręcz z namaszczeniem przelała krem na talerz i dosypała do niego dodatki, dzięki czemu naczynie napełniło się prawie do połowy i z apetytem zjadła danie do ostatniej łyżki. Z tęsknotą zerknęła jeszcze do karty z napojami, ale dwadzieścia trzy złote za filiżankę kawy uznała za rozpustę. W domu napiję się prawie za darmo. – Podjęła decyzję i zamachała na kelnerkę.

– Czym mogę służyć? – zapytała dziewczyna, wlepiając oczy w klientkę w marynarce pamiętającej rządu Edwarda Gierka.

- Dzisiaj szefem kuchni jest pan Witold?
- Tak.
- Chciałabym zamienić z nim dwa słowa.
- Natychmiast go proszę.

Orłowska nie czekała długo. Po upływie kilku sekund przy jej stoliku stanął Wiktuał we własnej osobie, opasany śnieżnobiałym fartuchem.

– To pani. – Nie wydawał się szczególnie zadowolony widokiem Henryki.

– Siadaj, mój drogi, musimy porozmawiać.

– Nie smakowało pani? – Był niemile zaskoczony.

– Ależ smakowało! Jest pan mistrzem kuchni.

– Cieszę się. – Właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Więc o co chodzi?

– O morderstwo pana Stanisława.

– A niby co ja mam z tym wspólnego? – Zmarszczył czoło.

– Pan wie najlepiej. – Starsza pani odsunęła od stołu krzesło, dając Witoldowi do zrozumienia, żeby usiadł.

– Jestem w pracy, nie mam czasu.

Henryka ze zdziwieniem rozejrzała się po pustej sali.

– Od dwudziestej mamy rezerwację na komplet stolików. – Trafnie odczytał jej myśli.

– Wyrobimy się do ósmej.

– Może innym razem. Do widzenia. – Zaczął odchodzić.

– Wdowa rozpoznała pana, znaliście się wcześniej z jej mężem, i jest tylko kwestią czasu, kiedy pójdzie na policję – zarzuciła sieć.

Wiktuał odwrócił się twarzą do Heni i popatrzył na nią

nieodgadnionym wzrokiem.

– Po co robić sensację? Proszę spocząć, jeszcze się pan dzisiaj nastoi przy garnkach.

Witold, podobnie jak Orłowska, zerknął na przyglądającą się im kelnerkę i skapitulował. Natychmiast po zajęciu krzesła powiedział cicho:

– O co pani chodzi? Nie pani sprawa, czy go znałem przed wycieczką.

– Nie ma powodu, żeby się złościć. Mój drogi, przysłałam, żeby pana ostrzec.

– Ostrzec? Niby przed czym? Jak dla mnie pani Krystyna może sobie iść, gdzie jej się żywnie podoba. Pewnie sama go zabiła i teraz będzie kombinowała, jak kogoś wrobić. Zresztą – machnął ręką – już wcześniej postanowiłem, że jutro rano pójdę na policję. Powinienem był od razu powiedzieć, że go znałem, sam nie wiem, czemu tego nie zrobiłem, nie mam nic do ukrycia. Chociaż dziwię się, że ona jest tak dobrze poinformowana. Zawsze wszystko załatwiałem tylko z nim. Chciał jej powiedzieć o restauracji, dopiero kiedy całość będzie zapięta na ostatni guzik.

– Miała być między wami spółka – wypaliła Henryka.

– Tak. O proszę, czyli jednak jakoś się dowiedziała.

Orłowska, zaskoczona takim przebiegiem rozmowy, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Bądźmy ze sobą szczerzy – zaczęła po chwili ciszy. – Nie mam pewności, co dokładnie wie pani Krystyna. Jest jednak w stu procentach pewna, że widziała was razem, ale nie może sobie przypomnieć gdzie. – Choć Witold spojrzał

gniewnie na Henrykę, ta jednak nie dopuściła go do głosu. – To kwestia czasu, aż sobie skojarzy – dokończyła spokojnie. – Mój drogi, jeśli jest prawdą to, co pan powiedział, że nie ma nic do ukrycia... – Zawiesiła głos, zaczepnie zerkając na niego znad pustej miseczki, i zgarnęła palcem na kupkę okruszki po grzankach.

Zanim Wiktuał zaczął mówić, przewrócił oczami, a na dokładkę wzruszył ramionami.

– Poznałem go jakieś pół roku temu. Przyszedł do Kaczego Pipla na kolację. Moje *foie gras* skropione whiskey z szalotką maczaną w soku z antonówek tak mu zasmakowało, a może to raczej widok sali wypełnionej po brzeg klientami – zadumał się na moment – w każdym razie tydzień później zaproponował mi spółkę. Chciał, żebyśmy razem otworzyli w centrum restaurację. Miał tam pusty lokal, który świetnie się nadawał. Wcześniej nie myślałem o własnym biznesie, ale zapaliłem się do pomysłu. W końcu rozmowy oraz przygotowania były na takim etapie, że złożyłem u szefa wypowiedzenie. I nagle pan Stanisław przepadł jak kamień w wodę, przestał odbierać telefony, a kiedy w końcu go złapałem, odwrócił kota ogonem. W życiu nie starczyłoby mi pieniędzy, żeby samemu otworzyć restaurację. Miałem szczęście, że tutaj nadal było dla mnie miejsce.

– Czemu ktoś, kto prowadzi wydawnictwo, chciał zostać restauratorem? – Henryka nie rozumiała. – To są raczej rozbieżne dziedziny.

– Też mnie to zastanowiło, więc pospraważdałem. Pan Stanisław był biznesmenem, co jakiś czas się

przebranzawiał, sprawa z wydawnictwem trwała krótko. Zresztą jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o... – Popatrzył na nią sugestywnie.

– Pieniądze – odgadła w mig. – A pan nie może sam otworzyć takiego małego bistro? To by chyba nie wymagało wielkich pieniędzy?

– Bistro? – Wiktuał o mało nie spadł z krzesła.

– Wie pan, takiego barku, kilka stolików, do tego modne dzisiaj dania na wynos. – Dzięki rocznej prenumeracie gazety „Szefa Kuchni” wygranej w wojewódzkim marszu na tysiąc metrów w kategorii senior Orłowska była na bieżąco z trendami panującymi na rynku gastronomicznym.

– Barku? *Take away?* – Wyglądał na urażonego. – Miałbym prowadzić budę?

– Budę? – Zmrużyła oczy. – Chyba własny interes zazwyczaj zaczyna się od czegoś niewielkiego – powiedziała nieśmiało – O, wiem, tak zrobił ten Bill Gajtes, który zaczynał w garażu, a dziś jakie ma imperium!

Zniesmaczony stylistą smaku nie skomentował, już wolał wrócić do przerwane go wątku:

– Pan Stanisław jakieś dwa tygodnie temu znowu do mnie przyszedł z tym samym pomysłem. Przysięgał mi tutaj, że cokolwiek by się nie stało, już się nie wycofa. Od razu go wygoniłem. A jednak człowiek jest durny. Przychodził i przychodził. Miał opracowany cały biznesplan, szykował restaurację, chciał, żeby to była kuchnia francuska. Wykupił mi nawet na zachętę tę wycieczkę do Paryża, podszedł mnie jak dziecko – wyrzucał

z siebie ze złością. – I oczywiście cicho sza, żeby nic nie mówić jego żonie. Wchodzę do autokaru, a tam są oboje, ale wsiadłem, co było robić. Na stacji benzynowej złapał mnie na boku i znowu zaczął kręcić. Ech! – Głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Widziałam was wtedy.

– Tak – przytaknął. – A ja głupi po raz drugi oczyma wyobraźni widziałem siebie w roli współwłaściciela. Opowiadał mi, jak to podobno wystąpiły niespodziewane trudności i mój wkład finansowy na początek miałby być większy. Tak się zdenerwowałem! Cwaniak jeden.

Drzwi restauracji otworzyły się i do sali weszła elegancko ubrana para.

– Wracam do pracy. – Wiktuał wstał. – A może to pani go zabiła? – Aż błysnęło mu w oku.

– Ja? A dlaczego miałabym zabijać pana Stanisława? – zapytała zaskoczona emerytka.

– Z nudów – odrzekł. – Albo może otruł go ten Leon.

– A on czemu? – Była zdezorientowana kolejnymi oskarżeniami, które zmieniały się jak w kalejdoskopie.

– A czemu nie?

– Nawet się nie znali.

– A kto pani nagadał takich bzdur? Oczywiście, że się znali.

– Skąd pan wie? – Zrobiła wielkie oczy.

– Żegnam. – Odwrócił się i ruszył w stronę kuchni.

– Ale nie skończyliśmy rozmawiać. – Henryka skoczyła na równe nogi.

– Ja skończyłem – powiedział Wiktuał, oddalając się.

– A ta tajemnica przed żoną? – krzyknęła za nim, ale nie odpowiedział, znikając za drzwiami.

Nie pozostało jej nic innego jak uregulować rachunek i wrócić do domu. Po wykwintnej kolacji w Kaczym Piplu podniebienie Orłowskiej było w pełni usatysfakcjonowane, gorzej miała się sprawa z żołądkiem. Głodowa porcja za bająską sumę z całą pewnością nie zaspokoiła jego potrzeb. Rzut oka do pustej lodówki nie nastrajał optymistycznie, jednak dla kogoś, kto przeżył okres peerelowskich kartek, taka sytuacja była jedynie sentymentalną podróżą do czasów wielkiej kreatywności. Henryka ochoczo zabrała się do działania. Ziemniaki, cebulka podsmażona na resztkach oleju, który nie wylał się na podłogę, a do tego skwarki z rozmrożonego na szybko boczku – i czego chcieć więcej? Jak rzadko Henia rozsiadła się przed ekranem telewizora z kopiastym talerzem purée, gdzie w stanie letargu i błogości, z pełnym brzuchem zastał ją koniec dnia.

## ROZDZIAŁ 10

Orłowską wyrwało ze snu natarczywe brzęczenie telefonu.

– Ki diabeł? – Zerwała się z łóżka, przy okazji nieopatrznie zrzucając z kołdry na podłogę Cziza.

Kociak nastroszył grzbiet i fuknął.

– Ojej, wybacz – przeprosiła go Henia, wsuwając stopy w pantofle w szaro-czerwona kratkę. W koszuli nocnej wpadła do przedpokoju i chwyciła torebkę, w której jak oszalała dzwoniła komórka. Zanim jednak ujęła ją w dłoń, muzyczka umilkła. Mrużąc oczy, odczytała z wyświetlacza: „Nieodebrane połączenie od Kapitan Zborowski”. Była siódma trzy. Henryka natychmiast oddzwoniła.

– Dzień dobry, panie kapitanie. Ma pan dla mnie jakieś wieści?

– Pani Heniu, ja tylko minutkę, spieszę się na akcję. Ten pani denat został otruty wyciągiem z owoców pokrzyku wilczej jagody.

– Strychnina, cykuta, kurara jak najbardziej, ale pokrzyk wilcza jagoda... Tego się nie spodziewałam. Dość niecodzienny pomysł – przemawiała jak doświadczona profesjonalistka w dziedzinie toksykologii kryminalnej, mimo że jej wykształcenie w tych kwestiach ograniczało się do przeczytanych powieści oraz obejrzanych filmów kryminalnych.



– Co racja, to racja – przyznał. – Tyle lat, że tak powiem, siedzę w interesie, a pierwszy raz słyszę, żeby morderca wybrał akurat tę truciznę. Aż z ciekawości poczytałem sobie o niej w podręczniku.

– A skąd można wziąć taki wyciąg? – zainteresowała się.

– Od biedy, jakby się uprzeć, to każdy byłby w stanie go wykonać. Pokrzyk wilcza jagoda rośnie w Polsce, tylko coraz trudniej go spotkać. Trzeba znaleźć jego owoce i sprawdzić w internecie, co dokładnie zrobić. Teraz w sieci jest wszystko, jeśli dobrze poszperać. Da się nawet znaleźć instrukcję, w jaki sposób skonstruować bombę – dodał od siebie. – Ale wracając do rzeczy, trucizna została znaleziona w termosie oraz kubku, którym go zakręcał, no i oczywiście z którego pił. Morderca podał dużą dawkę trucizny, do tego denat chorował na serce, nie uratowało go nawet to, że z wymiotował.

– A ta trucizna szybko zadziałała? – Henryka chciała dowiedzieć się jak najwięcej.

– Minęło kilkadziesiąt minut, maksymalnie godzina od spożycia, gdy mogliście zauważyć pierwsze objawy. Domyślam się, że miał w termosie stosunkowo mało naparu i wypił go do końca w krótkim czasie – wydedukował.

– A nie zorientowałby się, że ten napar ma inny smak, po tym jak morderca dodał do niego wyciągu?

– Raczej nie. Sypał dziewięć łyżeczek cukru na litrowy termos, więc niech sama pani sobie to wyobrazi. Przy takim ulepku trudno byłoby cokolwiek poczuć.

– A odciski palców?

– Trzech osób: ofiary, jego żony i przewodniczki. Każda z nich dotykała termosu. Pani Heniu, przepraszam, muszę kończyć, dobrego dnia. – Zborowski zamierzał się rozłączyć.

– Panie kapitanie! – krzyknęła Orłowska do słuchawki tak głośno, że policjantowi z pewnością zadzwoniło w uszach.

– Tak?

– Gdyby się pan jeszcze czegoś dowiedział... – zaczęła słabym głosem.

– Pani Heniu, i tak za dużo pani zdradziłem. Tajemnica śledztwa, przecież pani wie. – Był nieprzejednany.

– Wiem, chociaż szkoda.

Henryka uprzejmie podziękowała i podeszła do komputera, chcąc poszukać dodatkowych informacji o pokrzyku wilczej jagodzie. Zaaferowana, niedbale rzuciła torebkę na klatkę świnki morskiej, po czym od razu zapisała nazwę trucizny w notesie, który trzymała pod klawiaturą. Dzięki nieoczekiwanej pobudce bladym światem miała dużo czasu, żeby wyszykować się na spotkanie kółka dyskusyjnego o zdrowym żywieniu.

Około godziny dziesiątej, w pełnym rynsztunku, podeszła do klatki Biskopka. Ku jej zdumieniu okazało się, że sprytna świnka miała pracowity poranek. Centymetr po centymetrze, stając na dwóch łapkach, udało jej się wciągnąć ucho oraz niewielką część torebki między dziurami w szczelkach wprost do domku. Orłowska odebrała Bibusiowi swoją własność, pozbierała rozsypane rzeczy z wierzchu klatki oraz trociny. Zniszczenia nie były duże, zaliczały się do nich: nieco nadjedzony materiał, dwa

do połowy schrupane dropsy oraz wygryziony róg wizytówki salonu kosmetycznego, w którym pracowała Franciszka. Henryka obróciła w palcach tekturowy prostokąt i przyjrzała mu się uważnie. Nagle aż klasnęła w dłoń z uciechy.

– Mądry prosiaczek! Podsunąłeś mi doskonały pomysł! – Zamiast zrugać Biskopta, zaczęła go wychwalać. – Taka śliczna świnka, a jaka inteligentna. – Pogładziła zadbane futerko zwierzaka, który z radości rozpląszczył się na sianku. – Co ja bym bez was zrobiła? – Tym razem zwróciła się również do Cziza, który wbrew prawom fizyki w połowie wisiał w powietrzu, a w drugiej połowie leżał na maszynie do szycia.

Kot, najprawdopodobniej zdziwiony zachowaniem pani, zupełnie nieadekwatnym do sytuacji, przerwał czyszczenie trzeciego palca u tylnej łapy.

– Moje kochane maleństwa! – Orłowska nadal piała z zachwytu.

Zwierzaki z niezrozumieniem świdrowały właścicielkę łącznie czterema oczyma. Zdrowa żywność nie zając, nie ucieknie – pomyślała Orłowska, ujmując w dłoń słuchawkę telefonu stacjonarnego.

\* \* \*

– Godność? – zapytała wypacykowana brunetka w średnim wieku wciśnięta w legginsy w tygrysie prążki.

– Henryka Orłowska.

– Na którą?

– Na piętnastą.

– Znalazłam. – Skończyła jeździć paznokciem pomalowanym w gepardzie plamki po zapiskach w kalendarzu. – Jest pani zapisana do Franki – oznajmiła.

Niespodziewanie zza jednego z przepierzeń rozległ się wrzask mrozący krew w żyłach:

– Przecież prosiłam szefową, żeby szefowa nazywała mnie Francescą, szczególnie przy klientkach!

– Ojej, przepraszam cię, zapomniałam – rzekła zawstydzona brunetka. – Coś do picia? – spytała Henrykę.

– O tak! Kawkę. – Oczy starszej pani, która od godziny jedenastej nie miała kofeiny w ustach, rozbłyły jasnym światłem. – Czarną. Najlepiej, jakby była mielona. Trzy łyżeczki cukru.

– Przyniosę – obiecała kobieta. – Pani tam sobie poczeka. – Wskazała fikuśne różowe krzeselko na metalowych nogach ustawione obok wielkiej donicy z dracena.

– Żadne poczeka, proszę od razu do mnie. – Ponownie zagrzmiało z boksu.

– Dobrze! – odchrzyknęła właścicielka salonu. – Pani idzie bezpośrednio do Franki. – Tym razem pokazała dłonią na swoją lewą stronę.

– FRANCESKI!!! – Wyszorowana na błysk podłoga niemal zadrzała od wrzasku.

Orłowska, której do przywrócenia energii nadwątlonej maratonem po trzech urzędach wystarczyła wiedza, że za moment napije się ukochanej kawy, żwawo ruszyła w kierunku źródła hałasu.

– Pani Henryka! – ucieszyła się na jej widok Franciszka. – Co ja mam z tą szefową! Mówię i mówię, a ona i tak

swoje. – Kosmetyczka zdawała się prześwietlać wzrokiem dyktę oklejoną przyjemną dla oka tapetą w nieregularne wzory, która dzieliła ją od stanowiska właścicielki salonu.

– Franka, ty lepiej uważaj! – Doszła ich uszu groźba z okolic kontuaru.

– FRANCESCA! – ryknęła kosmetyczka, ciężko wzdychając. – Ależ zrobimy pani pazurki! Może jakiś odważny wzorek? – Popatrzyła figlarnym wzrokiem na emerytkę.

– Czy ja wiem... – Henia nie była przekonana.

– Zresztą, proszę się zdać na mnie. Lubi pani koty?

– Lubię.

– W takim razie paznokietki na burgund, a na kciukach czarny kot – zdecydowała Frania, odwracając się tyłem do Orłowskiej w poszukiwaniu pilników do paznokci ułożonych w plastikowym koszyczku na regale stojącym za jej plecami.

– Ale... – Orłowska zamierzała zaprotestować.

– Jest pani w dobrych rękach. Będzie pani zadowolona. – Z Franki biła pewność siebie. – A jak idzie śledztwo? – zainteresowała się, nie przerywając energicznego wklepywania zielonego mazidła w dłonie klientki.

– Całkowity brak postępów. Zastój, że tak powiem – wyznała ze smutkiem Henryka. – Moje dziecko, miałam nadzieję, że ty będziesz mogła mi pomóc. Mam do ciebie kilka pytań.

– Pani wali śmiało.

– Opowiedz mi, proszę, jak to było z tymi zniszczonymi dłońmi pani Krystyny.

Dziewczyna na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, przerywając piłowanie paznokci klientki, ale szybko wróciła do przerwanej czynności.

– Pewnie ona pani nagadała.

– Pani Krystyna coś wspomniała. Podobno mąż chciał wywalczyć w sądzie dla niej odszkodowanie.

– Bo sąd by mu dał – prychnęła pogardliwie Franka. – Wielka mi światowa dama z tej całej Kryśki, a nie wie, z czym wiąże się zabieg złuszczający. Jak się usuwa martwy naskórek, to nic dziwnego, że przez chwilę dłonie są zaczerwienione. My tu nieraz miałyśmy do czynienia z takimi naciągaczkami. Szefowa nie jest w ciemną bita, żeby miała uwierzyć byle babie, a nie swojej najlepszej pracownicy. I ten cały pan Stanisław! Będzie mi tu przychodził i groził, że się nie wypłacę. Pani Henryko, czy ja wyglądam na strachliwą?

Orłowska uważnie przyjrzała się siedzącej naprzeciwko postawnej dziewczynie o rumianej twarzy i zadziornie uniesionym podbródku.

– Zdecydowanie nie – oceniła.

– Właśnie. Nic a nic się ich nie bałam. Grosza by ode mnie nie zobaczyli. Wie pani, jak to mówią, krowa, co dużo ryczy, mało mleka daje – oznajmiła ze spokojem, kończąc polerować Henine paznokcie. – Zresztą, jeśli ktoś by się miał bać, to bardziej on mnie niż odwrotnie. – Uśmiechnęła się przebiegle.

– Czemu?

– A bo widzi pani, moja koleżanka Dobronia miała przyjemność robić manicure jego... – zawiesiła głos –

...kochance. Prawda, Dobroniu? – zapytała Francesca podniesionym głosem nie wiadomo kogo.

Henryka rozejrzała się po maleńkim, ale przytulnym boksie otoczonym z trzech stron cienkimi ściankami, a z czwartej kotarą. Na jednej ze ścian były przymocowane półki, na których równo poustawiano lakiery do paznokci we wszystkich kolorach świata. Poza Orłowską oraz Franciszką z całą pewnością nie było w tym miejscu nikogo więcej, starsza pani mogła za to ręczyć głową.

– Prawda – odpowiedział nieoczekiwanie France sopran dochodzący zza przepierzenia po jej lewej stronie.

– Dziecko, a skąd wiesz, że tamta klientka była kochanką pana Stanisława? – dopytała Henia, nie bardzo wiedząc, co myśleć o tym, że ktoś przysłuchuje się ich rozmowie.

– Sama powiedziała. Przechwalała się, że jest w związku z wydawcą. Dobronia pociągnęła ją za język, a jak ona wtedy zaczęła gadać! Prawda, Dobroniu?

– Prawda. – Potwierdzenie zza dykty przyszło natychmiast.

– Niech pani sobie wyobrazi, że ta cała kochanka aż piała z radości, że on zostawi dla niej żonę. Nie powiem, żebym uwielbiała panią Kryskę, ale mimo wszystko tak ją potraktować?

– A znasz imię i nazwisko kochanki? – Zadawalona z wylewności dziewczyny Henryka nawet nie pisnęła na widok, jak na jej gust, zbyt intensywnego koloru lakieru do paznokci wybranego przez Francescę.

– Dobronia, jak się nazywało to czupiradło? – I tym razem kosmetyczka postanowiła się wspomóc wiedzą

koleżanki.

– Pani Krzysztofa. – Dobronia nie zawiodła.

– Ona jest sekretarką w tym całym ich wydawnictwie. Pani Heniu, niech pani sobie wyobrazi, że żadna z niej laska. Zwykła stara baba w wieku jego żony. Ojej... Przepraszam. – Franka dopiero teraz uświadomiła sobie *faux pas* popełnione wobec siedzącej naprzeciwko niej dobrze ponad sześćdziesięcioletniej kobiety.

– Nic się nie przejmuj, moje dziecko. – Orłowska łagodnie poklepała Franciszkę po dłoni.

– Proszę się nie ruszać! Przecież lakier się rozmaże! – wrzasnęła Francesca.

– Przepraszam... – Henryka zabrała rękę na poprzednie miejsce.

– Na szczęście nic się nie stało – orzekła kosmetyczka po dokładnym obejrzeniu pomalowanych paznokci. – Tylko już proszę uważać.

– Pani kawa. – Dopiero teraz właścicielka salonu nadeszła z tak wyczekiwany przez Henrykę napojem.

Orłowska zerknęła tęsknym wzrokiem na filizankę, z której rozchodził się orzeźwiający aromat. Ale jak się napić, skoro trzeba uważać na mokry lakier? – zachodziła w głowę.

– Wkładamy dłonie – zakomenderowała w tym momencie Franciszka i postawiła na biurku obok klientki dwa niewielkich rozmiarów urządzenia, świecące agresywnym różowym światłem.

– Tutaj? – Pani Henia, nieobyta z usługami salonów piękności, nie była pewna, czy dobrze rozumie.



– Tutaj – potwierdziła dziewczyna. – To są lampy do paznokci – wyjaśniła.

Orłowska posłusznie, choć z lekkim niepokojem, wykonała polecenie, podejrzliwie przyglądając się dziwnym maszynom.

– Pewnie twój mąż rozzłościł się na wieść o tym, że pan Stanisław chciał cię podać do sądu? – wróciła do przerwane go tematu.

– E tam, Kacper łatwo się nie denerwuje. Powiedział, żebyśmy to olali. Po co się przejmować głupotami?

– Nie próbowaliście przekonać pana Stanisława i jego żony, żeby dali sobie spokój z pozwem?

– Rozmawiałam z nimi, kiedy pierwszy raz przyszli do salonu, ale to nie miało sensu. Oni swoje, ja swoje. Szefowa też próbowała, ale w końcu machnęła ręką. Kacper mówił, że nic nie mogą mi zrobić. On ciągle czyta te swoje książki, więc dużo wie. Tyle tylko, że mnie wkurzyli.

– Oj, wkurzyli ją – potwierdził głos z prawej.

– Ciekawe, kto go zabił – zastanawiała się Franka.

– Na pewno żona – podzieliła się swoim zdaniem niewidoczna zza przepierzenia postać znajdująca się po lewej stronie.

– Racja. – Francesca pokiwała głową.

Henryka w milczeniu przysłuchiwała się wymianie opinii między kosmetyczkami i właścicielką. Ponieważ nie była pewna, czy zakaz poruszania dłońmi został zdjęty, więc prawie niepostrzeżenie ujęła filiżankę za uszko i zachłannie wypita połowę ciepłej kawy.

– Ty też byś się tak nie dała bezkarnie zdradzać Kacprowi! – zakrzyknęła szefowa salonu, nie ruszając się ze swojego miejsca przy kontuarze.

– Mój Kacper w życiu by mi nie wywinął takiego kretyńskiego numeru.

– Fakt – przyznała właścicielka. – Świata poza tobą nie widzi. *Love is in the air* – zaśpiewała.

– Moje dziecko, mówiłaś Kacprowi o kochance pana Stanisława? – spytała Henryka zaraz po tym, jak dyskretnie i bezgłośnie odstawiła filiżankę na spodek.

– Jakoś zapomniałam. – Za pomocą pęsety Franka przykleiła cekinowe oczy kotu namalowanemu na paznokciu klientki. – I gotowe!

– O ludzie! – Orłowska obejrzała pod światłem lampy ustawionej na biurku dzieło Franciszki. – Będę z tobą szczerą: byłam sceptyczna do tego manicure’u, ale zupełnie niepotrzebnie. Kochana, przecież ty masz wielki talent!

– A jak! – Zadowolona Franciszka wyszczerzyła zęby.

– Moja najzdolniejsza pracownica, chluba i wizytówka salonu. – Szefowa aż puchła z dumy.

– Ej! – Lewa strona zbuntowała się.

– Oj, Dobronia, nie bądź zazdrosna, z ciebie też jestem bardzo zadowolona. – Właścicielka na wszelki wypadek wolała zawczasu udobruchać drugą podwładną.

– Ja myślę. – Dobromira najwyraźniej była usatysfakcjonowana.

– Może byście mnie kiedyś odwiedzili z Kacprem? – zaproponowała Henryka. – Wpadnijcie któregoś dnia na herbatę, upiekę babeczki z rodzynkami.

– Bardzo chętnie. – Zaproszenie wyraźnie ucieszyło Franciszkę.

– Franka, kolejna klientka do ciebie! – poinformowała krzykiem szefowa.

– FRANCESCA!!! – Ręce dziewczyny opadły do samej ziemi. – Zapraszam! – wrzasnęła w stronę drzwi wejściowych. Ledwie skończyła zapisywać w kalendarzu adres oraz numer telefonu do Orłowskiej, gdy do boksu zajrzała kolejna chętna na manicure.

Henryka nie chciała zajmować więcej czasu zapracowanej kosmetyczce. Wychyliła resztę kawy (szkoda marnować) i wniosła u brunetki w tygrysiach legginsach bardzo rozsądną opłatę jak za cudo, które zdobiło jej paznokcie. Rozejrzała się na odchodnym po gustownie urządzonym salonie kosmetycznym i piechotą, dla zdrowia, przeszła trzy przystanki. Przy Mickiewicza rozbolały ją nogi, a na dokładkę rozpadał się śnieg. Starsza pani uznała, że nastał właściwy moment, żeby skorzystać z dobrodziejstwa komunikacji miejskiej.

Autobus przyjechał spóźniony jedynie o dwanaście minut. Henryka powoli wyszła spod wiaty, skąd napierana przez grupkę zziębniętych pasażerów została wepchnięta do środka niskopodłogowego pojazdu firmy Mercedes Benz. Podróżowała ściśnięta niczym sardynka w puszcze i po kilku minutach z ulgą wysiadła na przystanku nieopodal swojego mieszkania.

– A kogóż ja widzę? Nie może być, czy mnie oczy nie mylą? Pani Henia! – ucieszył się zaprzyjaźniony kioskarsz.

Orłowska skończyła poprawiać wełniany kapelusik

przekrzywiony w wyniku intensywnego przepychania się do drzwi i podeszła do okienka, z którego wystawała męska głowa w ciepłej uszance.

– Pan Józef. – Uśmiechnęła się do sprzedawcy.

– A cóż to? Pani nie na wycieczce? Przecież dopiero co pani wyjechała, a już jest z powrotem?

– Niestety, ale musieliśmy wcześniej wrócić. – Henryka, która w przeciwieństwie do Józefa nie lubiła plotkować, sprytnie odwróciła uwagę mężczyzny: – Niech pan sobie wyobrazi, że razem ze mną w autokarze jechał prawdziwy pisarz.

– Pisarz, mówi pani? – Na tę rewelację z okienka poza głową wyjrzały również ramiona. – Który to? Jaki był? Co napisał? No, niechże pani mówi! – ponaglał ją.

– Pan poczeka, on wymyślił taki trudny do zapamiętania tytuł, że aż musiałam sobie zapisać, bo inaczej w życiu nie dałabym rady go powtórzyć. – Emerytka zanurkowała upiękzoną niedawno dłonią w torebce w poszukiwaniu kalendarzyka. – O, mam. – Założyła na nos okulary i przeczytała: – „Inwazja pingwinów – ludojadów z Marsa – przymierze”.

Sprzedawca wytrzeszczył oczy.

– Zaraz, jak?

– „Inwazja pingwinów – ludojadów z Marsa – przymierze” – powtórzyła, po czym schowała do torby kalendarzyk oraz okulary. Otrzepała płaszcz z mokrego śniegu.

– Sekunda. – W okienku nagle zrobiło się pusto. – Tak jak sądziłem, proszę zobaczyć – rzekł z triumfem w głosie pan

Józef, podając jej po chwili niezbyt grubą książkę.

Henryka wzięła ją do ręki i przyjrzała się okładce.

– No proszę! Czyli to jest bardzo poczytna powieść, skoro można ją kupić nawet w kiosku!

– Czy ja wiem... – Józef nie był co do tego przekonany. – Pani jest pierwszą osobą, która wspomniała o tej książce, mimo że leży na witrynie w centralnym punkcie. Dwa tygodnie temu ten autor przyniósł mi trzy egzemplarze. Pytał, czy nie zgodziłbym się ich wziąć na sprzedaż. Co mi szkodzi? Trzeba pomagać młodym początkującym artystom. Koledzy, którzy sprzedają na Kontaktowej i Sznurecznikowej, mówili mi, że obchodził też inne kioski oraz księgarnie.

– Jak to? Pisarze sami chodzą z książkami, żeby je sprzedać? Myślałam, że wydawnictwa zajmują się dystrybucją.

– Zazwyczaj tak, ale co innego, jeśli to jest – wskazał na powieść Leona – self-publishing.

– Self co?

– Pani Heniu, nie słyszała pani o self-publishingu? – zapytał znawca w tej dziedzinie, który w ubiegłym miesiącu od deski do deski przeczytał dodatek o rynku wydawniczym do magazynu „Pieniądz”. – Jest taka opcja, że można z własnych funduszy pokryć koszt wydania książki, na przykład jeśli ktoś sam sobie chce być sterem i żeglarzem, ma trudność ze znalezieniem wydawcy albo nie chce czekać. Zresztą są różne powody, długo by wymieniać – objaśniał zadowolony, że Henryka z uwagą słucha jego wykładu. – Obecnie wcale nie tak

mało autorów się na to decyduje.

– Że też wcześniej nic o tym nie słyszałam.

– Więc pewnie nie wie też pani, że z dawnych pisarzy na przykład Proust musiał skorzystać z posiadanych pieniędzy, żeby jego dzieło się ukazało.

– Marcel Proust? Ten od „W poszukiwaniu straconego czasu”?

– Dokładnie on.

– Ale mnie pan zaskoczył! Pamiętam, jak z zapartym tchem czytałam cały cykl powieści Prousta, od „W stronę Swanna” aż do „Czasu odnalezionego”.

– Ale wracając do tematu... Kiedy wkłada się w coś swoją gotówkę, jest ryzyko, że inwestycja się nie zwróci.

– Jak to mówią, do odważnych świat należy. Młodzi są obrotni, biorą sprawy w swoje ręce i chwala im za to. – Henryka z zadowoleniem pokiwała głową. – Panie Józefie, a czy może przyszły najnowsze gazetki z harmonogramem wydarzeń w naszym województwie?

– Oczywiście! Jeden egzemplarz jak zawsze czeka na panią, jeszcze ciepły. – Kioskarz wyjął informator spod lady.

– Cudownie – ucieszyła się. – Ale ziąb, a przez chwilę czuć było wiosnę.

– Niż ze wschodu, nic się nie poradzi. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Przynajmniej wymrozi komary. – Orłowska była mistrzynią w wyszukiwaniu pozytywów nawet tam, gdzie trudno się było ich dopatrzeć.

Zapłaciła, zgarnęła „Inwazję pingwinów – ludojadów

z Marsa – przymierze” do torby, wzięła do ręki informator i dziarsko ruszyła przed siebie.

– To się kiedyś źle skończy – mruknął pod nosem Józef obserwujący plecy zaprzyjaźnionej klientki, która nie mogła wytrzymać, aż znajdzie się w domu, tylko od razu rozłożyła płachtę gazety i trzymając ją w odległości kilku centymetrów od twarzy, wolno kroczyła chodnikiem.

Po ulicy, tuż obok zaczytanej Orłowskiej, pędziły samochody. Pochłonięta lekturą kobieta na nic nie zważała. Chciwie przerzucała wzrokiem kolejne atrakcje, notując w pamięci te, które szczególnie ją zainteresowały: spacer tropem dzikiej natury miasta Łodzi, szkolenie dla amatorów „Jak kłaść kafelki oraz gładź”, doroczne moczenie się w przerębli – zamknięcie sezonu, zawody w połowie szczupaków, zwiedzanie pałacu Korkoczyńskich połączone z ogniskiem, „Uśmiech Babci” – sztuka wystawiana na deskach Teatru Rekonwalescenta z darmowym wstępem.

– Au! – stęknęła uderzona w przedramię kierownicą mijającego ją roweru, chwilę po tym jak przypadkowo zboczyła na ścieżkę rowerową.

– Trzeba patrzeć, jak się łązi! Znalazła się królowa chodnika. Bez pięćdziesięciu złotych mandatu nie są w stanie ogarnąć, która strona jest dla pieszych, a która dla rowerzystów. – Właściciel wychuchanej kolarki, nie zatrzymując się, podniesionym głosem zakomunikował całej ulicy, co sądzi o niefrasobliwej pieszej.

– Przepraszam – odparła zawstydzona Henryka, wpychając pod pachę informator.

## ROZDZIAŁ 11

Łódź była skąpana w słońcu. Termometr wskazywał pełne piętnaście stopni Celsjusza. Gdyby nie piętrzące się gdzieniegdzie niewysokie góry przybrudzonego śniegu, trudno byłoby uwierzyć, że zaledwie wczoraj Orłowska wróciła do mieszkania zmarznięta na kość i pokryta od stóp do głów warstwą białego puchu. Moczenie stóp przez pół godziny w misce z gorącym naparem z pokrzywy, zebranej w czasie rajdu po Parku Krajobrazowym Wzniesień Łódzkich, a następnie przez tydzień suszonej w niskiej temperaturze w piekarniku, jak zwykle okazało się niezawodną metodą na uniknięcie kataru. Dzięki temu starsza pani jak co dzień była gotowa do działania.

Do autobusu wsiadła na krańcówce, zajęła jedno z trzydziestu pustych miejsc siedzących i w oczekiwaniu na odjazd zabrała się za powieść Leona. Krótki opis z tyłu okładki głosił, że trzyma w dłoni dzieło łączące w sobie wiele gatunków: od fantasy, science fiction, historii, przez romans, kryminał, komedię, aż po horror. Zaintrygowana otworzyła książkę na pierwszej stronie.

Grzomista Kaczowskiego radiowy głos dobiegający z głośnika autobusu obwieścił zbliżający się przystanek. Henia zamknęła powieść w połowie drugiego rozdziału i przesuając się od poręczy do poręczy, dotarła do wyjścia.



Stara kamienica ukryta na tyłach dawno zamkniętej fabryki prezentowała się raczej mało zachęcająco. Niewielka tabliczka z nazwą wydawnictwa, którą Henryka z trudem wypatrzyła na porośniętej bluszczem ścianie, nie pozostawiała jednak wątpliwości, że trafiła we właściwe miejsce. Weszła do budynku. Na parterze za pierwszymi drzwiami po prawej znajdowała się siedziba firmy Stanisława. Starsza pani głośno zapukała, jednak nikt jej nie odpowiedział. Nieśmiało nacisnęła klamkę, a gdy drzwi stanęły przed nią otworem, ujrzała długi, słabo oświetlony korytarz. Przemierzając go wolnym krokiem, minęła toaletę oraz magazyn. Na końcu korytarza znajdowały się jeszcze jedne drzwi, które były lekko uchylone. Orłowska ponownie zapukała.

– Proszę. – Usłyszała zaproszenie.

Bez ociągania wkroczyła do środka i bystrym wzrokiem rozejrzała się wokoło. Wnętrze, w którym się znalazła, okazało się przechodnim maleńkim pokojem, pozbawionym okna, który pełnił rolę sekretariatu. Henryce wydał się on raczej marną wizytówką firmy. Poza biurkiem w pomieszczeniu stał tylko regał pełen segregatorów oraz trzy palmy sięgające od podłogi do sufitu. Na każdej ze ścian znajdowały się kolejne drzwi. Za tymi z lewej strony Henryka zobaczyła klitkę metr na metr, lecz za to z dużym oknem. Zmieściła się tam jedynie (i to zapewne z niemałym trudem) niewysoka komoda, najprawdopodobniej pełniąca rolę kuchni. Stały na niej: wysokiej klasy ekspres do kawy, czajnik elektryczny, dwa kubki, trzy rolki ręczników papierowych

i cztery papieru toaletowego. Na ścianie przeciwległej do wejścia z do połowy otwartymi drzwiami opatrzonymi tabliczką „Gabinet szefa” starsza pani wypatrzyła wychodzące na podwórze niewielkie okno, ustawione pod nim biurko i piętrzące się obok niego na podłodze cztery stosy książek. Ostatnie, zamknięte drzwi po prawej stronie, opisano: „Schowek”.

Orłowska mimowolnie skrzywiła się. W jej wyobraźni siedziba wydawnictwa powinna wyglądać zgoła inaczej. Składałyby się na nią tętniące życiem pomieszczenia pełne rozemocjonowanych redaktorów prowadzących wielogodzinne dysputy na tematy związane z literaturą, pokoje pękające w szwach od maszynopisów, popielniczki pełne niedopałków papierosów wypalonych przy okazji robienia korekt i nanoszenia poprawek do dzieł, które dwa dni temu miały znaleźć się w drukarni, ale nadal jeszcze do niej nie trafiły. Uderzyła ją również rozbieżność między przepychem, z jakim nosił się Stanisław, a niepozornym – żeby nie powiedzieć: ubogo wyglądającym – biurem.

– W czymś pomóc? – Ubrana na czarno kobieta, jedyna poza Henryką osoba znajdująca się w sekretariacie, odzyskała mowę, którą utraciła na dobre dwadzieścia sekund pod wpływem wrażenia, jakie wywarło na niej ekscentryczne odzienie Orłowskiej. Efekt ten był w pełni zamierzony. Specjalnie na okoliczność rozmowy z kochanką Stanisława Henia wypożyczyła z kółka teatralnego w domu seniora obszerny płaszcz w szkocką czerwoną kratę, przepasany szarfą w takim samym kolorze. Strój wieńczył beret w zgniłozieloną kratkę z pomponem

wielkości orzecha włoskiego. Kostium, który ostatecznie nie został wykorzystany podczas wystawiania „Makbeta”, nareszcie doczekał się swoich pięciu minut, i to prawie w przedstawieniu.

– Pani Krzysztofa? – zapytała Henryka, dość skutecznie udając angielski akcent.

– Tak. – Sekretarka podejrzliwie przyjrzała się przybyłej i włożyła porcelanowego słonika do kartonowego pudła stojącego na biurku. Za młodu uważana za seksbombę, a obecnie jako pięćdziesięcioośmiolatka, co prawda nie miała już figury ani wagi modelki, ale nadal była dość zgrabna, a w jej oczach widać było inteligentny błysk.

Orłowska pogratulowała sobie w myślach, że odpowiednio przygotowała się do przesłuchania, gdyż Krzysztofa nie wyglądała na łatwą do przechytrzenia.

– Camaicestomon – przedstawiła się. – Stasio mówił mi o przemiłej sekretarce, ale nawet słowem się nie zająknął, że jest pani tak atrakcyjna. Chciałam się widzieć ze Stasiem, to znaczy, moim chrześniakiem – uszczegółowiła.

Po tych słowach Krzysztofa ciężko opadła na krzesło i zaczęła pochlipywać.

– Niestety, nic z tego – oznajmiła przez łyży.

– Dlaczego? – Henryka coraz bardziej wczuwała się w rolę, którą dokładnie sobie obmyśliła podczas śniadania.

– Stasiu, to znaczy szef, zmarł – zaszlochała kochanka.

– O Boże jedyny, Matko Święta! – Henia na wpół zawyla, na wpół wysapała. – Jak to możliwe?! Przecież niedawno z nim rozmawiałam, wydawał się w pełni sił,

przynajmniej przez telefon. – Fałszywa Camaicestomon mimo usilnych starań nie wydusiła z siebie na zawołanie ani jednej maleńkiej łzy. Trudno, czas na plan awaryjny – postanowiła. Złapała się za serce, zaczęła szybko i głośno oddychać. – Moje serce, moje biedne stare serce. Tak mi kołacze, że chyba wyskoczy!

Sekretarka jednym ruchem rękawa bawełnianej bluzki z nadrukiem konia otarła łzy i dopadła do Henryki. Posadziła ją na krześle po drugiej stronie biurka, chwyciła do ręki pierwszy lepszy segregator i zaczęła ją nim wachlować.

– Wzywam pogotowie – oświadczyła wystraszonym głosem.

– Nie ma takiej potrzeby. – Orłowska błyskawicznie chwyciła Krzysztofę za rękę, w którą ta zdążyła złapać słuchawkę telefonu. – Moja droga, proszę, daj mi tylko wody, zaraz dojdę do siebie. W torebce mam leki, wezmę trzy pastylki i przejdzie.

Sekretarka porzuciła segregator i nalała pół szklanki wody mineralnej.

– Proszę. – Podała ją Henryce.

Aktorka-amatorka trzęsącą się dłonią wyjęła z torebki wyproszone od sąsiadki opakowanie po lekach na arytmie, odkręciła nakrętkę, wysypała na dłoń tik-taki udające tabletki, wrzuciła je do ust i popiła.

– Za chwilę serce powinno mi się uspokoić – zapewniła ze słabym uśmiechem. – Jeśli mogłabym tutaj poczekać, aż poczuję się lepiej...

– Oczywiście, żaden problem – powiedziała Krzysztofa,

wracając do wachlowania starszej pani segregatorem.

– Jak to się stało, że mój chrześniak nie żyje?

– Lepiej o tym nie mówmy, po co ma się pani denerwować.

– Nic mi nie będzie. Proszki zaraz zaczną działać, najgorsze minęło – zapewniła. – Mój kochany Stasio... Pamiętam, jak biegał u mnie po podwórku w krótkich spodenkach na szelkach. Który to mógł być rok? Sześćdziesiąty siódmy? Ósmy? Zawsze robiłam dla niego górki trójkolorowego budyniu, uwielbiał je. Pierwsza warstwa była waniliowa, druga truskawkowa, a trzecia czekoladowa. Potem wyruszyłam do Wielkiej Brytanii. Tyle czasu przyszło mi żyć na obczyźnie z daleka od rodziny, nie widziałam Stasia ze trzydzieści lat, ale ostatnio zadzwoniłam do niego, powspominaliśmy stare czasy. U kresu swoich dni chciałam jeszcze pożegnać bliskich – westchnęła. – Kupiłam bilet na samolot i przyjechałam z Anglii, żeby się zobaczyć z rodziną. Byłam na wsi, a dzisiaj zajechałam tutaj, myślałam, że zrobię mu niespodziankę. I kto kogo zaskoczył? – Ze smutkiem pokiwała głową. – Na co zmarł? Niech pani mówi i niczego przede mną nie ukrywa – poprosiła.

– Został otruty – powiedziała z wahaniem kochanka Stanisława, pełna wątpliwości, czy po takiej rewelacji nietuzinkowa staruszka, na jaką kreowała się Henryka, nie dokona żywota.

– Otruty? Jak to otruty?! – rzucała kolejne pytania Orłowska. – Krystyna się zapłacz!

Krzysztofa nastroszyła się. Nerwowo upchnęła

chusteczkę w kieszeni spódnicy przed kolano. Odłożyła segregator, obeszła dookoła biurko, podniosła dziurkacz i z hukiem wrzuciła go do pudła.

– Nie byłabym tego taka pewna – syknęła.

– Ależ kochana, dlaczego? – Henryka dosunęła się z krzesłem bliżej kobiety.

– Chyba lepiej się już pani czuje? – fuknęła sekretarka.

– O tak, o wiele, nie będę zajmowała pani więcej czasu. – Henia podniosła się, ale natychmiast ponownie opadła na krzesło, łapiąc się za serce. – Ach, to kołatanie!

Krzysztofa po raz drugi podbiegła do Orłowskiej.

– Proszę tu sobie posiedzieć, nie ma co się tak zrywać, wcale mi pani nie przeszkadza. – Było jej wstyd, że naskoczyła na tę biedną, schorowaną kobietę. – Zaparzę pani liptona.

Henryka miała poprosić o kawę w miejsce proponowanej herbaty, jednak w porę ugryzła się w język.

– Dziękuję, chętnie się napiję, dobrze mi to robi.

– Ech, ten angielski *tea time* – westchnęła z rozmarzeniem Krzyśka, podchodząc do czajnika.

– Była pani w Anglii?

– Nie, niestety, ale miałam nadzieję, że kiedyś pojedę. Cóż, teraz, kiedy zostałam bez pracy, realizacja mojego marzenia coraz bardziej odsuwa się w czasie.

– Zamykacie wydawnictwo z powodu śmierci Stasia?

– Nie wiem, co się stanie z wydawnictwem. – Sekretarka wzruszyła ramionami. – Gdyby Stasiek żył, nie dopuściłby do mojego zwolnienia. – Wierzchem dłoni otarła łzę, która spływała jej po policzku. – Słodzi pani?

– Trzy łyżeczki. Stasio musiał być wspaniałym szefem, że tak pani po nim płacze.

– Wspaniałym szefem, człowiekiem, mężczyzną. – Wysiąkała nos w chusteczkę, po czym postawiła na biurku dwie herbaty.

– Miło słuchać, kiedy ktoś tak dobrze mówi o moim chrześniaku. – Orłowska przywołała na twarz wyraz rozanielenia. – Już wcześniej zauważyłam pani zapuchnięte od płaczu oczy, ale nic nie chciałam mówić, żeby nie wyjść na wścibską. – Upiła łyk gorącego napoju. – Moja kochana, proszę powiedz: kto i dlaczego panią zwolnił?

Krzysztofa przez chwilę milczała. Z jednej strony nie miała ochoty na zwierzenia, ale z drugiej – czuła, że nie może dłużej w sobie wszystkiego dusić. A zresztą, niech Kryśka ma za swoje – pomyślała.

– Krystyna – rzekła dobitnie.

– Żona Stasia?

– We własnej osobie. – Sekretarka energicznie zamieszała herbatę, mocno uderzając łyżeczką o ścianki kubka. – W odwecie – dodała.

– W odwecie za co?

– Za to – wzięła głęboki wdech – że Stasiek wolał mnie, a nie ją.

– Ojejku! – Henryka złapała się za serce. – Pani go kochała, prawda?

– Tak – przyznała ponuro, wycierając w mokrą chusteczkę dwa wartkie strumienie płynących łez. – Stara pudernica wyrzuciła mnie na bruk. Taką sobie wybrała zemstę. Ciekawe, jak sama jedna poradzi sobie

z prowadzeniem firmy. Stasiek chciał się z nią rozwieść. Dlatego go zabiła, mściwa flądra! – W emocjach Krzysztofa uderzyła kubkiem pełnym herbaty o blat. O dziwo, na biurko wylało się tylko trochę napoju, który odruchowo przetarła rękawem bluzki. – Jak tylko dowiedziałam się o morderstwie, od razu poszłam na policję i opowiedziałam, jak ostatnio odwiedziła mnie w pracy. Przyszła cała wypindrzona, wymalowana. – Kobieta poprawiła materiałową opaskę na gładko zaczesanych włosach. – Staśka wtedy nie było, wykorzystwała jego nieobecność. Wlazała tutaj wyperfumowana tak mocno, że nie dało się oddychać. Rozsiadła się na krześle naprzeciwko, na moje biurko rzuciła torebkę i powiedziała: „Myślisz, że nic nie wiem?” – Krzysztofa perfekcyjnie przedrzeźniała Krystynę. – Ja jej na to: „Ale o czym, szefowo?”. Na co ona wycedziła przez te implanty: „W życiu go nie wypuszczę. Nie zobaczysz nawet grosza z moich pieniędzy. Myślałaś, że mnie okradniesz z tego, co mi się prawowicie należy?”. A na co mnie niby jej pieniądze? Miłość, droga pani, miłość. Niechby sobie wzięła pieniądze, firmę, ten paskudny dom na Truńczyka z przerażającymi lwami straszącymi przy wjeździe na posesję. Zresztą Stasiek, zanim mnie poznał, wpadł na pomysł, żeby otworzyć restaurację. Już nawet zrobił jakieś przygotowania. Moglibyśmy we dwoje zacząć na nowo, a jej zostawić wydawnictwo.

– To Kryśka wolała wydawnictwo niż restaurację?

– Stasiek jej nie mówił o swoich planach, nic nie wiedziała. On zajmował się biznesami, nie ona. Albo wie



pani – pociągnęła nosem – nawet byśmy jej zostawili wszystko, niech ma. A tu proszę... Na pewno zabiła dla pieniędzy. Nie wiem, dlaczego do dzisiaj jej nie aresztowali. Ale nie zgadnie pani, co ona mi na koniec powiedziała, bezczelna!

– Co?

– Że Stanisław nie ogląda się za takimi grubymi! Niby ja gruba?

– Gruba? – Henryka zmierzyła wzrokiem nieco zaokrągloną sylwetkę sekretarki. – Co w ogóle znaczy określenie gruba? Piękno jest rzeczą gustu. – Gładko wybrnęła z sytuacji. – KobiECE kształty, moja droga, właśnie to podoba się prawdziwym mężczyznom. Zresztą wieszaki dawno temu wyszły z mody.

Ukontentowana Krzysztofa upiła duży łyk herbaty posłodzonej czterema kopiastymi łyżeczkami cukru.

– Przepraszam, że tak źle mówię o Kryśce, wiem, że jest żoną pani chrześniaka, ale lepiej, żeby znała pani o niej prawdę.

– Kochana, nie przepraszaj, cenię sobie szczerość.

– Kryśka tylko jątrzy i podburza. Ostatnio wierciła Staśkowi dziurę w brzuchu, żeby oskarżył jakąś biedną kosmetyczkę, bo podobno zniszczyła jej dłonie. Stasiek w końcu obiecał pomóc, przez co naraził się na niebezpieczeństwo.

– Jakie niebezpieczeństwo? – Orłowska zastrzygła uszami.

– Ogromne! Mąż tej dziewczyny niespodziewanie przyjechał do nas do biura. To był taki wielki, napakowany

chłopak. Wpadł do sekretariatu jak burza, od razu wypatrzył Staśka w gabinecie i rzucił się do niego. Groził, że Stasiek go popamięta, jeśli nie da spokoju jego żonie Francesce. Swoją drogą, ciekawe imię, może Włoszka? – zastanowiło Krzysztofę.

– Hm... – Starsza pani przywołała we wspomnieniach gorliwe zapewnienie zarówno Kacpra, jak i Franki, że chłopak nie zaprzętał sobie głowy oskarżeniem i nie poznał Stanisława aż do czasu wycieczki. Ktoś z tej trójki kłamał, tylko kto i dlaczego? Tego na razie nie wiedziała.

– Jest gorzej? Znowu kołaczce? – zatroskała się sekretarka, widząc nagłą zmianę, jaka zaszła na twarzy Orłowskiej.

– Nie, nie, w porządku, proszę mówić dalej.

– Wezwałam policję, ale zanim przyjechali, chłopak uciekł. Cośmy się ze Staśkiem najedli strachu!

– Nie dziwię się.

– I pomyśleć, że dopiero co piliśmy razem kawę przy tym biurku, a teraz go nie ma – załkała.

– Niepowetowana strata, to był taki dobry chłopak.

Zapadła cisza wypełniana jedynie pochlipywaniem Krzysztofę.

– Będę szła – powiedziała w końcu Henryka. – Przynajmniej mamy wspomnienia, Stasiek zawsze będzie żył w naszej pamięci.

Po tych słowach sekretarka rozkleiła się na dobre. Henię ścisnęło za serce. Żałowała, że okłamała zrozpaczoną po śmierci ukochanego kobietę i to tylko dlatego, żeby wyciągnąć od niej informacje. Chcąc ukryć zmieszanie, schyliła głowę, przeszukując torebkę w nadziei, że ma

w niej chusteczki higieniczne. Niestety, mimo szczerych chęci niełatwo było znaleźć paczuszkę w torbie pełnej rzeczy, dlatego jeden po drugim wyjmowała kolejne przedmioty i układała je na stercie na biurku.

– Gdzie one są! – zdenerwowała się.

– Jednak ją wydał.

– Słucham? – Zaskoczona Henryka spojrzała na sekretarkę znad torebki.

– Mówię o książce. – Krzysztofa wskazała palcem na powieść Leona, którą Orłowska właśnie położyła na szczycie uformowanego przez siebie stosu.

– Tej?

– Tak, dostaliśmy ją kiedyś jako propozycję wydawniczą. Bardzo wyjątkowy tytuł. – Po raz pierwszy od przyjścia Henryki kobieta zaśmiała się, co prawda przez łzy, ale zawsze. – Dziwna opowieść. Nie sądziłam, że ktoś zdecyduje się ją wydać. – Wzięła „Inwazję pingwinów – ludojadów z Marsa – przymierze” w miękkiej oprawie do ręki, a po zapoznaniu się z okładką stwierdziła autorytarnie: – No tak, sam sfinansował. Pamiętam, kiedy ten Leon po raz ostatni przyszedł do Staśka.

– On tu był? – Henia nie mogła uwierzyć.

– Pani go zna?

– Tak... nie... pośrednio... – dukała. – Znam w tym sensie, że czytam jego debiut literacki – rzuciła pierwszą wymówkę, która nasunęła się jej na myśl.

– Aha. – Odpowiedź na nowo osłabiła czujność sekretarki i Krzysztofa wyznała: – Strasznie mi było wtedy głupio.

– Dlaczego?

– Widzi pani, nie mamy dużego doświadczenia, Stasiek niedawno otworzył wydawnictwo, nigdy wcześniej nie miał do czynienia z takim biznesem, ja zresztą też nie. A tu tyle pracy i dodatkowo codziennie przychodzi do nas wiele propozycji wydawniczych, jesteśmy nimi wręcz zasypywani. Ten chłopak ciągle dzwonił, pisał, dopytywał o losy swojego maszynopisu. Streszczenie wyglądało zachęcająco, ale byliśmy zawałeni robotą, nie było czasu przeczytać całej książki. I jeszcze nazwisko tego Leona błędnie skojarzyło się Staśkowi z kimś znanym, to by mogło pomóc w promocji – dopowiedziała. – Przyznaję, działaliśmy zbyt pochopnie. W obawie, że stracimy potencjalny bestseller, Stasiek powiedział mu, że jesteśmy zainteresowani wydaniem, tylko musimy coś jeszcze zaplanować czy tam obliczyć. – Krzysztofa umilkła.

Henryka zapytała dla porządku, chociaż doskonale domyślała się, jaki będzie finał historii:

– I co było dalej?

– Miesiąc później Stasiek przeczytał maszynopis. Okazało się, że Mickiewicz to to nie jest. Pióro lekkie, chłopak ma zadatki na dobrego pisarza, ale ta historia mu się nie udała. Mieliśmy kocioł i zapomnieliśmy do niego zadzwonić. Po jakimś miesiącu przypomniał się i dopiero wtedy dowiedział się, że jednak rezygnujemy.

– Narobiliście mu nadziei.

– Tak – przytaknęła sekretarka. – Był rozczarowany i wściekły. Przyjechał na rozmowę ze Staśkiem. Czuł się oszukany, w sumie nawet mu się nie dziwię, pewnie

oczywiście wyobraźni widział swoje dzieło na półkach w księgarni, a tu klops. Słyszałam, jak z gabinetu dochodził jego podniesiony głos. Stasiek próbował go udobruchać, podobno powiedział temu Leonowi, że napisał świetną książkę, ale niestety nie mamy rady jej wydać ze względu na brak pieniędzy. Zachęcał go, żeby próbował swoich sił w innych miejscach albo sam wydał.

Henryka opuściła progi wydawnictwa z głową pełną myśli. Nie chcąc budzić na ulicy niepotrzebnej sensacji, schowała beret i szarfę do torebki. Siłą rzeczy płaszcz musiał zostać, uznała jednak, że i tak niewielka jest szansa, żeby ktoś z przechodniów zwrócił szczególną uwagę na starszą panią. Idąc w stronę przystanku autobusowego, spostrzegła kawiarnię, która z zewnątrz wyglądała bardzo przytulnie. Długo się nie zastanawiając, Orłowska weszła do środka.

Dwukrotnie przestudiowała dostępne w ofercie dwadzieścia trzy rodzaje kaw, które wypisano kolorowymi kredami na tablicy zawieszanej pod sufitem, niestety żadna nazwa nic jej nie mówiła. Niezrażona, postanowiła złożyć zamówienie.

– Moja miła, poproszę kawę, zwykłą czarną z cukrem. Najlepiej mieloną.

Młoda baristka uniosła do góry oczy i zeskanowała wzrokiem rozpiskę.

– Nie mamy w ofercie czegoś takiego jak zwykła czarna kawa z cukrem – odrzekła. – Jest don espressande, latte macchiato, cappuccino frappé, cappuccino classic, frappé na odtłuszczonym mleku, kawa włoska, kawa po irlandzku,

kawa biała, kawa zielona, kawa bezkofeinowa, latte, carmelino, kawa piernikowa z migdałami i miodem, kawa poziomkowa, kawa truskawkowa – czytała ciągiem, nie zaprzatając sobie głowy oddychaniem.

Henryka przerwała jej, zanim dziewczyna miała okazję stracić przytomność w wyniku niedotlenienia:

– Tak, dziękuję ci, moje dziecko, widzę menu. Co jest najbliższe zwykłej czarnej kawie? – zapytała.

– Chyba – pracownica kawiarni zamyśliła się – don espressande. Mieszanka robusty i arabiki w proporcji osiemdziesiąt do dwudziestu procent. Takie trochę espresso, tylko smaczniejsze. Parzymy ją według specjalnej receptury, jest bardzo aromatyczna, lekko gęsta dzięki procesowi trzyminutowego odparowywania. Serwujemy z dodatkową wodą oraz gorzką czekoladką. Podać?

– O tak. – Orłowskiej aż pociekła ślinka na myśl o wspaniałości, którą za chwilę przyjdzie jej wypić.

– Jaka grubość zmielonych ziaren?

– A jaka jest różnica?

– W mocy kawy – wyjaśniła lakonicznie baristka, zaczynając się niecierpliwić.

– Poproszę średnią – odrzekła niepewna słuszności podjętego wyboru Henryka.

– Kwaśniejszą, bardziej gorzką? – mnożyła pytania pracownica.

– Och... – Henia czuła się coraz bardziej zdezorientowana, a na domiar złego liczba osób ustawiających się za nią w kolejce rosła w zatrważającym tempie.

– Domyślam się, że nie miała pani jeszcze przyjemności

znaleźć się w gronie TOP najczęstszych gości naszej kawiarni? – Brak zdecydowania klientki, dziesiątej z kolei, do granic możliwości zirytował dziewczynę.

– Słucham? – Orłowska zrobiła wielkie oczy. – W gronie czego?

Baristka zamruczała coś niewyraźnie pod nosem, pokazując palcem na zdjęcie w ozdobnej ramce wielkości kartki A4 zawieszona na ścianie tuż za ramieniem. Podpis pod fotografią, nadrukowany na czarnym pasku, głosił: „TOP najczęstszy gość. Miesiąc: marzec”. Gdyby nie to, że Henryka była w okularach, z pewnością w tym momencie z niedowierzaniem przetarłaby oczy. Okazało się bowiem, że na pierwszym planie na zdjęciu stała kokieteryjnie uśmiechająca się Krystyna. I nie byłoby w tym nic dziwnego, wzięwszy pod uwagę, że tuż obok kawiarni znajdowała się firma Stanisława, gdyby nie fakt, że Krysią opierała się dłonią o stolik, przy którym siedziała Urszula. Orłowska możliwie jak najbardziej zbliżyła twarz do zdjęcia, żeby dokładnie mu się przyjrzeć.

– Więc jaką? – Pracownica była na granicy wybuchu.

– Bardziej gorzką – rzuciła Henryka, nie odrywając wzroku od najczęstszego gościa marca i jej towarzyszki.

– Mała filiżanka, duża?

– Średnia.

– Średniej nie ma. Jest mała albo duża.

– W takim razie duża.

– Dodatkowo pięćdziesiąt czy sto mililitrów wody?

Orłowska dała spokój zdjęciu i popatrzyła na baristkę.

– Sto – odpowiedziała bezzwłocznie w nadziei, że tym

sposobem zakończy katusze.

– Ciepłej, chłodnej czy zimnej?

– Ciepłej. – Teraz to starsza pani poczuła wzbierającą w niej irytację, tym większą, że zaledwie trzy minuty temu była pewna, iż od ujęcia filiżanki za uszko dzielił ją zaledwie niewielki krok.

– Czekoladka glutenowa czy bezglutenowa?

Ostatnie pytanie przelało czarę. Henryka jak rzadko straciła zimną krew.

– Drogie dziecko, dajmy spokój tym torturom. Proszę cię, podaj mi po prostu najzwyklejszą w świecie czarną kawę. Ani za mocną, ani za słabą, z gorącą wodą i bez znaczenia, czy będzie do niej w komplecie czekoladka czy też nie. Zamiast filiżanki może nawet być salaterka. Po prostu chciałabym się w końcu napić kawy.

Z zaplecza wyłonił się nieoczekiwanie zabójczo przystojny dwudziestoletni blondyn.

– Ciocia Henia? – wykrzyknął z radością, stając dwa kroki za plecami współpracownicy.

– Wojtuś! – ucieszyła się na jego widok Orłowska. – Twoja mama nic mi nie mówiła, że wróciłeś z Australii.

– Pewnie nie było okazji, dopiero co przyjechałem i od razu załapałem się tutaj, jestem kierownikiem – pochwalił się.

– Proszę bardzo! Na kierowniczym stanowisku, a taki młody! Zawsze wiedziałam, że masz wielki potencjał. Gratuluję!

– Jest jakiś problem? – Spojrzał na ciocię, a następnie przeczucił wzrok na podwładną.



Henryka pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Twoja pracownica jest bardzo miła, to nie jej wina, że wasza oferta jest tak bogata i nowoczesna. – Nie chciała narobić dziewczynie kłopotów, nawet jeśli rozmowa z nią przypominała walenie głową w mur.

– A co ciocia chciała zamówić? – zapytał, kończąc opasywać się brązowym fartuchem.

– Szklankę czarnej kawy, najlepiej mielonej, z trzema łyżeczkami cukru. Ale chyba czas pogodzić się z myślą, że zostałam w tyle. Klasyczna plujka jest przeżytkiem i nic się na to nie poradzi – rzekła z nutką nostalgii w głosie, spoglądając na stoliki zajęte przez klientów, których średnia wieku oscylowała w okolicach dwudziestu lat. Henryka, choć ciekawa świata i nowości, w kwestii kawy była tradycjonalistką.

– Myślę, że damy radę coś wykombinować. – Chłopak posłał Heni czarujący uśmiech. – Ciocia sobie usiądzie przy stoliku, polecam tamten przy oknie, a ja osobiście zajmę się zamówieniem.

– Jak zawsze szarmancki, rodzice muszą być z ciebie bardzo dumni. Dziękuję. I tobie również dziękuję, moja droga – dodała szybko. Było jej wstyd, że straciła cierpliwość wobec dziewczyny.

– Ehe – burknęła pracownica kawiarni, z wielką precyzją dolewając wody do dzbanka.

Orłowska już chciała odejść, jednak w ostatnim momencie zmieniła zdanie.

– Wojtek, kiedy było zrobione to zdjęcie? – zapytała, wskazując na podobiznę najczęstszego gościa marca.

– Wczoraj – odpowiedział. – Dzisiaj je wydrukowałem i włożyłem do ramki.

– Wiesz coś o tych kobietach? Spotykały się tu już wcześniej? Może obiło ci się o uszy, o czym rozmawiały?

Wojtek dobrze znał ciotkę Henrykę i wiedział, że nie zalicza się ona do przekupek, przeciwnie – była zawsze taktowna i powściągliwa. Skoro chciała się czegoś dowiedzieć o klientkach kawiarni uwiecznionych na fotografii, najwidoczniej musiała mieć ku temu ważny powód, dlatego o nic nie pytając, uprzejmie odrzekł:

– Pracuję tu od niedawna, ale wiem że starsza z kobiet jest naszą stałą bywalczynią i zazwyczaj siedzi sama. Jestem też w stu procentach pewien, że nigdy wcześniej nie widziałem tutaj tej blondynki, a naprawdę trudno ją przegapić albo jej nie zauważyć. – Mrugnął do ciotki. – Nie wiem, o czym rozmawiały, były u nas krótko. Wypiły po jednej kawie i wyszły.

– Razem? – dopytała Henryka.

– Oddzielnie. Najpierw blondynka, a druga poszła niedługo po niej.

Starsza pani czuła niedosyt. Spojrzała na baristkę, ale wspomnienie przeprowadzonej z nią przed chwilą rozmowy odwiodło ją od pomysłu zapytania dziewczyny o Krystynę i Urszulę.

Orłowska przeszła do wskazanego przez Wojtka stolika, rozsiadła się wygodnie w fotelu, wyciągnęła zmęczone nogi. Pięć minut później chłopak podszedł do niej z pełną filiżanką kawy oraz szarlotką.

– Świeżo mielona, tak jak ciocia sobie życzyła. – Postawił

na stoliku naczynia.

– Dziękuję, mój chłopcze. Ale zaraz, pomyliłeś się, nie zamawiałam ciastka.

– Na koszt firmy.

– Och! – Dosunęła do siebie filiżankę. – Ależ jest mi miło – zaszcebiotała.

– Pomóc cioci w czymś jeszcze? – spytał usłużnie.

– W zasadzie tak. Macie tutaj mapę miasta? Normalnie noszę ją ze sobą, a dzisiaj jak na złość zapomniałam jej zabrać.

– Nie, niestety. A czego ciocia szuka, może będę wiedział.

– Chodzi mi o ulicę – wyjęła z torebki notes i przeczytała – Truńczyka. Mieszkam w Łodzi od urodzenia, a pierwszy raz usłyszałam taką nazwę. Pewnie gdzieś na obrzeżach.

– Zaraz sprawdzę w GPS-ie.

– Ale nie, nie będę cię nadwyreżać. Tego by brakowało, żebyś przeze mnie specjalnie biegł do samochodu.

– Do samochodu? A po co miałbym iść do samochodu?

– Do GPS-a – wyjaśniła Henryka, której wiedza w temacie nawigacji samochodowej zatrzymała się kilka dziesięcioleci temu.

Wojtek uśmiechnął się, ukazując komplet równych, białych zębów. Wyjął z kieszeni smartfona i poklikał w ekran.

– To jest zaledwie sześć kilometrów stąd. Będzie ciocia jechała samochodem czy MPK?

– MPK – odpowiedziała, uważnie przyglądając się blondynowi.

– Zaraz spod kawiarni odjeżdża trzydzieści dziewięć,

który dowiezie ciocię na miejsce. Trzeba wysiąść na czwartym przystanku. Jeżdżą dwa autobusy na godzinę, jeden o pełnej, drugi dwadzieścia jeden po.

– A może widzisz tam jeszcze w tym telefonie, czy to jest długa ulica? – Henia wyciągnęła szyję, próbując zerknąć na ekran.

– Tylko dziesięć numerów.

– Nowoczesne telefony mają takie możliwości? – zapytała z podziwem. – Można w nich zobaczyć nawet mapy i rozkład jazdy autobusów, coś podobnego! Ostatnio dowiedziałam się od tej dziewczyny ze zdjęcia – wskazała brodą w kierunku fotografii – że ona ogląda w smartfonie filmy i seriale. Nie do uwierzenia, jaki mamy postęp technologiczny!

– To jeszcze nic – zaśmiał się Wojtek, siadając przy stoliku ciotki. Przysunął się do niej możliwie jak najbliżej i odblokował swój telefon. – Niech ciocia patrzy. – Odpalał kolejne aplikacje, prezentując je Orłowskiej, która z okularami na nosie i z zapartym tchem przyglądała się obrazom migającym na wyświetlaczu.

– Takie rzeczy? W telefonie? – Była zszokowana. – Jak to się nazywa? – zapytała, przyglądając się energicznie przebierającemu palcami po ekranie dwudziestolatkowi, który raz po raz zmieniał ułożenie spadających klocków.

– Tetris.

– Co to jeszcze umie? – dopytywała, nie odrywając wzroku od gry. – Może i mnie by się takie coś przydało? – zastanawiała się.

– Teraz ściągnąłem sobie aplikację, w której czytam

książki. Dostałem w bibliotece kod na miesiąc i nawet nowości mam zupełnie za darmo.

– Książki? Na takim małym ekraniku? I ty coś w ogóle widzisz?

– No pewnie. – Otworzył przypadkowego e-booka. – Tutaj można powiększyć litery, a tu zmienia się strony.

– Pokaż. – Henryka postanowiła spróbować sama. – Wychodzi mi! – ucieszyła się po tym, jak bez większego problemu zmieniała wielkości czcionki. – Jak mówisz, kod z biblioteki za darmo?

– Tak jest.

– Tylko to takie małe. – Wykrzywiła usta.

– Są też smartfony z większymi ekranami.

– Hm... – Głęboko się nad czymś zastanawiała. – Chociaż wiesz, może to jest jakiś pomysł. – Uśmiechnęła się chytrze. – Ile kosztowałby taki telefon?

– Nic! – Wojtek aż promieniał z radości.

– Jak to nic?

– W domu mam kilka smartfonów, z których nie korzystam, bo mi się nudziły i kupowałem sobie nowsze modele. Z przyjemnością sprezentuję cioci jeden, nawet wiem który: intuicyjny w obsłudze, z przekątną ekranu sześć cali.

– O, nie! Ja bez płacenia nie chcę. Ile mi za niego policzysz? – Nie dawała za wygraną.

– A ile ciocia mi policzyła za te dni, kiedy mama musiała na cito pędzić do pracy i ciocia mnie odbierała ze szkoły? Albo za całe popołudnia, kiedy kazałem sobie w kółko czytać Tomka Sawyera? I za bitki w sosie z tłuczonymi

ziemniakami i tartą marchewką?

– Oj, mój chłopcze. – Starsza pani zawstydziała się.

– Właśnie. – Wiedział, że wygrał. – Przyjdę wieczorem, przyniosę telefon i opowiem, jak go obsługiwać, ale teraz muszę wracać do pracy. – Zerknął na ogonek zaczynający się przy kasie, a kończący dziewięć osób dalej.

– Dziękuję! – Henryka była bardzo wdzięczna Wojtkowi zarówno za pomoc, kawę z szarlotką, które pochłonęła nie wiadomo kiedy, jak i to, że podsunął jej myśl.

## ROZDZIAŁ 12

Orłowska bez trudu trafiła na ulicę Truńczyka. Pomimo że nie знаła dokładnego adresu, bezbłędnie odgadła, który dom należał do Krystyny i Stanisława. Z daleka były po oczach strzegące wejścia na posesję z tabliczką numerem pięć dwa naturalnych rozmiarów betonowe lwy. Henryka obeszła je dookoła, pogrzebała w torebce i zabrała się do robienia zdjęć. Aparat fotograficzny zawsze nosiła ze sobą. W jej albumie nie mogło zabraknąć ujęcia zjawiskowej, pokrytej mchem grzywy. Cyk, przycisnęła po raz trzeci guzik, błysnął flesz, a aparat zaczął głośno pracować.

– O nie...

Zmartwiła się na dźwięk przewijanej kliszy i zamieniła w słup soli. Z doświadczenia wiedziała, że poruszenie się w tym momencie mogło ją wiele kosztować. W odwecie za niesubordynację humorzasty sprzęt był w stanie nie tylko zniszczyć zrobione zdjęcia, ale również się zepsuć. Czekając, aż urządzenie zakończy pracę, Orłowska zerknęła na słabo oświetloną ścieżkę prowadzącą do domu Krystyny.

Niespodziewanie drzwi wejściowe otworzyły się, a umieszczona nad nimi lampa rozbłysła jasnym światłem. Z wnętrza wyszedł wysoki mężczyzna, a tuż za nim wdowa. Ucisnęli sobie dłonie, po czym ona wróciła

do środka, a on ruszył w kierunku bramy. Trzymająca w ręce hałaśliwy aparat Henryka, nie licząc się z ewentualnymi stratami, dała susa między gęsto posadzone przy siatce tuje. Twarz gościa Krystyny szarpiącego się z furtką oświetlała uliczna latarnia. Orłowska pożałowała, że akurat teraz musiała się jej skończyć klisza.

Huk ciężarówki przejeżdżającej przez zamontowany na jezdni ogranicznik prędkości zagłuszyłby wybuch granatu, a nie tylko głębiej wciskającą się właśnie za tuje Henię. Jak okazało się w następnej minucie, podjęte środki ostrożności nie były potrzebne. Mężczyzna stojący przy bramce mocnym szarpnięciem wreszcie pokonał złośliwą materię i nie rozglądając się na boki, odszedł w kierunku przeciwnym do ukrytej Henryki. Orłowska odczekała, aż facet zniknie za zakrętem, i dopiero potem wygramoliła się na chodnik. W zadumie, nieświadomie pogłaskała lwa (tego z lewej). Syrena karetki dochodząca gdzieś z oddali pomogła jej wrócić do rzeczywistości. Wyjęła z włosów gałązkę i zadzwoniła domofonem. Gdy furtka zabrzęczała, Henryka pchnęła ją kilkukrotnie z całej siły, zanim udało jej się wejść na teren posesji.

– Cholerna furtka – warknęła Krystyna, wychodząc na schody na powitanie gościa. – Pani Henryka? – W zdumieniu zmarszczyła czoło. – Co pani tutaj robi? Skąd pani wiedziała, gdzie mieszkam? – dociekała gospodyni, zakrywając się grubym swetrem przed przeszywającym zimnym wiatrem.

– Ależ moja miła! Sama mi pani dała adres, wtedy



w gospodzie po śmierci pani męża – kłamała jak z nut. – Nie pamięta pani?

– Hm... – Żłobienia na czole wdowy, które pokrywały warstwy podkładu, fluidu oraz pudru znacznie się pogłębiły.

– Chciałam się dowiedzieć, jak się pani miewa. Ale ziąb, mogę? – Orłowska z nadzieją zerknęła na wiatrołap.

– Proszę. – Krystyna szerzej otworzyła drzwi, wpuszczając do środka gościa.

– Jaki piękny dom, co tam dom, dworek! A ten ogród! Istny park! – piała z zachwytu Henryka, kiedy już wygodnie rozsiadły się w fotelach w jednym z pokoi na parterze.

– Dom z historią – przyznała Krystyna odziana od stóp do głów w czerni. – Dziedzictwo Staśka. Ma pani oko, ogród faktycznie kiedyś był parkiem. Dęby mają przeszło sto lat. O teren dba dwóch ogrodników, jeden by w życiu nie dał sam rady. Tam głębiej, w części, gdzie rośnie niewielki las, są jeżyny, a jeśli jesienią jest szczególnie mokro, zdarza nam się znaleźć grzyby. Taka enklawa spokoju w wielkim mieście.

– A jagody? Macie tutaj też jagody? – Henryka zmrużyła powieki.

– Nie. – Krystyna skrzywiła się.

– Tu jest chyba z kilka tysięcy metrów kwadratowych.

– Tak – odrzekła lakonicznie gospodyni.

– Musi być bardzo przyjemnie tak się przejść wśród natury. Pani Krysiu, a może byśmy przewietrzyły umysły?

– W oczach Heni tliła się nadzieja.

Wdowa spojrzała na nią nieprzychylnie.

– Jest za zimno i za późno. – Bezlitośnie ostudziła zapędy Orłowskiej.

– No tak, racja. A jak się pani czuje? – zapytała rozczarowana emerytka, przyglądając się stiukom.

– Raz lepiej, raz gorzej – wyznała Kryśka. – Dotychczas była u mnie siostra, ale poprosiłam ją, żeby załatwiła mi dzisiaj kilka spraw w Gdańsku, więc będzie dopiero wieczorem. Mój kochany Stasieniek nie żyje. – Wyjęła z kieszeni opakowanie chusteczek higienicznych.

– Bardzo mi przykro. – Panie przez chwilę milczały, w końcu jednak Henryka zebrała się na odwagę i rzekła: – Po jednym mężczyźnie rozpaczają dwie kobiety. – Po tych słowach przeniosła wzrok z zabytkowej biblioteczki na Krystynę.

– Słucham?

– Rozmawiałam z panią Krzysztofą, moja droga. Nie oszukujmy się, pani mąż miał kochankę i doskonale o tym pani wiedziała.

– Wypraszam sobie! – podniosła głos. – Mój mąż mnie nie zdradzał. Cóż to za idiotyczny pomysł!

– Nie ma się czego wstydzić. Nie pani pierwsza i nie ostatnia. – Orłowska emanowała spokojem, który o dziwo, po chwili przedłużającej się ciszy udzielił się również gospodyni.

– Skąd w ogóle... – zaczęła wdowa, ale Henryka weszła jej w słowo:

– Martwiłam się o panią, szukałam pani w wydawnictwie i tam natknęłam się na tę kobietę.

– Stare przebrzydłe próchno! Cudzych mężów jej się zachciało! – Krystyna straciła panowanie nad sobą.

– Od dawna pani o nich wiedziała?

– Od świąt. – Niespodziewanie opadły jej ramiona i zupełnie straciła energię. – Już wcześniej coś przeczuwałam, bo kiedy przychodziłam do wydawnictwa, dziwnie milkli, Stasiek od razu leciał do gabinetu i tak na siebie patrzyli... – Na zmianę prostowała i składała na cztery czystą chusteczkę. – Jednego dnia Stasiek zapomniał zabrać do pracy komórkę. Chciałam mu zawieźć, wsiadłam do samochodu, sama nie wiem, co mną kierowało... Od SMS-a do SMS-a i wydało się. Po tylu latach... Żeby chociaż była młoda, piękna, może łatwiej byłoby mi zrozumieć, a tak? Brzydka, gruba i stara. Boże, jak ja się wtedy poczułam. Oczywiście niczego nie dałam po sobie poznać, musiałam się najpierw zastanowić, co robić, więc żeby złapać dystans, pojechałam na cały dzień do spa.

– Chciał od pani odejść?

– Na to wychodziło, przynajmniej tak do niej pisał. Nie miał nawet dość przyzwoitości, żeby powiedzieć mi o tym prosto w twarz. Planowali postawić mnie przed faktem dokonanym. Taki numer po trzydziestu ośmiu latach małżeństwa. – Była rozgoryczona, mówiąc, patrzyła gdzieś w dal za oknem. – Ten dom był jego. Wyszłam za bogacza. A niby co ja miałam? Tylko mieszkanie w centrum, w kamienicy, w spalinach, hałasie. W tamtych czasach jeszcze dźwigało się węgiel na pierwsze piętro, bez toalety, grzało wodę na kąpiel. Jak to było dawno... Zostawiłam

wszystko, tak jak stałam, i przyszedłam tu do niego z dwiema walizkami. Nigdy nie zrobiliśmy żadnych zapisów na mnie, bo kto o tym myśli, kiedy jest zakochany? A potem człowiek zapomniał. Stasiek był biznesmenem, to on zajmował się interesami, nie ja. Jakiś czas temu otworzył wydawnictwo. Zawsze, cokolwiek robił, pomagałam mu jak żona mężowi, ale niczego nie miałam na papierze, przez to nawet nie wypracowałam własnej emerytury. – Ukryła twarz w dłoniach.

– Bała się pani, że wszystko straci – domyśliła się Henryka.

– Tak. Na pewno zostawiłby mnie z niczym. Nie mam złudzeń. – Spojrzała na Orłowską. – Poszłam do prawnika, omówiliśmy całą sytuację. Zapewnił mnie, że spokojnie wywalczymy to, co mi się należy. Nie chciałam nic ponad to, resztę niechby sobie brał. Wiem, że ludzie teraz różnie gadają, ale jak pani widzi, nie było sensu zabijać go dla pieniędzy. Kochałam męża.

Henryka, która doskonale wiedziała, że z miłości można zrobić o wiele większe głupstwa niż dla pieniędzy, tylko pokiwała głową.

– A teraz go nie ma, nie żyje. – Wdowa nad czymś się zadumała. – Chyba sprzedam dom – oznajmiła, znów patrząc przez okno.

– Za dużo wspomnień?

– Tak. Tylko szkoda mi ogrodu. Nie lubię grzebać w ziemi, ale wyprawa z koszykiem na grzyby na prywatnej posesji to wielka przyjemność, a własne jeżyny smakują o stokroć lepiej niż ze sklepu.

– A co z wydawnictwem?

– Jeszcze nie zdecydowałam – westchnęła. – Na koncie są oszczędności, co prawda spodziewałam się, że będzie ich więcej, ale i tak na razie nie muszę się martwić o pieniądze.

– O, czyli przypomniała sobie pani hasło do konta.

– Jakoś mi się udało.

– Moja droga, zżera mnie ciekawość. W jakiej sprawie odwiedził panią dzisiaj pan Witold? Wie pani, ten kucharz z wycieczki?

– Nikogo dzisiaj u mnie nie było – zaprzeczyła gorliwie Krystyna.

Henia nie spuszczała wzroku z gospodyni.

– Te moje stare oczy, musiało mi się przywidzieć – powiedziała wolno.

– Najwidoczniej. – Krystyna przyjrzała się paznokciom, które tym razem były pomalowane na różowo i co prawda nie przypominały Henryce tak jak wcześniej ptasich szponów, ale nadal nie budziły najlepszych skojarzeń.

– Właśnie, skoro o nim mowa, przypomniała sobie pani, skąd go zna?

– Nie. – Machnęła ręką. – Coś mi się musiało pomylić. Facet jakich wielu.

Orłowska zachowała dla siebie cisnący się jej na język komentarz. Nie ulegało wątpliwości, że uroda wysokiego, chudego i łysego Wiktuała daleka była do przeciętnej. Zamiast tego wstała.

– Pani Krysiu, będę leciała. Niedługo odwiedzi mnie syn sąsiadki, a przecież nie wypada go podjąć bez poczęstunku, muszę pędzić do domu, żeby coś upiec – rzekła Henia,

uśmiechając się uprzejmie.

Stojąc już na progu, odwróciła się i zapytała:

– Byłabym zapomniała. Nie ma pani czasem numeru telefonu do przewodniczki z wycieczki? Potrzebuję ją o coś zapytać, a panie się chyba dobrze znacie.

– Nie mam. Pani to się musi strasznie nudzić. – Kryśka popatrzyła na gościa z niesmakiem. – Trzeba kilka razy mocno szarpnąć furtkę, bo się zacina – dodała, po czym zatrzasnęła drzwi.

Henryka tylko wzruszyła ramionami i odeszła, rozglądając się dookoła po pełnym uroku ogrodzie.

\* \* \*

Po wizycie Wojtka, której głównym celem było przeszkolenie ciotki, jak korzystać z nowego telefonu, Orłowska zasypiała prawie na stojąco i tego wieczora już nie miała siły wypróbować elektronicznej „zabawki”. Co innego nazajutrz. Zachwycona swoim pierwszym w życiu smartfonem, odłożyła go na stolik dopiero, gdy rozboleły ją oczy. Przespacerowała się po mieszkaniu, tu sprzątnęła, tam coś strzepnęła. Zrobiła przegląd zapasów w spiżarni, uzupełniła listę zakupów. Wyraźnie nie mogła znaleźć sobie miejsca. W końcu zasiadła na kanapie i zabrała się za debiut literacki Leona. Przechodziła przez kolejne rozdziały, a z każdą przeczytaną stroną coraz bardziej kleiły jej się oczy. Autor miał ciekawy styl pisania, tylko ta historia... Henryka ni w ząb nie mogła jej zrozumieć. Odnosiła wrażenie, że Leonard chciał upchnąć w książce wszystko, co tylko przyszło mu do głowy.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy wynikiem niecodziennego zmęczenia Heni było kilkugodzinne czytanie powieści, czy strzelanie przez dziewięćdziesiąt minut do animowanych stworów na ekranie telefonu, jednak bez względu na przyczynę w połowie sto osiemdziesiątej drugiej strony jej powieki zamknęły się, a głowa opadła na piersi.

Kiedy przebudziła się z drzemki, na dworze zapadał zmrok. Rozłożona książka nadal spoczywała na jej kolanach, z tą tylko różnicą, że dodatkowo leżało na niej pięć kilogramów kota. Pozostałe osiemset pięćdziesiąt gramów zalegało na oparciu mebla. Henryka delikatnie przełożyła zwierzaka na bok, zaświeciła lampkę i ujęła w dłonie „Inwazję pingwinów – ludojadów z Marsa – przymierze”. Miała w planach na nowo wrócić do świata wymyślonego przez Leonarda, ale ostatecznie zmieniła zdanie. Była rozczarowana tym, że jak dotąd niczego nie udało jej się dowiedzieć o pisarzu z jego dzieła, a przecież taki był cel czytania tej powieści. Tęsknie zawiesiła wzrok na smartfonie. Kusiło ją, żeby to w nim poszukać informacji o Leonie, ale sześć cali ekranu nie ma szans dorównać czternastu calom monitora, dlatego niechętnie uniosła się z kanapy i włączyła komputer.

W oczekiwaniu, aż pecet łaskawie zechce się uruchomić, wstawiła wodę na kawę, po czym wróciła do głównego pokoju. W tym czasie Windows 95 załadował się, a na pulpicie zagościło własnoręcznie wykonane przez Orłowską zdjęcie magnolii, zrobione podczas wycieczki do arboretum w Rogowie. Odpaliła przeglądarkę, zgodnie

z zaleceniem informatyka prowadzącego kurs komputerowy w bibliotece odczekała, aż klepsydra przestanie się obracać, i dopiero wtedy odważyła się wpisać tytuł książki Leona w wyszukiwarkę. Mocno przydusiła enter, a w odpowiedzi wyświetliła się mnogość stron. Niezrażona tym Henryka powoli przerzucała wzrokiem kolejne nagłówki. Nie bardzo wiedziała, czego konkretnie szuka, ale nie było szans zapoznać się z treścią każdej strony. Którą wybrać? – zachodziła w głowę. Od komputera oderwało ją napastliwe gwizdanie czajnika wypełniające kuchnię, łazienkę, korytarz oraz pokoje. Zerwała się na równe nogi. Zrobiła dla siebie dwie kawy (po co dwa razy chodzić) i ułożyła na talerzu stosik z ciastek z białym serem, których nie zjedli wczoraj wieczorem z Wojtkiem. Z pełną tacą wróciła do pokoju.

– Nie! Cziz! – ryknęła głośniejsz niż gwizdek czajnika przed chwilą, choć wydawało się to niemożliwe.

Kot, rozwalony całym sobą na klawiaturze, dostojnie obrócił łebek, zaszczycając panią spojrzeniem. Przyduszone klawisze spowodowały, że na ekranie w szaleńczym tempie przeskakiwały strony internetowe. Henia byle gdzie odłożyła tacę, doskoczyła do Cziza i delikatnie przestawiła go na drugą stronę biurka.

– Nie wolno tak robić, zepsujesz komputer. To jest delikatny sprzęt. – Pogroziła mu palcem. – Rozmawialiśmy o tym wczoraj!

Burasek, patrząc głęboko w oczy właścicielki, puknął łapką myszkę.

– Oj, Cziz. Doigrasz się w końcu. Rób tak dalej, a za karę



wieczorem nie będę ci rzucała kulki – odgrażała się.

Kot odwrócił się do niej tyłem i zeskoczył z biurka, smagając panią ogonem w nos. Orłowska, czy jej się to podobało, czy nie, miała słabość do swoich zwierząt, uznała więc temat za zamknięty i usiadła na obrotowym krześle. Postawiła kawy i ciastka tak, żeby były w zasięgu jej ręki, przysunęła się możliwie jak najbliżej do monitora i przeczytała nagłówek u góry wyświetlonej na chybił trafił ciałem kociaka strony: „Proste życie, bliskość natury, właśnie to lubię – wywiad z pisarzem”.

Mrużąc oczy, przyjrzała się zamieszczonemu poniżej zdjęciu, na którym Leon ze staruszką w chustce na głowie stali obok dwóch rowerów. Babinka z fotografii miała przewieszony przez kierownicę wiklinowy koszyk pełen polnych kwiatów, ziół oraz zbóż. Rowerzyści uśmiechali się do obiektywu. W kadrze widać było ubitą piaszczystą ścieżkę, a w tle, za dwiema centralnymi postaciami, pyszniła się Pieskowa Skała. Podpis głosił: „Wycieczka rowerowa z babcią”. Henryka przeczytała wywiad od A do Z, licząc, że znajdzie w nim informację wnoszącą coś do jej śledztwa. Z każdą linijką jednak nadzieja rozwiewała się. Rozmowa Leonarda z dziennikarzem wydawała się nie mieć końca. Zadawane pytania były tendencyjne, a odpowiedzi nie na temat. Przez większość tekstu debiutant rozplątywał się nad tym, jak uwielbia wyjazdy w rodzinne strony na wieś do babci i żałuje, że ma na nie czas tylko w wakacje. Opowiadał o miłości do zwierząt, o tym, że obserwuje gwiazdy, kocha fantastykę, a w dzieciństwie godzinami bawił się,

że pracuje w księgarni. Zajęta czytaniem Henryka nawet nie zauważyła, kiedy skończyła jej się pierwsza kawa. Nie odrywając oczu od monitora, namierzyła dłonią ciastko. Chrupnęła je raz i drugi.

– Cziz! – oburzyła się natychmiast po tym, gdy doszła do nadzienia, a dokładniej miejsca, gdzie powinno się ono znajdować.

Burasek zerknął na opiekunkę znad talerza, kończąc wygryzać biały ser z ostatniego ciastka.

– Podpadasz mi dzisiaj.

Dla spokoju sumienia przejrzała również kilka innych stron internetowych, ale i one, podobnie jak wywiad, nie podsunęły jej żadnej myśli ważnej dla dochodzenia. Kilka słabych recenzji, zapowiedzi, strona autorska z liczbą fanów, których można było zliczyć na palcach dwóch rąk – i to by było na tyle. Orłowska łudziła się, że chociaż w przypadku Leona wykorzystanie internetu oszczędzi jej kolejnej wycieczki. Przez poszukiwanie mordercy w ostatnim czasie przeszło jej koło nosa wiele atrakcji, tak ciekawie opisanych w gazetce z harmonogramem wydarzeń odbywających się w jej województwie. Tymczasem jedynie utwierdziła się w przekonaniu, że nic nie zastąpi spotkania z żywym człowiekiem. Będę musiała pojechać osobiście – pomyślała, sprawdzając rozkład jazdy autobusów na następny dzień. Zmęczona wyłączyła komputer i dokładnie okryła monitor własnoręcznie uszytym pokrowcem z bawełny, żeby się niepotrzebnie nie kurzył. Gdy odchodziła od biurka, świnka morska pisnęła inaczej niż zwykle. Właścicielka zerknęła na zwierzę

podejrzliwie, wyglądało jej na dziwnie markotne. Wzięła je w dłonie i obejrzała dokładnie z każdej strony, nic jednak nie wzbudziło jej niepokoju, więc po słusznym wydrapaniu Biskopta pod brodą odłożyła go do klatki.

## ROZDZIAŁ 13

– Dzień dobry – przywitała się Henryka z pracownicą biura podróży Niezapomniane Doznania.

– Dzień dobry – odpowiedziała panienska, której plastikowa plakietka przymocowana do bluzki głośno, że nosi rzadko spotykane imię Georginia. – Do usług.

– Chyba mnie nie pamiętasz, moja droga, jestem byłą uczestniczką niedoszłej wycieczki do Paryża.

– Tak, wiem. Mam genialną pamięć do twarzy oraz nazwisk. Eryka Rłowska, prawda?

– Prawie – zachichotała Henia. – Henryka Orłowska.

– No! – Pomimo pomyłki dziewczyna nie traciła pewności siebie. – Właśnie. Henryka Orłowska. Przyszła pani w genialnym momencie. Mamy teraz wyjątkową promocję. Pięć dni w Bydgoszczy z wyżywieniem, wieczorkami tanecznymi, objazdówka po okolicy za połowę ceny! Wenecja naszego kraju! Żal przegapić. Gorąco polecam. – Chwyliła do ręki folder i rozłożyła go na biurku.

Henia zerknęła jednym okiem na zdjęcia polskiej Wenecji.

– Może innym razem, dzisiaj przyszedłam w konkretnej sprawie. Chodzi mi o zwrot pieniędzy za wycieczkę. Z pewnością wiadomo ci, że zmarł jeden z uczestników, policja zawróciła nas do Łodzi i nie zobaczyliśmy

obiecane Paryża. W tej sytuacji miałam nadzieję na odzyskanie przynajmniej części wpłaty.

– Przykro mi. – Georginia bezradnie rozłożyła ręce. – Ja bym pani chętnie zwróciła pieniądze, nawet zaraz, teraz, ale szef... Sama pani rozumie, nie mamy sobie nic do zarzucenia.

– Szkoda. – Taki obrót sprawy bynajmniej nie zaskoczył doświadczonej życiowo kobiety. – Trudno. – Podejrzanie łatwo pogodziła się z odmową i ujęła w dłoń ucho torebki.

– Pani przynajmniej nie awanturuje się jak tamta.

– Która tamta? – Orłowska nie posiadała się ze szczęścia. Georginia złapała haczyk, zanim starsza pani miała okazję zarzucić wędkę.

– Wdowa. Kto normalny, kiedy straci męża, przychodzi drzeć się, że mamy jej oddać pieniądze? Jakaś nieteges. – Plotkarska natura dziewczyny doszła do głosu, wypychając pełną profesjonalizmu postawę sprzedawczyni wycieczek. Znużona wielogodzinnym beczynnym siedzeniem w biurze nareszcie miała do kogo otworzyć usta.

– Ludzie różnie radzą sobie ze śmiercią najbliższych. – Henryka nieśmiało wystąpiła w obronie Krystyny, jednak pracownica nie słuchała.

– Jeszcze myślała, że wyciągnie od nas rekompensatę za to, że zabójstwo miało miejsce w czasie naszej wycieczki. Koń by się uśmieł – prychnęła. – Powiem pani, że to był nasz pierwszy i ostatni tour za granicę. Szef chciał rozszerzyć ofertę o wczasy poza Polskę. Kazał mi zrobić taką próbę. Dotychczas specjalizowaliśmy się w wyjazdach krajowych. Mówiłam mu: jest dobrze, nie kombinować,

ale nie, wie lepiej! I co? Wyszły z tego same kłopoty, a chętnych tylu, co kot napłakał. Dziękuję bardzo. Nigdy więcej nie będziemy się porywać na dalekie dystanse.

W czasie gdy Georginia przemawiała, Orłowska wypatrzyła na stosie papierzyk i folderów ustawionych na biurku segregator podpisany „Paryż”; identyczny miała w autokarze przewodniczka. Henryce zaświeciły się oczy.

– Dzisiaj przyszła do nas policja! Wyobraża sobie pani? Poważane biuro podróży, środek dnia, a tutaj pod same drzwi podjeżdża radiowóz. Jak to o nas świadczy? – emocjonowała się dziewczyna.

– Policja? A w jakiej sprawie?

– Przyjechali do pana Irka.

– Czego od niego chcieli?

– Nie mogą go znaleźć, zapadł się jak kamień w wodę – wyjawiała. – Myśleli, że może my wiemy, gdzie jest. Mieszkanie zamknięte na cztery spusty, sąsiedzi nie mają pojęcia, co się z nim stało, nie odbiera też telefonu. Ale co nam do tego? Już nie jest naszym pracownikiem, zwolnił się, więc nie nasz interes.

– Jak to zwolnił się? Przecież spłacał kredyt za autokar.

– To z pensji u nas już go nie spłaci – stwierdziła pracownica biura podróży, wzruszając ramionami. – Nawet nie raczył się do mnie pofatygować, tylko zadzwonił. Bezczelny. Odebrałam telefon, a on do mnie: „Więcej nie przyjdę, dziękuję, do widzenia”. Jak tak można? Narobił mi kłopotu, musiałam pozmienić kierowcom grafik.

– Odszedł tak bez uprzedzenia? – Orłowska nie mogła w to uwierzyć.

– Właśnie, a potem martw się, człowieku, jaki autokar wysłać. Na szczęście pan Irek nie był obsadzony na tamten tydzień. Ja pani mówię, coś tu śmierdzi. – Nachyliła się do Henryki i konfidencjonalnym tonem ciągnęła: – Najpierw morderstwo, potem policja, kierowca nie do namierzenia, odejście z pracy przewodniczki. – Georgia popatrzyła sugestywnie na klientkę.

– Jak to? Urszula też zrezygnowała?

– Dzień wcześniej. Ale miała chociaż tyle przyzwoitości, żeby przyjść do mnie osobiście.

– Powiedziała, dlaczego odchodzi?

– Podobno znalazła lepszą fuchę. – Dziewczyna przewróciła oczami. – Wszystko jest tylko na mojej głowie: księgowość, kadry, sprzedaż, obsługa klienta, grafiki. Szkoda, że właściciel nie każe mi dodatkowo myć okien.

– Pełne ręce roboty – przyznała Henia, zezując na segregator.

– Teraz szef wymyślił sobie gadżety. Phi! Nawiózł pudeł, nastawiał mi tego wielką wieżę na zapleczu, a mnie przypadło w udziale całość przejrzeć, porozdzielać i zinwentaryzować, jakbym miała mało pracy!

Henryce szybciej zabiło serce na dźwięk słowa „gadżety”.

– A konkretnie jakie gadżety?

– Nawet nie wiem dokładnie, jakieś barachło: notesy, smycze, długopisy, magnesy na lodówkę z logo Niezapomnianych Doznań.

– Moja kochana, może mogłabyś mi sprezentować chociaż jeden długopis? Uwielbiam takie drobiazgi. Wyznam ci, że mam całkiem pokaźną kolekcję długopisów.

Szczególnie jestem dumna z dwóch. Jeden jest w kształcie miniaturowej ciupagi z termometrem, kupiłam go w dziewięćdziesiątym trzecim w Karpaczu. Drugi dostałam rok temu na targach elektrotechnicznych. Wygląda identycznie jak pomadka, w życiu nikt by się nie domyślił, że to długopis – zachichotała.

– Nasze nie są takie wyjątkowe.

– Zbieram wszystkie – zapewniła starsza pani. – Biorę zawsze po jednym z każdego rodzaju. – Z nadzieją popatrzyła w oczy Georginii.

Dziewczyna westchnęła.

– Dobrze, niech będzie. – Podniosła się z krzesła.

– I notes, gdyby wpadł ci w rękę – dorzuciła Orłowska, gdy pracownica biura podróży przekraczała próg zaplecza.

– Kubek też by pani chciała? – dopytała bez złośliwości.

– O tak! Szczególnie przydałby mi się kubek!

Ledwie Georginia zniknęła w pomieszczeniu służbowym, a już Henryka skoczyła na równe nogi. Chwyciła segregator, okręciła go przodem do siebie i przekartkowała. Jest! Ucieszyła się. Przeczytała interesujące ją zapisy dwa razy, żeby dobrze zapamiętać. Z zaplecza dochodził dźwięk przesuwania pudeł, szelest folii. Orłowska odłożyła segregator dokładnie na to samo miejsce, skąd go wzięła.

– Po jednej rzeczy z każdego rodzaju. – Dziewczyna wróciła z naręczem drobiazgów, które położyła na biurku.

– Jak dużo tego! – rzekła uradowana Henryka, upychając zdobycze w torebce.

Georginia, która w czasie grzebania w pudłach



w poszukiwaniu gadżetów dla Heni przypomniła sobie o procencie, jaki dostaje od szefa za każdy sprzedany wyjazd, na widok zachwyty klientki niemal zatarła ręce.

– Ale wracając do wycieczki do Bydgoszczy... – Podsunęła pod sam nos Orłowskiej folder otwarty na właściwej stronie. – A może Pomorze? Bałtyk o tej porze roku jest zjawiskowy. – Wyszukała w katalogu zdjęcia Krzywego Domku w Sopocie.

– Dzisiaj na nic się nie skuszę, ale niebawem znowu tutaj zajrzę. – Henryka musiała iść, miała do załatwienia jeszcze kilka spraw. – Dziękuję za prezenty. – Z szerokim uśmiechem, pełną torebką oraz folderem w dłoni opuściła Niezapomniane Doznania.

Tuż po wyjściu z biura podróży zanotowała w notesie podstępem zdobyte informacje, żeby czasem czegoś nie zapomnieć albo nie pomylić. Przeszła kilka kroków do pierwszej napotkanej ławeczki i wygodnie się na niej rozsiadła. Wyjęła wiekową komórkę i wybrała numer. Zaledwie po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się kobiecy głos:

– Tak?

– Dzień dobry, z tej strony Orłowska z wycieczki do Paryża.

– Pamiętam panią – odpowiedziała Urszula, zachodząc w głowę, czemu zawdzięcza telefon od Henryki.

– Zapomniałam zabrać z autokaru swój sweter – pospieszyła z odpowiedzią na niewypowiedziane pytanie Henia. – Chciałam się skontaktować z panem Irkiem, ale nie mam numeru. W biurze podróży też mi nie pomogli,

bo od czasu kiedy się zwolnił, nie mają z nim żadnego kontaktu. Moja droga, może ty coś poradzisz? Bardzo lubiłam ten sweter.

– Irek odszedł z pracy? A to ciekawe. – Ulka wydawała się nie być na bieżąco.

– Nic o tym nie wiedziałaś? – zapytała podejrzliwie Orłowska.

– Nie, nic mi nie mówił, zresztą nie widziałam się z nim od czasu tej nieszczęsnej wycieczki, ale poratuję panią numerem do niego – zaofiarowała się. – Proszę się nie martwić, sweter na pewno się znajdzie.

– Dziękuję. – Zadowolona Henryka przycisnęła uchem do ramienia nokię i kontynuując rozmowę, zaczęła grzebać po omacku w torebce w poszukiwaniu długopisu i kartki, żeby zapisać numer. – Słyszałam, że i ty, moja droga, wymówiłaś pracę w Niezapomnianych Doznaniach.

– A tak. W końcu trzeba podążać za marzeniami. – Zaśmiała się. – Muszę kończyć, prowadzę. Do widzenia, zaraz wyślę pani wizytówkę z numerem. – Rozłączyła się.

Ułamek sekundy później komórka Henryki zawibrowała. Starszej pani trochę zeszło, zanim odnalazła w telefonie otrzymaną od przewodniczki wizytówkę i wpadła na pomysł, jak włączyć kontakt do książki adresowej, gdyż nigdy wcześniej nie miała z czymś takim do czynienia. Dalej to już była pestka.

– Abonent czasowo niedostępny. – W kółko powtarzał głos w słuchawce.

– Trudno – powiedziała do siebie, chowając nokię do bocznej kieszeni torebki. Delikatnie, używając obu

dłoni, wydobyła z niej smartfon, ukryty w zrobionym na drutach pokrowcu w kolorowe pasy. Nałożyła na nos okulary i używając palca wskazującego prawej ręki, sprawdziła, jak dojechać na jedno z łódzkich blokowisk. Po kilku minutach zadowolona z siebie umieściła telefon w przeznaczonej dla niego przegródce i przegryzła dwie gratisowe krówki (nie ciągutki) z logo Niezapomnianych Doznań na papierku. Pozostały jej nadmiarowy czas z wielką przyjemnością zmitrężyła, wygodnie rozparta na ławce z twarzą wyciągniętą w stronę słońca.

## ROZDZIAŁ 14

Henryka, która przez całe życie mieszkała na pierwszym piętrze dwupiętrowej kamienicy, wprost uwielbiała wieżowce. Niejeden raz zastanawiała się, jak by to było, gdyby z wysokości dziesiątego piętra co dzień obserwowała przechodniów wielkości palca. Od czasu kiedy spółdzielnie i wspólnoty mieszkaniowe zainwestowały nie tylko w ocieplenie budynków z wielkiej płyty styropianem, ale również pomalowanie ich, przechadzka po łódzkich blokowiskach była dla niej prawdziwą ucztą dla oczu. Jej serce skradł jedenastopiętowiec, który widziała na Polesiu, z namalowaną na froncie krową pasącą się w cieniu jabłoni na łące pełnej różnobarwnych kwiatów. Mimo że blok Leona ozdobiono z mniejszą dbałością o szczegóły, dla porządku cyknęła mu dwie fotki i dopiero wtedy była gotowa do kolejnego przesłuchania. Przekroczyła próg otwartych na oścież drzwi klatki schodowej, podeszła do rozpiski lokatorów, żeby sprawdzić, na które piętro ma wjechać, ale ku swojemu zdziwieniu niczego takiego nie znalazła. Pewnie jakaś ustawa o ochronie danych osobowych. Z niezadowoleniem zmarszczyła nos. PING! W korytarzu rozległ się doskonale jej znany dźwięk zwiastujący przyjazd dźwigu. Z jego wnętrza wysiadł Leonard. To się nazywa mieć szczęście! – uznała Orłowska,

szykując się do przedstawienia.

– Dzień dobry – przywitała się z pisarzem.

– Witam – odpowiedział grzecznie, zaskoczony widokiem Henryki. – Jaki zbieg okoliczności, że się spotykamy.

– Nie do końca nazwałabym to zbiegiem okoliczności. – Starsza pani była śmiertelnie poważna. – Przyszłam, żeby zadać ci, mój drogi, kilka pytań.

– Mnie?

– Tak. Chodzi o morderstwo pana Stanisława.

– A czemu to panią interesuje? – Zamarł w niecodziennej pozie, z ręką na poręczu i stopą uniesioną kilka centymetrów nad podłogą.

– Prowadzę śledztwo w tej sprawie.

– Pracuje pani w policji? – Otaksował ją od stóp do głów.

– Nie, jestem prywatnym detektywem. – Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na jego reakcję.

– O! – Z niedowierzaniem zmarszczył czoło. – A na czyje zlecenie pani pracuje?

– Nie mogę zdradzić. – Chociaż było jej z tego powodu wstyd, kłamała tak przekonująco, jakby w życiu nie robiła niczego innego.

– Chętnie bym pani pomógł, ale przepraszam, spieszę się na pociąg, zaraz przyjedzie po mnie znajomy – odpowiedział uprzejmym tonem.

– Nie zajmę ci dużo czasu. W zasadzie chciałabym wiedzieć tylko jedno. Mój drogi, przecież nic cię to nie kosztuje... – Przejęta Henia mocno zacisnęła dłoń na uchu torebki.

– W sumie... – rzekł z ociąganiem Leon po krótkiej chwili zastanowienia. – Dobrze, słucham.

– Dlaczego nie przyznałeś się do znajomości z panem Stanisławem? Chciałeś, żeby wydał twoją książkę, prawda? Pan Witold też wiedział, że się znaliście, sam mi o tym powiedział, kiedy go przepytywałam. – Na jednym wdechu wyłożyła karty na stół.

Oczy pisarza zwężyły się, na pół minuty zadumał się nad czymś.

– A co ma do tego Witek? – zastanowiło go. – Widziałem go kiedyś przelotem, wychodząc z wydawnictwa, minęliśmy się w drzwiach. Niezłą ma pamięć. – W głosie Leonarda można było wyczuć delikatną nutę złośliwości.

– No ale proszę, wychodzi na to, że pani chyba faktycznie jest prywatnym detektywem, a przynajmniej chciałaby nim być. Ciekawe, co powie policja, jak się dowie, że ma w pani konkurencję. – Puścił do niej oko.

Henryka zrobiła się czerwona od czoła aż po szyję.

– Ale pomogę pani, a co tam. Moja znajomość z panem Stanisławem? Za dużo powiedziane, krótka historia. Miał wydać moją książkę, ale nie wydał. I tyle. Sytuacja sprzed kilku miesięcy, więcej go nie widziałem, przynajmniej aż do czasu wycieczki.

– Musiało ci być przykro.

– No pewnie – przyznał bez ogródek. – A komu by nie było?

– Wydałeś książkę za swoje pieniądze, nie żałujesz? – zadawała kolejne pytania Henia, zadowolona, że rozmowa idzie gładko. – Przeczytałam kilka recenzji, nie były

najlepsze...

Leonard spochmurniał.

– Nie da się ukryć, że moja powieść nie sprzedaje się jak świeże bułeczki. Myślałem, że spodoba się czytelnikom, ale najwidoczniej się przeliczyłem.

– Piszesz kolejną książkę?

– Pani prowadzi śledztwo czy robi ze mną wywiad? – zirytował się. – Nie, nie piszę. – Ciężko wypuścić powietrze przez usta. – Kiedy pan Stanisław odmówił mi, wykręcając się brakiem pieniędzy, mocno zachęcał mnie do działania, żeby książka ukazała się drukiem. Przekonywał mnie, że to dobry tekst, ale kiedy teraz czytam opinie o moich pingwinach, coś mi się wydaje, że po prostu chciał mnie spławić, nie robiąc sobie wroga.

Nagle całą klatkę schodową wypełnił dźwięk klaksonu.

– Muszę iść, ucieknie mi pociąg. – Ledwie Leon skończył mówić, gdy ktoś ponownie docisnął klakson, jednak tym razem trzymał go zdecydowanie dłużej.

– Dziękuję ci, mój drogi, za pomoc.

– Do widzenia.

Mężczyzna zarzucił na ramię niewielką torbę podróżną i pędem ruszył w kierunku źródła hałasu. Henryka wyjrzała za pisarzem. Leonard podbiegł do wiekowego sedana zaparkowanego tuż przed wejściem i wskoczył do środka, kładąc swój bagaż na kolanach. Zniecierpliwiony kierowca odjechał spod bloku z piskiem opon.

Ponieważ tego dnia w grafiku Orłowskiej był jeszcze jeden ważny punkt, dłużej nie ociągając się, pojechała

prosto na Pulczyckiego. Istniała realna szansa, że jeśli pójdzie jej sprawnie, załapie się na odbywające się tego wieczora warsztaty salsy.

Gmach biblioteki, perełka architektoniczna, mocno wyróżniał się na tle stojących z obu jego stron przybrudzonych sadzą budynków wybudowanych w latach pięćdziesiątych. Henryka nacisnęła miedzianą klamkę, silnie pchnęła ciężkie skrzydło drzwi. Stukając obcasami o posadzkę, podeszła do biurka bibliotekarki.

– Dzień dobry, czy jest dzisiaj Kacper? – Nie siliła się na zbędny wstęp.

– Dzień dobry. Jest, ale ma przerwę. Poprosić go? – zapytała uprzejma młoda kobieta, odrywając wzrok od monitora.

– Nie, proszę mu nie przeszkadzać, poczekam. Rozejrzę się po regałach.

– A jest pani naszą czytelniczką? – upewniła się pracownica, gotowa własną pierśią bronić zbiorów biblioteki przed nieuprawnionymi do tego indywiduami.

– Jak najbardziej. – Na potwierdzenie swoich słów Henia pokazała kartę biblioteczną. Była bardziej niż zadowolona, że podczas niedawnej wycieczki z klubem seniora po budynku, korzystając z okazji, wyrobiła sobie kartę.

Jeden rzut oka na plastik uspokoił bibliotekarkę.

– W takim razie proszę bardzo. – Zapraszającym gestem wskazała regały, których półki aż uginały się pod ciężarem równiutko ustawionych książek.

Henryka zaczęła od działu z kryminałami, thrillerami i sensacją. Nie miało dla niej znaczenia, że nie zamierzała



niczego wypożyczać – Pulczyckiego było zbyt daleko od jej domu. Dźwiganie taki kawał ciężkich tomów mijało się z celem, szczególnie że nieopodal niej była doskonale zaopatrzona filia. Zaprzyjaźniona bibliotekarka, znając literacki gust starszej pani, każdego miesiąca odkładała dla niej co ciekawsze pozycje. Jednak dla zabicia czasu przyjemnie było poczuć pod palcami kartki, szelest przierzucanych stron odprężał ją.

– Szukała mnie pani.

Kończąc czytać prolog przypadkowej powieści, usłyszała za sobą głos Kacpra. Odłożyła kryminał na właściwe miejsce i dopiero wtedy odwróciła się twarzą do chłopaka.

– O, to pani – powiedział.

– Znowu się spotykamy. – Posłała mu czarujący uśmiech.

– W czymś mogę pomóc?

– Prawdę mówiąc, tak. – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej smartfona. Wcisnęła go w wielką dłoń męża Franciszki. – Proszę, zrób mi tutaj książki.

– Zrobić pani książki? – Nic z tego nie rozumiejąc, spojrzał najpierw na trzymany w dłoni kolorowy pokrowiec z telefonem, a następnie na Henrykę.

– Syn znajomej powiedział mi, że macie w bibliotekach takie kody – próbowała wyjaśnić, w czym rzecz.

– A! Już się robi, proszę za mną.

Zaprowadził ją do swojego biurka i usiadł na fotelu, które obrotowym pozostało jedynie z nazwy, bo dobrych pięć lat temu ze starości straciło funkcję obracania się. Orłowskiej wskazał krzesło naprzeciwko. Stanowisko pracy Kacpra było zlokalizowane blisko ściany i znajdowało się

w dość dużej odległości od jego koleżanki po fachu, dzięki czemu współpracownicy mogli się czuć w miarę swobodnie. Na biurku, poza piórnikiem-jeżem do granic możliwości wypełnionym mazakami, długopisami oraz ołówkami, stał monitor, leżały trzy sterty książek, kalendarz i pieczętka.

– Poproszę kartę biblioteczną. – Chłopak wyciągnął przed siebie rękę.

Henryka podała mu plastikowy prostokąt.

– Dawno pani u nas nie było – stwierdził po zeskanowaniu kodu kreskowego.

– Mam daleko – wyjaśniła. – Ale jak tylko usłyszałam o tych darmowych e-bookach, od razu pomyślałam o tobie, chłopcze. Nikt tak dobrze jak wy, młodzi, nie zna się na internecie. Byłam pewna, że będziesz wiedział, o co chodzi – ekscytowała się.

Bibliotekarz wyjął telefon z pokrowca i zabrał się do wgrywania aplikacji.

– Będzie pani umiała z niej korzystać czy wytłumaczyć, jak to się robi? – zapytał, nie odrywając oczu od sześciu cali wyświetlacza.

– Będę umiała. – Henia dumnie wypięła pierś. – Już się podszkoliłam na innym telefonie – nie omieszkała się pochwalić.

– W takim razie gotowe. – Kacper oddał jej smartfona.

– Tak szybko? – Trudno powiedzieć, czy była tym faktem bardziej zdziwiona, czy z niego niezadowolona.

– To nic trudnego. – Uśmiechnął się łagodnie.

Starsza pani z ociąganiem schowała telefon.

– A mówią, że ludzie nie czytają – zagaiła i wskazała dłonią na trzy wieże ustawione obok chłopaka. – Czytelnicy oddali je dzisiaj?

Zaczerwienił się. Poprawił piórnik w kształcie jeża, wyrównał kalendarz biurkowy i dopiero wtedy odpowiedział:

– To moje.

Henryka zlustrowała pokaźną liczbę grzbietów.

– W takim razie nie braknie ci lektury przez dobry miesiąc albo i lepiej.

– Dwa tygodnie – sprostował cicho.

– Ale ty masz tempo!

– Po prostu lubię czytać.

– Młodzińcze – czuła, że dłużej nie może odwlekać tej chwili – widzisz... – nabrała powietrza do płuc – wzięłam sobie za punkt honoru, że znajdę mordercę pana Stanisława.

– Słyszałem, jak mówiła pani o tym Francesce – przyznał.

– Trochę popytałam tu i tam... – zacięła się.

– I? – Uniósł do góry brew.

– I to kłamstwo, że nie spotkałeś się z panem Stanisławem w sprawie oskarżenia. – Kamienna twarz Kacpra niczego nie zdradzała, więc Henryka kontynuowała: – Groziłeś mu, że jeśli nie odpuści, to cię popamięta. Sekretarka może zaświadczyć.

Nadal niewzruszony bibliotekarz nachylił się do jednego ze stosów książek, omiótł go wzrokiem, po czym wyjął mniej więcej ze środka gruby tom i położył go przed Orłowską na biurku.

– Lepiej proszę sobie poczytać. W tym kraju na szczęście jest policja, z pewnością oni już wiedzą, jak wykonywać swoją pracę. – Był uprzejmy, ale i stanowczy. – To jak? Bierze pani? Świetny kryminał, nie ma rozlewu krwi, bez niepotrzebnej brutalności, wulgaryzmów, a przy okazji można się uśmieć do łez. Powinien dostarczyć pani wielu emocji, przynajmniej na jakiś czas.

– Wezmę. – Henryka była wyraźnie zawstydzona.

Bibliotekarz zeskanował kod kreskowy i przypomniał:

– Jest na miesiąc, proszę nie zapomnieć oddać w terminie. Ma pani w co zapakować?

– Mam. – Na potwierdzenie słów otworzyła wypchaną torebkę na ramię.

Kacper spojrzał na nią ze zgrozą.

– Przecież się wygniecie. Musi posłużyć jeszcze wielu czytelnikom. – Na moment zniknął pod biurkiem. Gdy się na nowo ukazał, w jego wielkiej dłoni spoczywała płócienna torba. Włożył do środka książkę i podał uszy Orłowskiej. – Odda pani torbę, kiedy przyjdzie zwrócić książkę.

– Dziękuję. – Znowu była zmieszana.

Odeszła w pośpiechu, chciała jak najszybciej zniknąć z pola widzenia męża Franciszki. Zmarnowany czas. Westchnęła rozczarowana, energicznie wymachując torbą z powieścią kryminalną.

Do domu wróciła tak zmęczona, że zupełnie skreśliła w myślach warsztaty salsy, a zamiast tego dla odprężenia przysiadła ze szklanką kawy na balkonie. Żeby nie przemarznąć, owinęła się grubą wełnianą chustą. Miała

mętlik w głowie. Każdy z uczestników wycieczki wydawał się jej równie podejrzany o zabicie Stanisława i każdy miał bardziej lub mniej sensowny motyw. Od jeżdżenia od osoby do osoby tylko rozbolały ją nogi. Liczyła, że do tego czasu uda jej się znaleźć winnego, ale minęło wiele dni i Henryka czuła, że nie przybliżyła się ani o krok do rozwiązania. Jakby tego było mało, od jutra przez całe dni w ramach wolontariatu powinna sadzić kwiaty w Parku Jeża. Jako druga zastępczyni przewodniczącej komitetu organizacyjnego nie mogła się wycofać z przedsięwzięcia. Tego roku po raz pierwszy piastowała ważne i odpowiedzialne stanowisko głównej sadzącej. Jej kandydaturę zgłoszono i przegłosowano, zanim spóźniona o piętnaście minut przez wypadek na Aleksandrowskiej wpadła do sali, gdzie odbywało się spotkanie. W związku z tym nie było mowy, żeby w najbliższym czasie równolegle prowadziła swoje amatorskie śledztwo. Do tego wyczerpały jej się pomysły na to, co więcej mogłaby zrobić w tropieniu zabójcy. Czy jej się to podobało, czy nie, na jakiś czas była zmuszona zawiesić działalność detektywistyczną. Henia dopiła zimną kawę i przygaszona wróciła do ciepłego mieszkania.

## ROZDZIAŁ 15

Minione trzy tygodnie mocno dały Orłowskiej w kość. Dzień w dzień, czy deszcz, czy słońce, na kolanach, ramię w ramię z pozostałymi wolontariuszami dzielnie okopywała, sadziła, obsypywała korą i żwirem, nawoziła, grabiła, siała, podlewała, udeptywała. Choć zmęczenie dawało jej się we znaki, przepełniała ją radość z dobrze wypełnionego obowiązku obywatelskiego. Całe dywany różnokolorowych kwiatów były warte tego poświęcenia. Pani Henia wprost nie mogła się doczekać, kiedy mieszkańcy będą podziwiali je w parku. Do tego nowo nasadzone drzewka, odmalowane ławki, plusk wody dochodzący z odnowionej fontanny. Piękna ta nasza Łódź, ba Łódź, cała Polska! Aż rozpierała ją duma, gdy obolała jechała autobusem.

Zaraz po powrocie do domu dobrze wyszorowała szczoteczką dłonie, które mimo noszenia ochronnych rękawiczek ubrudziły się ziemią. Wyczerpana ciężką pracą fizyczną starsza pani w końcu opadła bez sił na kanapę. Burczało jej w brzuchu, ale tego dnia zupełnie nie miała ochoty dodatkowo trudzić się przygotowywaniem kolacji. Wyjęła z kieszeni ulotkę, którą dała jej wczoraj znajoma z sekcji iglaków. Ognisćcie pomarańczowy napis zachęcał do skorzystania z oferty nowo otwartej restauracji o nazwie Wysokie Progi, Niebiańskie Smaki.

*Darmowy dojazd, pierwsze zamówienie  
z trzydziestoprocentową zniżką!*

Jeśli do tego dodać ustalone na rozsądnym poziomie ceny, wychodziło niedrogo. Wiele apetycznie brzmiących nazw potraw, których znakomita większość była makaronami, skusiło głodną jak wilk Henrykę. Co prawda nie miała w zwyczaju zamawiać jedzenia z restauracji, ale uznała, że tym razem należy jej się nagroda za ostatnie tygodnie harówki.

– A co tam, zaszaleję – powiedziała sama do siebie.

Po dwukrotnym zapoznaniu się z każdą pozycją wybrała tagliatelle w sosie kurkowym z indykiem. Gdy kończyła składać przez telefon zamówienie, ujrzała błagalny wzrok rozpląszonego na fotelu buraska i domówiła dla niego małą porcję dania oznaczonego numerem osiem, czyli kokardek z grudkami białego sera robionego domowym sposobem według babcinej receptury.

Czas oczekiwania na dostawę dłużył jej się niemiłosiernie. Żeby go jakoś wypełnić, przygotowała dla siebie talerz, sztucce, umyła kocią miskę. Nie zapomniała również o Biskopcie. Nie chciała, żeby zwierzątku było przykro, że tylko pozostali domownicy dogadzają sobie, podczas gdy on siedzi w klatce zupełnie zapomniany. Dosypała mu ziarenek, wyprostowała paśnik i uzupełniła pojnik jego ulubioną wodą mineralną. O dziwo, w trakcie tych wszystkich czynności Bibuś nawet nie wyściubił nosa z domku, jak miał to w zwyczaju, by skrupulatnie zbadać

zawartość świeżo napełnionej miski. Henryce zapaliła się w głowie lampka alarmowa. Klęknięta obok klatki i na dziesięć znanych jej sposobów zabrała się do namawiania przyjaciela, żeby się pokazał. Dopiero po dłuższym czasie świnka morska zdecydowała się powoli wystawić łebek.

– Chodź, maluchu. – Pani wyciągnęła do niego rękę, cierpliwie czekając, aż w końcu sam wejdzie jej na dłoń, po czym rozświetliła komplet żarówek w żyrandolu.

Dokładne oględziny z każdej strony wykazały, że za prawym uchem Biszkopta znajdowało się coś dziwnego, czego z całą pewnością wczoraj nie było i być nie powinno.

– No, przyjacielu, czeka nas wizyta u weterynarza – powiedziała Orłowska, gładząc ufnie przyglądającego się jej Biszkopta po rudym futrze.

Zabiegi przerwał im dzwonek do drzwi. Henryka delikatnie postawiła świnkę morską na trocinach, a ta natychmiast obróciła się do niej tyłem i zniknęła w swoim domku. Dzwonek ponownie rozbrzmiał.

– Idę! – krzyknęła starsza pani, rażnym krokiem przemierzając korytarz. – Kto tam? – zapytała przezornie, pamiętając, że ostatnio codziennie przestrzegali w radiu przed otwieraniem drzwi nieznanym.

– Dostawa z restauracji – odpowiedział głośno mężczyzna znajdujący się po drugiej stronie drzwi.

Henryka jeszcze bardziej przyspieszyła. Nie marnując czasu na zerkanie w judasza, przekręciła klucz w zamku.

– Wprost nie mogłam się doczekać – zapięła z radości. –



Pan Irek! Nie może być! – Widok kierowcy MAXIMUSA 3000 w wersji DELUX stojącego z zapakowanymi w reklamówkę dwoma styropianowymi pojemnikami wprowadził ją w osłupienie.

– O proszę! – I on był nie mniej zdziwiony. – Mieszkanie numer dwa? – upewniał się, zerkając na brązową cyfrę przytwierdzoną do drzwi.

– Dwa! – Henia energicznie kiwnęła głową.

– Należy się dziewiętnaście pięćdziesiąt. – Podał jej pojemniki.

– Proszę do środka, muszę wziąć portmonetkę. – Orłowska odebrała od niego torbę i wraz z nieodstępującym jej nawet na krok Czizem pospieszyła do kuchni.

Ireneusz otrzepał buty i poszedł za Henryką. Gospodyni odłożyła jedzenie na szafkę kuchenną i dokładnie odliczyła należną sumę.

– Proszę. – Podała mu pieniądze. – Może pan chwilę usiądzie, trochę odsapnie. Mogę zrobić kawę – zaproponowała.

Mężczyzna spojrzał na wygniecioną karteczkę wyjętą z jednej z kieszeni wędkarskiej kamizelki.

– Zostały mi do rozwiezienia dwa zamówienia, ale czemu nie? Napiłbym się wody.

– Już nalewam, pan sobie spocznie. – Henryka wskazała mu jedno z czterech drewnianych krzeseł dostawionych do stołu.

Chętnie rozsiadł się na jednym z nich, nie zważając na karcące spojrzenie, jakim obrzucił go kot, który

z niecierpliwością czekał na coraz bardziej stygnącą mu z każdą minutą kolację.

– Widzę, że się pan przebranżowił – zaczęła rozmowę Orłowska, podając Irkowi kubek.

– Dziękuję. – Duszkiem wypił połowę jego zawartości. – A tak – machnął ręką – miałem dosyć tych wycieczek. Sam bym tego lepiej nie zaplanował. Akurat nadarzyła się okazja, znajomy chciał kupić autokar, spłaciłem za jednym razem cały kredyt i kupiłem sobie małego vana. Ulka dowiedziała się od kogoś, że odszedłem z biura podróży, zadzwoniła do mnie, powiedziała, że szukają dostawcy i zapytała, czy nie byłbym zainteresowany. Jaki ten świat mały! – Wziął kolejny haust. – No i się nająłem, nie zaszkodzi trochę dorobić, zawsze jakiś grosz wpadnie do kieszeni.

– Zaraz, mówi pan o tej Urszuli, przewodnicze z wycieczki? – Henia szukała u niego potwierdzenia.

– Tak, o niej. Pani sobie wyobrazi, że dzień przede mną i Ulka w jasną cholerę rzuciła robotę i otworzyła restaurację. W życiu pani nie zgadnie, kto jest jej współnikiem. – Ireneusz wyszczerzył zęby.

– Pan Witold. – Henryka nie zastanawiała się długo nad odpowiedzią.

– Strzał w dziesiątkę! – Mężczyzna dopił wodę i wyciągnął przed siebie rękę z kubkiem. – Dałoby radę dolewkę?

– Oczywiście. – Gospodyni odwróciła się do Irka plecami, idąc znów do kuchennej szafki. Jej mózg pracował jak oszalały. – A to ciekawe, że tak we dwoje otworzyli

restaurację. W końcu mówili mi, że dopiero co poznali się na wycieczce. Odważnie – stwierdziła.

– A mnie tam coś w tym wszystkim śmierdzi, jak na moje oko za szybko się z tym uwinęli. Na razie mają tylko catering i to od szesnastej do dwudziestej drugiej od wtorku do piątku, ale powiedzieli mi, że niedługo, jak dostaną potrzebne pozwolenia, będzie można też jeść na miejscu. On gotuje, ona zajmuje się resztą. Dopóki mi płacą w terminie, o nic nie pytam, w zasadzie to nie moja sprawa. A żeby pani widziała, jak szczebioczą niby te gołąbeczki, zakochani tacy, że fiu, fiu. Ale na sto procent spadnie pani z krzesła, gdy powiem, kto im wynajął lokal...  
– Spojrzał na stojącą koło kuchenki Henrykę.

– Pani Krystyna – odparła zamyślona Orłowska.

– Chyba powinna się pani nająć na jasnowidza! Pani Krystyna, Ulka i Witold są w wielkiej komitywie. Można?  
– Wyciągnął rękę w stronę stojącej na środku stołu pełnej szklanki paluszków.

– Proszę się częstować – zachęciła go, zalewając dwie łyżeczki mielonej kawy wrzątkiem. Po chwili usiadła przy stole naprzeciwko niego i ważąc słowa, zapytała:

– A ten lokal jest duży?

– Czy ja wiem. – Zamyślił się. – Jak na restaurację to raczej klitka, z trzydzieści, maksymalnie czterdzieści metrów kwadratowych sali plus mała kuchnia.

– Rzeczywiście niedużo. – Henryka zapatrzyła się nieobecny wzrokiem w czajnik, nie dostrzegając Cziza skradającego się za pojemnikami z dostarczonym jedzeniem i cichcem skrobiącego folię jednym pazurem.

– Ale za to nowiutko odremontowane wszystko i nowocześnie urządzone. Musiało to nieźle kosztować – dopowiedział Irek, łakomie wyjadając paluszki i zapijając je wodą. Trochę trwało, zanim przerwał przedłużającą się ciszę i rzekł:

– Powiem pani coś – postanowił.

– Tak? – zareagowała wyrwana z zadumy starsza pani.

– Wcześniej myślałem, że on zmarł śmiercią naturalną, a tylko policja szuka dziury w całym, ale teraz nie byłbym tego taki pewien. Kiedy pomyślę, że tuż za moimi plecami ktoś naprawdę popełnił morderstwo... – Wzdrygnął się.

Po tym wyznaniu Henryka, całkiem nieźle znająca się na ludzkiej naturze, w mig odgadła przyczynę zaskakującej gadatliwości Irka, do którego najwidoczniej dopiero niedawno dotarła powaga wydarzenia, jakie zaszło w jego MAXIMUSIE.

– Do tej roli najbardziej pasuje mi młody siedzący na końcu...

Przerwała mu, zanim dokończył myśl:

– Chodzi panu o Leona?

– Tak.

– Dlaczego akurat o niego?

– Jak dla mnie był jakoś za cichy, kto wie, czy specjalnie nie chciał się nie rzucić w oczy. Poza tym mówił mi, że ma niską pensję, nie przelewa mu się, więc jak zapłacił na wycieczkę? – Ireneusz nadgryzł na raz dwa słone paluszki. – Na drugim miejscu typowałbym Francescę.

– A ją czemu? – Z ciekawością zerknęła na gościa znad szklanki z kawą.

– Strasznie gadatliwa, jakby ciągłym mówieniem chciała coś ukryć, odwrócić naszą uwagę od morderstwa – pokusił się o dogłębną analizę jej zachowania. – Nie zauważyłem też, żeby szczególnie przejęła się śmiercią rządu foteli od siebie.

– Godne rozważenia. – Henryka zanotowała tę uwagę w pamięci.

– A i ten jej zaczytany mąż... Coś mi to pachnie kamuflażem. – Popukał się palcem w nos. – Ale gdyby kogoś interesowało moje zdanie, najbardziej postawiłbym na znowę kucharza, Ulki i wdowy. – Śmiało przypisywał winę kolejnym osobom.

Kąciki ust Orłowskiej nieznacznie uniosły się do góry. Szybko wyliczyła, że poza Ireneuszem tylko ona była wolna od podejrzeń mężczyzny. Domyślała się, że gdyby rozmawiał z innym uczestnikiem wycieczki, prawdopodobnie również i dla niej znalazłby miejsce na ławie oskarżonych.

– Panie Irku, a może policjanci już złapali winnego. – Zdała sobie sprawę, że przez ostatnie trzy tygodnie, kiedy nie miała czasu interesować się sprawą, wiele mogło się zmienić.

– A gdzie tam! – Lekceważąco machnął ręką.

– Skąd pan wie?

– Pani Krystyna mi powiedziała. Była dzisiaj na komisariacie, wezwali ją, żeby złożyła jakieś dodatkowe wyjaśnienia. Od razu ich wypytała o postępy i nic nie mają. – Ochoczo podzielił się swoją wiedzą. – Ja pani mówię, oni się pewnie zmówili i razem wykończyli faceta,

cała trójka.

– Po co mieliby to robić?

– Dla pieniędzy. Nie widzi pani tego? Jedna osoba mniej do podziału.

Z którejś kieszeni Ireneusza doszedł do ich uszu natrętny, choć stłumiony warstwą materiału dźwięk telefonu. Gość Henryki wrzucił do ust reszkę słonego paluszka i wytarł dłoń w spodnie. Wyjął telefon, zerknął na wyświetlacz, po czym wstał bez zbędnego pośpiechu.

– Klienci czekają na zamówienia – powiedział, odrzucając połączenie, i poszedł w kierunku wyjścia.

– Panie Irku! – Orłowska wyskoczyła za nim na klatkę schodową.

– Co? – Spojrzał na nią z poziomu półpiętra.

Przechyliła się przez poręcz i powiedziała:

– Niedawno policja szukała pana w Niezapomnianych Doznaniach. Podobno jest pan nie do namierzenia, a chyba mają jakąś ważną sprawę.

– Phi – prychnął. – Nie mój problem.

– Lepiej samemu się zgłosić – odpowiedziała.

– Nie będę im odbierał chleba – zadrwił.

– Panie Irku – nie miała nic do stracenia – może jednak zdradzi mi pan, co było w tych workach?

– A pani ciągle o jednym. ZIEMNIAKI – wycedził przez zęby i wolnym krokiem zszedł po schodach. Choć chętny do zdradzania cudzych tajemnic, swoje wolał zachować tylko dla siebie.

Henryka zamknęła drzwi. Ciz wyjrzał z kuchni i żałośnie miauknął.

– Przecież ty czekasz na kolację! – przypomniała sobie. – Chodź, może nadal jest ciepłe.

Wyjęła styropianowe pojemniki z torby foliowej, niestety do tego czasu jedzenie zdążyło się zaparzyć. Trudno – uznała, nie przejmując się tym zbytnio. Nałożyła po słusznej porcji na talerz oraz miskę. Kot rzucił się do posiłku i praktycznie bez gryzienia łapczywie łykał grudki białego sera. Makaronowe kokardki z lekkim obrzydzeniem sprytnie wypychał pyszczkiem wprost na podłogę. Orłowska zasiadła do tagliatelle. Sos kurkowy powalał grzybowym zapachem, mięso było zrobione w punkt, jednak zafrasowana Henryka zupełnie tego nie dostrzegała. Machinalnie prowadziła do ust raz za razem widelec pełen makaronu, nie bardzo uświadamiając sobie, co je. Prawdopodobnie nie zauważyłaby nawet, gdyby zamiast aromatycznego, szczerze obsypanego kurkami dania stał przed nią talerz rozgotowanego ryżu. Odruchowo wzięła do ręki ulotkę Wysokich Progów, Niebiańskich Smaków i dokładnie obejrzała ją z dwóch stron. Gdzie to w ogóle jest? – zastanowiła się, próbując przypisać nazwę ulicy, na której znajdował się lokal, do którejś z dzielnic Łodzi, ale nic jej z tego nie wyszło. Wstała od stołu, porzucając niedojedzony posiłek, i wyjęła mapę miasta. Rozłożyła płachtę na podłodze. Śródmieście – ustaliła po niedługim czasie. Chociaż wstępnie planowała dać sobie dzień, a może nawet dwa dni na regenerację po harówce w parku, teraz zmieniła zdanie. Od jutra wznawiam śledztwo – podjęła decyzję. Nie mogła pozwolić, żeby morderca nie odpowiedział za swój czyn.

## ROZDZIAŁ 16

Biskopt ani myślał współpracować. Wizyta w lecznicy od lat budziła jego lęk. Sam widok zbliżającej się do klatki właścicielki z transporterem w dłoni wystarczył mu, żeby przewidzieć ciąg dalszy, dlatego przezornie od razu schował się w domku, wciskając się w najdalszy jego kąt.

– Bibuś, nie wygłupiaj się – przemawiała do niego uspokajająco Henryka. – Pan doktor nic złego ci nie zrobi, on tylko chce pomóc. Chodź – prosiła.

Pierwsza próba wsadzenia świnki morskiej do transportera wykazała, że w czasie dwunastu miesięcy od ostatniej wycieczki do weterynarza, Bibuś znacząco urósł wszerek. Pewnie dałoby radę go tam wcisnąć, ale Henia nie zamierzała niepotrzebnie stresować pupila podróżą w za ciasnym nosidełku. Nie traciła jednak zapału. Zza kanapy wyjęła okazałych rozmiarów wiklinowy, ciężki transporter Cziza. Na jego widok kot na wszelki wypadek czym prędzej czmychnął do swojej tajnej kryjówki pod wanną.

– Bibusiu! – Opiekunka w miejsce poprzedniego błagalnego tonu głosu przybrała tym razem nieustępliwy i stanowczy.

Na śwince morskiej nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia i nadal opierała się wszystkimi czterema łapkami, majtała nimi i wierzgała całą sobą, możliwie jak



najbardziej utrudniając starszej pani wykonanie zadania. Zgrzana z emocji Henryka w końcu umieściła przyjaciela w luksusowym pojemniku. Przytknęła głowę do drzwiczek z kraty i powiedziała do tyłu obrażonego Biskopta:

– To dla twojego dobra.

Ponieważ opel Orłowskiej nadal był w naprawie, zadzwoniła po taksówkę. Dość sprawnie wgramoliła się do forda escorta, który przyjechał na wezwanie, a następnie wraz z kierowcą (ona ciągnęła, on pchał) wspólnymi siłami udało im się postawić transporter na siedzeniu obok Heni.

Uczynny taksówkarz zaparkował pod samym wejściem do lecznicy i pomógł starszej pani zanieść Bibusia wraz z opakowaniem do gabinetu.

– Piękny mamy dziś dzień, pani Heniu. – Młody weterynarz w seledynowym fartuchu w mopsy był w wyśmienitym nastroju.

– Oj tak – potwierdziła, mocując się najpierw z zamknięciem drzwiczek, a następnie ze stawiającym czynny opór Bibusiem.

– A co to się stało naszemu Biskoptowi? – zapytał lekarz.

– Panie doktorze, zrobiło mu się coś dziwnego za uchem – objaśniła, stawiając świnkę na metalowym stole.

W momencie gdy zwierzak dostrzegł szansę ucieczki, dwa razy się nie zastanawiał, tylko wystrzelił w kierunku brzegu stołu. Weterynarz wprawnym ruchem chwycił go i odstawił na poprzednie miejsce.

– Jak zawsze waleczny – zaśmiał się, ani na sekundę nie

wypuszczając go z ręki. – Następnym razem musi pani mu chyba dać na uspokojenie ciupinkę *Atropy belladonny*, bo w końcu nam zwieje i jeszcze biedaczek skręci sobie kark, spadając na podłogę. Gdzie konkretnie mu się to coś zrobiło?

– Za prawym uchem. *Atropy belladonny*?

– Żartuję – zachichotał – chociaż może kapka by nie zaszkodziła niektórym moim pacjentom. – Pokazał na nadgarstek ozdobiony świeżym odciskiem zębów wyglądających na kocie. – Z pewnością słyszała pani o *Atropie belladonnie*, to łacińska nazwa dla pokrzyku wilczej jagody.

– Tak, słyszałam – powiedziała przeciągle Orłowska.

Wyczuła doskonałą okazję do wzbogacenia swojej wiedzy na temat interesującego ją pokrzyku wilczej jagody. Gadatliwy weterynarz uwielbiał podczas wizyt raczyć ją, podobnie jak każdego z opiekunów swoich pacjentów, ciekawymi wykładami, za każdym razem na inny temat. Henryka miała nadzieję, że dowie się czegoś nowego o truciznie, którą posłużył się morderca Stanisława. Wystarczyło tylko skierować rozmowę na właściwy temat, choćby i niezgrabnie, weterynarz nie potrzebował wiele.

– Ostatnio czytałam o pokrzyku wilczej jagodzie w internecie, to bardzo ciekawa roślina. Chyba można ją stosować w medycynie?

Doktor zaświecił lampkę, skierował jej ostre światło na plecy Biszkopta i pod lupą dokładnie obejrzał go za uchem, jednocześnie zabierając się za przemówienie:

– Oj tak! To doskonały naturalny środek, chociaż niestety niedoceniany. Pacjenci wolą brać chemię masowo produkowaną w fabrykach, ale zobaczy pani, w końcu przeprosimy się z Matką Naturą i na nowo Boża apteka podbije świat medycyny, zresztą już widać, że ku temu zmierzamy. Meliski, rumianki, kopry włoskie, płukanki z szałwii, dziurawiec. A wiele z tego można wykorzystać również w weterynarii. Ostatnio byłem na konferencji w Chicago, gdzie uczestniczyłem w arcyciekawej prezentacji „Leki z lasu”. Mówili właśnie o pokrzyku wilczej jagodzie, na szczęście coraz częściej stosowanym w leczeniu. A jakie on ma szerokie zastosowanie! W okulistyce, jako środek znieczulający, katar, kaszel i generalnie problemy z zakresu układu oddechowego, pokarmowego, bóle głowy, zapalenie nerek. Jest też niezawodny w problemach z zasypianiem, pomaga się wyciszyć. – W tym momencie puścił oko do Biskopta patrzącego na niego wrogo. – Druga rzecz, że wolimy szukać daleko, bo jak ktoś słyszy, że lek sprowadzono zza granicy, z Azji albo Afryki, że nie wspomnę o Ameryce, to od razu dodaje mu sto punktów do działania. A przecież Atropa belladonna rośnie i u nas w Polsce, głównie na południu.

Doktor nie przestawał mówić, co nie przeszkadzało mu jednocześnie zajmować się świnką morską. Gdy weterynarz wziął do ręki skalpel, Henryka zamarła.

– Co jest Biskoptowi? Czy to coś poważnego? – Głos jej zadrżał.

– Momencik. – Ciachnął zza ucha zwierzaka kawał

rudego futra. – Nie tak dawno słyszałem w wiadomościach, że ktoś pomylił Atropę belladonnę ze zwykłymi jagodami – kontynuował. – Maksymalnie dwadzieścia nieopatrznie zjedzonych takich niepozornie wyglądających jagódek i po dorosłym człowieku. Jakby się dłużej zastanowić, może to i szczęście w nieszczęściu, że dzisiaj w naturalnych warunkach coraz trudniej ją spotkać. – Zgasił lampkę, wziął na ręce pacjenta i pogłaskał go pod brodą. – Byłeś bardzo dzielny – pochwalił go.

– Panie doktorze, proszę mnie dłużej nie trzymać w niepewności, co mu jest?

Weterynarz oddał właścicielce jej pupila. Orłowska z czułością przytuliła Bibusia do piersi i zabrała się za drapanie go po plecach.

– Pani Heniu, nie chcę pani dręczyć, niepotrzebnie przedłużając. Sprawa tego czegoś za uchem jest już rozwiązana, po prostu skleiło mu się futerko od pomidora, musiał go niechcący wetrzeć łapką, ale faktycznie wyglądało to niepokojąco, więc nie dziwię się, że pani przyjechała. Bardziej jednak martwi mnie coś zupełnie innego. – Zdjął z nosa okulary. – Waga. Świnka morska nie powinna ważyć prawie dwóch kilogramów. Biskopta trzeba odchudzić.

– Odchudzić? – Henryka była zszokowana. – Ale panie doktorze, jak to? Mam mu odmawiać jedzenia? Kiedy on tak żałośnie piszczy...

– Da pani radę. – Doktor poklepał Henię po ramieniu. – Zaraz wydrukuję szczegółową dietę dla Biskopta. A następnym razem, jak znowu będziesz uciekał, to

przysięgam, naprawdę dam ci kroplę wyciągu z pokrzyku wilczej jagody – zaśmiał się, patrząc w oczy pacjenta, po czym zasiadł do laptopa.

Henryka umieściła przyjaciela w transporterze i podeszła do biurka lekarza.

– Jaki piękny! – Wpadła w zachwyt na widok bukietu w wazonie, ustawionego z prawej strony komputera. – Sztuczny?

– Gdzież tam, prawdziwy, z suszu – wyjaśnił weterynarz.

– Koronkowa robota. – Orłowska dotknęła pomalowanych na złoto ususzonych hortensji. – Ile ktoś musiał w niego włożyć pracy! – Pomacała polakierowaną łodyżkę, gałązki pełne sztywnych liści. – A te kolory! Gdzie pan kupił takie cudo?

– Moja kuzynka je robi. Jeśli pani chce, mam numer do jej firmy – przekrzykiwał terkoczącą drukarkę, która centymetr po centymetrze wypluwała jadłospis.

– Poproszę. Taki bukiet będzie idealnie wyglądał u mnie w przedpokoju na kredensie. – Starsza pani już cieszyła się na myśl o wyjątkowej ozdobie swojego mieszkania.

Doktor przewertował portfel w poszukiwaniu wizytówki.

– Proszę sobie spisać numer. – Podał jej tekturowy prostokąt. – Ma pani czym zapisać?

– Mam. – Wyjęła z bocznej kieszeni torebki niewielką plastikową żyrafę. Gdy przycisnęła żółte, zakończone pluszowym pędzelkiem ucho, z ust plastikowego zwierzaka wyjechał rysik.

– Muszę mieć taki ołówek! – stwierdził lekarz, wpatrując

się w niego zachłannie.

– Sprezentuję panu, w domu mam drugi. – Henia uważnie przepisała dane z wizytówki, po czym wręczyła doktorowi żyrafę, a on podał jej rozpiskę z dietą odchudzającą dla świnki morskiej.

– Ile płacę?

– Już pani zapłaciła. – Wyszczrzył zęby, raz za razem dociskając ucho ołówkowej żyrafy.

Henryka wyszła przed lecznicę. Na niebie nie było ani jednej chmurki, świeciło słońce, wiał orzeźwiający kwietniowy wietrzyk, przyroda budziła się do życia, a zaledwie sześćset metrów od lecznicy był przystanek tramwajowy, vis-à-vis, którego otwarto restaurację Wysokie Progi, Niebiańskie Smaki. Z pewnością nie zaszkodzi jej sobie obejrzenie z zewnątrz na żywo – zdecydowała Orłowska. Ujęła transporter za uchwyt i dzielnie zaczęła maszerować.

Zasapana bardziej, niż się tego spodziewała, klapnęła na ławkę pod wiatą, stawiając pojemnik z Biszkoptem obok siebie. Z ulgą zsunęła założone pierwszy raz w tym sezonie półbuty, które jak się okazało, zbiegły się po zimie i niemiłosiernie piły w stopy. Nikogo więcej na przystanku nie było. Kiedy starsza pani zapoznała się z rozkładem jazdy, w lot odgadła przyczynę takiego stanu rzeczy. Trzydziestka jedyńka miała przyjechać dopiero za dwadzieścia minut, ale ponieważ Henryce nigdzie się nie spieszyło, po prostu rozsiadła się wygodniej. Majtając w powietrzu obolałymi stopami, przyjrzała się szyldowi z nazwą wspólnego biznesu Witolda oraz Urszuli.

Zachodziła w głowę, dlaczego tablicę z nazwą restauracji przymocowano nad oknem pierwszego piętra. Chęć zaspokojenia ciekawości okazała się silniejsza niż dające się we znaki pęcherze na stopach. Henia założyła pantofle, spuściła nogi na ziemię i wraz z Biskoptem w jego tymczasowym domku przeszła na drugą stronę ulicy. Weszła do kamienicy, gdzie znajdowała się restauracja, i po przyjrzeniu się tablicy informacyjnej wszystko stało się jasne – lokal, o dziwo, otworzył swoje podwoje na pierwszej kondygnacji. Henryka z odrazą zerknęła na schody. Cóż, za daleko zaszłam, żeby teraz się wycofać – pomyślała. Najchętniej zostawiłaby Biskopta na dole, ale co, jeśli zjawiłby się jakiś kot? Nie mogła pozwolić, żeby jej przyjaciel skończył marnie jako czyjś obiad.

– Chyba rzeczywiście powinieneś trochę zrzucić – rzekła, po raz enty przekładając transporter z ręki do ręki.

Ziajana dobrnęła na piętro. Odszukała drzwi Wysokich Progów, Niebiańskich Smaków i bezskutecznie kilkakrotnie szarpnęła klamkę.

– Zamknięte – powiedziała elegancka młoda kobieta, której najpierw głowa, a po chwili cała zgrabna sylwetka weszła po schodach. – Zaczynają od szesnastej.

– Dopiero za trzy godziny? – Henia pożałowała niepotrzebnie zmarnowanych sił. Z każdym kolejnym metrem pojemnik ze świnką, mimo że przeczyła temu logika, zdawał się zwiększać swoją wagę. Nawet wołała nie myśleć o tym, jak daleko jest do domu.

– W ten sposób długo nie pociągną interesu, utnie im się przy samej... – elegantka poprawiła bujną grzywkę – ...no,

wie pani czym – dokończyła, puszczając oko do Orłowskiej.  
– I dobrze. Nie żebym im źle życzyła, ale mam dosyć tej ciasnoty. – Wyjęła z aktówki klucze i otworzyła nimi pierwsze drzwi na lewo od restauracji.

W jeszcze sekundę temu zmęczoną Henrykę wstąpiły nowe siły.

– Moja droga, chciałabyś powiększyć swoją firmę o metraż restauracji?

– Jaką firmę? – zdziwiła się kobieta. – Ja tu mieszkam. – Otworzyła na oścież drzwi.

Henia wyciągnęła szyję, dzięki czemu udało jej się zajrzeć do niewielkiego pomieszczenia. Biała szafka na buty, lustro w fikuśnej złotonej ramie, wieszaki na płaszcze w kształcie świńskich ogonków, półka uginająca się od damskich kapeluszy, na podłodze bielone panele usłane rozrzuconymi w nieładzie czółenkami, kozakami oraz adidasami, ściany w szarą pasiastą tapetę, żyrandol z kryształków. Tak, zdecydowanie przedpokój wyglądał na część lokalu mieszkalnego, a nie takiego, gdzie prowadzi się poważne biznesy.

– Jak tak dalej pójdzie, niedługo chyba dostanę klaustrofobii od gniecenia się w dwudziestu metrach kwadratowych. Nawet nie ma balkonu! – narzekała damulka.

– Kochana, jak ty się mieścisz w takim metrażu ze swoimi rzeczami? – W głosie starszej pani, która zajmowała mieszkanie o powierzchni stu metrów, słychać było mieszanek szoku oraz uznania.

– A mam inne wyjście? Muszę. Zresztą proszę, niech



sama pani zobaczy. – Właścicielka zapraszająco machnęła ręką w stronę należącej do niej kawalerki.

Orłowska chwyciła do ręki transporter, zupełnie tak jakby był piórkiem, i w podskokach, zapominając o pęcherzach na stopach, wparowała do przedpokoju.

– Jak gustownie urządzone! – Była oczarowana. – Faktycznie nie ma tu zbyt wiele przestrzeni, ale za to, moja droga, masz bardzo przytulne gniazdko i to w doskonałej lokalizacji.

– Też prawda – przyznała kobieta, porzucając markowe pantofle, które zdjęła ze stóp dokładnie tam, gdzie stała. – Dlatego nie chce mi się stąd wyprowadzać. Liczyłam, że kupię sobie mieszkanie obok. – Zerknęła na ścianę, za którą Wiktuał z Ulką otworzyli restaurację. – Tu miały być drzwi. – Pokazała na miejsce, w którym obecnie stała wielka szafa. – Projektant zrobił mi szkice.

– Tam było wcześniej mieszkanie? – dopytywała Henryka.

– Tak, wiele lat temu. Nawet zdążyłam dogadać się z właścicielem, że mi je sprzeda, ale jak na złość zmarł, zanim sfinalizowaliśmy transakcję. A tak się cieszyłam! – Zmarszczyła nos. – Tego samego dnia dostałam awans w pracy i dwudziesty czwarty marca miał być moją pamiątkową datą.

– Dzień przed wycieczką... – szepnęła Orłowska.

– Proszę?

– Nic, nic. A nie dało się dogadać ze spadkobiercami? – dociekała.

– A skąd! – Młoda kobieta zarzuciła grzywką. – Myśli

pani, że nie próbowałam? Czałam się przy wizjerze na żonę zmarłego właściciela – dodała w ramach wyjaśnienia – ale ona wyparła się, że o czymkolwiek wie. Powiedziała mi, że nie jest zainteresowana sprzedażą mieszkania, tylko chce je wynajmować.

– Ojej, szkoda, że nie spisaliście z tym panem ustaleń, pewnie nic nie powiedział wdowie o zamiarze sprzedania lokalu i po prostu ci nie uwierzyła. Może gdyby wiedziała, jaka była jego wola, wtedy by się zgodziła. Ale czasu się nie cofnie, jak to mówią, Polak mądry po szkodzie.

– Ależ ja miałam umowę przedwstępną! Na gębę to można sobie co najwyżej wymienić w piaskownicy wiaderko na łopatkę, ja tam wolę mieć ważne rzeczy na piśmie. Po śmierci właściciela skonsultowałam się ze znajomą prawniczką. Powiedziała mi, że wszystko zależy od dobrej woli wdowy, więc pokazałam jej papiery.

– I co? Co ona na to?

– Dziwna kobieta. Zrobiła się blada jak ściana, wyrwała mi je z ręki, od razu zaczęła czytać. Mamrotała pod nosem: „Jak on śmiał?”, „Jakim prawem?”, „Twoje niedoczekanie”. Mówię pani, za nic nie szło się z nią dogadać, a teraz nie dość, że mieszkam na mniejszej powierzchni niż wybieg dla surykatek, to jeszcze za ścianą mam garkuchnię! – grzmiąca.

– Kupiłam kawalerkę przed pięcioma laty, cały czas były cisza, spokój, obok nic się nie działo. Potem remontowali, ale ponieważ zaczynali, kiedy wychodziłam do pracy, a kończyli, jak wracałam, więc mi nie przeszkadzało. Ale teraz! Od piętnastej do później nocy wałą tymi garami. Całe szczęście, że w kamienicy mamy grube mury, w bloku

to by było nie do zniesienia.

Henryka, usatysfakcjonowana, że jej trud ostatecznie nie poszedł na marne, dziarskim krokiem opuściła kamienicę. Na minutę przystanęła jeszcze na chodniku, skąd z zadartą głową popatrzyła w czyste okna restauracji, w których pyszniły się nadające miejscu domowy klimat kraciate zasłony i śnieżnobiałe firanki.

– Sweter się znalazł? – zapytał nagle ktoś stojący za jej plecami.

Henia odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Urszulą. Chyba po raz pierwszy Orłowska miała okazję zobaczyć eksprzewodniczkę bez słuchawek w uszach tudzież przyklejonego do ręki smartfona. Zamiast elektroniki długowłosa piękność dzierżyła w dłoniach kilka wypchanych reklamówek, z których wystawały pory, nać marchwi, liście selera i pietruszki.

– Sweter? – Starsza pani nie miała pojęcia, o czym Ulka mówi.

– Sweter. Ten zostawiony w autokarze. Dzwoniła pani do mnie w tej sprawie po numer do Irka.

Orłowska przypomniała sobie na poczekaniu wymyślone kłamstwo, którego teraz niepomrotnie żałowała. I po co mi to było? – jęknęła w duchu. Trudno, nie widziała innego wyjścia, pozostawało jedynie brnąć w nie dalej.

– Na śmierć zapomniałam! Ach, ta skleroza. – Dzielnie odgrywała wymyśloną dla siebie rolę. – Taki dobry sweter, oby mi nie przepadł.

– Jeśli faktycznie zostawiła go pani w autokarze, a nie

zgubiła gdzieś indziej – blondynka spojrzała znad przeciwsłonecznych okularów z litością na Henrykę – Irek z pewnością go nie wyrzucił i gdzieś go ma. Proszę się nie martwić.

– Dzisiaj zadzwonię – przysięgła kłamliwie Henia. – Ale moja droga, my tu o jakimś swetrze, a doszły mnie słuchy, że zaszła u ciebie wielka zmiana. Jesteś teraz właścicielką restauracji! Dowiedziałam się o tym przypadkiem od pana Ireneusza, kiedy przywiózł mi zamówienie.

– Współwłaścicielką – sprostowała Urszula.

– Jadłam wasze tagliatelle w sosie kurkowym z indykiem, smakowało nieziemsko. Będę z czystym sumieniem polecała znajomym waszą restaurację.

– Miło słyszeć. – Widać było, że komplement sprawił jej przyjemność. – Postawiłam wszystko na jedną kartę. Pomyślałam, że raz kozie śmierć. Zrezygnowałam z pracy w biurze podróży, wyjęłam z konta oszczędności aż do ostatniego grosza i proszę bardzo, mam połowę Wysokich Progów, Niebiańskich Smaków. Ahoj, przygodo!  
– Promieniała.

– Trzeba być bardzo odważnym, żeby wejść w biznes z kimś, kogo dopiero się poznało – zauważyła nie bez racji Henryka. – Ale łatwiej o odwagę, kiedy jest się zakochaną. Czyż nie? – Popatrzyła na Ulkę łagodnym wzrokiem kobiety, która swego czasu sama bez pamięci zatraciła się w zniewalających oczach pewnego dżentelmena.

Urszula spłonęła rumieńcem. Chcąc wymigać się od odpowiedzi, odstawiała reklamówki pod nogi i stwierdziła:

– Jakie to ciężkie.

– Szybko wam poszło z otwarciem restauracji. – Orłowska nie odpuszczała.

– W zasadzie lokal był gotowy, nam tylko zostało go posprzątać, kupić składniki na dania, garnki, patelnie i tyle. Witek ułożył menu. Nie mam pojęcia o kuchni, ale wystarczy, że on jest mistrzem. Jedynym problemem są koncesje, pozwolenia i oczywiście, żeby nie było za łatwo, sanepid. Nie wiedziałam, że urzędy wymagają aż tylu papierów.

– Trzeba mieć szczęście, żeby od razu trafić na gotowy lokal. – Henryka żałowała, że żadną miarą nie jest w stanie dostrzec wzroku Urszuli, ukrytego za ciemnymi szklami okularów przeciwsłonecznych.

– Pofarciło się nam – zaśmiała się głośno blondynka.

W czasie gdy panie rozmawiały, zza rogu wyłoniła się wysoka postać Wiktuała. Mężczyzna dźwigał trzy skrzynki pełne półproduktów. Każdy kolejny krok przychodził mu z coraz większym trudem, a ręce nieuchronnie przybliżały się o kolejne milimetry do ziemi.

– Czyj to był pomysł, żeby otworzyć restaurację? – zapytała Henia, zanim Witold stanął obok nich.

– Mój – rzuciła szybko Urszula, która na widok obładowanego współnika chwyciła w dłoń siatki stojące na chodniku. – Ale pani Krystyna i Irek... – W dokończeniu myśli przeszkodziło jej desperackie wołanie dochodzące zza skrzynek.

– Drzwi! – wystękał z trudem Wiktuał. Jego czoło było złane potem.

– Dostanie pan przepukliny! – zrugła kucharza Henryka, podbiegając do wejścia. – Po co brać tyle na raz? Trzeba po trochu.

Ulka minęła Orłowską i susem, z reklamówkami w jednej ręce, popędziła na piętro.

– Otworzę ci restaurację! – zawołała, nie tracąc cennych sekund na odwracanie się.

Witold cudem zmieścił się wraz z obciążeniem w świetle drzwi i przy wtórze sapania oraz jęków, na coraz bardziej uginających się nogach, parł po schodach do góry. Zanim Henryka odeszła, zdążyła jeszcze usłyszeć trzask uderzających o ścianę drzwi, a sekundę później huk upadających na drewnianą podłogę skrzynek. Dał radę donieść – odgadła Henia. Ech, ci mężczyźni – pomyślała z rozbawieniem.

Podniosła z ziemi transporter i odwróciła się w stronę przystanku. Motorniczy kierujący trzydziestką jedynką właśnie zamykał drzwi. Gdyby tramwaje jeździły na benzynę, Henryka przynajmniej mogłaby powąchać spaliny, a tak tylko popatrzyła, jak żółto-czerwony pojazd mija ją, szybko sunąc po szynach w kierunku jej domu. Przed starszą panią i Biskoptem było ponad dwadzieścia minut oczekiwania. Ale kto by się tym przejmował w taki piękny wiosenny dzień?

## ROZDZIAŁ 17

Trzydziestka jedyńska przyjechała dziewięć minut później, niż obiecywał rozkład jazdy. Orłowska z niemałym wysiłkiem wsiadła do niej środkowymi drzwiami, trzymając na wysokości oczu transporter. Zwiększający się z każdym przystankiem tłum pasażerów sukcesywnie przepychał ją coraz bliżej końca wagonu. Henryka nie sądziła, że o tej godzinie może być aż taki tłok. Tramwajem szarpało niemiłosiernie. Motorniczy, który najwyraźniej postawił sobie za punkt honoru nadrobienie kilkuminutowego opóźnienia, jechał szybciej, niż było dozwolone, decydując się zahamować poza wyznaczonymi przystankami jedynie w razie bezwzględnej konieczności, a decyzję o zatrzymaniu pojazdu podejmował w ostatniej chwili. Żeby się nie przewrócić, Henia stanęła na szeroko rozstawionych nogach, mocno ściskając obiema rękami poręcz. Wielki wiklinowy transporter z od czasu do czasu popiskującą w nim świnką morską spoczywał u jej stóp, zajmując niemały kawałek podłogi.

– Niechże się pani w końcu przesunie! – Wyrwał ją z rozmyślań współpasażer, zawczasu torujący sobie drogę do tylnego wyjścia. – Święta krowa się znalazła! Ani jej ominąć, ani przeskoczyć – zachnął się.

– Oj, przepraszam, zagapiłam się. Natychmiast się przesuвам.

– Ona się zagapiła, a mnie zaraz przystanek minie. – Rozdrażniony mężczyzna na różne sposoby próbował ominąć transporter, który z kolei Henryka usiłowała gdzieś przesunąć, chociaż nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie w panującej ciasnocie mogłoby to być.

Żaden z pasażerów nie zdawał sobie sprawy, że w tym właśnie momencie po raz pierwszy od chwili, gdy otworzył o poranku oczy, motorniczemu zniknął przyklejony do twarzy uśmiech, a zastąpił go strach przeplatany z przerażeniem. Rozpędzona ciężarówka mknęła z dużą prędkością wprost na nich z prawej strony. Kierujący tramwajem zrozumiał, że wbrew swojej wcześniejszej ocenie nie ma szans przejechać przez skrzyżowanie na świetle, które kierowcy samochodów określiliby mianem resztek pomarańczowego, przynajmniej nie bez szwanku dla prowadzonego składu. Z nadzieją, że to nie będzie jego ostatni ruch w życiu i mocno zaciskając powieki, zaczął hamować. Pasażerami zarzuciło. Buntowniczy jegomość, który mianował Henrykę „świętą krową”, widząc teraz, jak ta zbliża się w zatrważająco szybkim tempie w kierunku podłogi, chwycił ją za płaszcz, ratując tym sposobem przed upadkiem. Gdy tramwaj znieruchomiał, wagon wypełniły przeplatające się krzyki.

– Sadysta, nie motorniczy! – Starowinka siedząca na przedzie uniosła do góry dłoń zaciśniętą w pięść.

– Wieziesz ludzi, a nie wory kartofli! – Rozjuszony pan w berecie z antenką dyskretnie masował obolały bark.

– Kto mu dał prawo jazdy? – dołączyła do ogółu niebieskowłosa dwudziestolatka.



– Na pewno kupił pod stadionem albo znalazł w chipsach. – Przystojny rudzielec puścił oko do niebieskowłosej, która uraczyła go w rewanżu swoim czarującym uśmiechem.

– Wariat! Trzeba złożyć skargę, niech ja tylko spiszę numer jego legitymacji. – Matka dwójki dzieci buńczucznie pogroziła palcem w kierunku szoferki. – Mało co synuś nie wypadł mi z wózka! – Poprawiła zsunięty z nóg malca koc i przemówiła uspokajająco: – Nic się nie bój, kruszynko, mamunia zajmie się panem. – Pogłaskała też po policzku stojącą obok niej pięciolatkę.

– Wyprze się wszystkiego – prorokowała szczupła dama w klapkach.

– Niech tylko spróbuje! Weźmie się na dowód nagranie, teraz monitoring jest na każdym rogu, a i co drugi kierowca ma kamerę w samochodzie. Sprawiedliwości stanie się zadość – odgrażała się pasażerka, której zdrowiu potomstwa zagroził motorniczy.

Wybawca Henryki nie tracił czasu na pogrożki, lecz postanowił wykorzystać obowiązkowy postój, żeby dostać się do wyjścia. Przystanek był tuż za skrzyżowaniem. Orłowska, jak tylko potrafiła, starała się ułatwić mu to skądinąd niełatwe zadanie.

– O nie! – stęknęła mimowolnie, gdy ostatecznie udało mu się ją ominąć.

– Niechący kopnąłem panią? – zatroskał się.

– Nie, nic się nie stało – uspokoiła go. – Po prostu coś mi przyszło do głowy.

Przez resztę drogi powrotnej do domu Orłowska

wyrzucała sobie w myślach, że wcześniej tego nie dostrzegła. Wpadła do mieszkania jak burza, od razu pobiegła do głównego pokoju. Postawiła transporter z Biskoptem na podłodze obok stołu i włączyła komputer. Jak na złość ten postanowił pokazać, kto tu rządzi, i wyjątkowo długo się nagrzewał, wystawiając na próbę cierpliwość właścicielki.

– Pospiesz się! – ponaglała wiekowy sprzęt. Pewnie szybciej byłoby skorzystać z leżącego obok smartfona, zamiast czekać, aż załaduje się system operacyjny i zacznie działać przeglądarka, ale niestety zeszyt, w którym przedsiębiorcza emerytka zapisała na swoje potrzeby instrukcję, jak korzystać z nowoczesnego telefonu, gdzieś przepadł.

Komputer ostatecznie zdecydował się współpracować. Henryka, siedząc jak na szpilkach, wpatrzona w klawiaturę, ponaciskała właściwe klawisze, a na koniec przydusiła enter. Klepsydra na ekranie przekręciła się kilkakrotnie, zanim pojawiła się odpowiedź.

– Tego się obawiałam – westchnęła z żalem Orłowska, odsuwając się na obrotowym krześle od komputera. Odchyłoną do tyłu głowę położyła na oparciu, zamknęła oczy i intensywnie o czymś myślała. Kiedy jej powieki znowu się uniosły, plan działania był gotowy.

Wyszukała numer w internecie, a z kieszeni wyjęła nokię i po chwili usłyszała:

- Sąd Rejonowy, sekretariat, z kim łączyć?
- Poproszę z Wydziałem Ksiąg Wieczystych i Dokumentacji okręgu Łódź – dzielnice centralne,

Podwydział imienia Marszałka Piłsudskiego, to było kiedyś trzynaste piętro, pokój sto osiemnaście. – Mocno zaciskała kciuki, żywiąc nadzieję, że jej dobra znajoma nadal pracuje w tym samym miejscu co przed laty.

– Po remoncie przenieśli ich na piętnaste. Łączę. – W słuchawce rozbrzmiała sonata Mozarta.

Wrażliwa na piękno muzyki, Henryka z lubością przysłuchiwała się wygrywanym taktom.

– W jakiej sprawie? – Brutalnie przerwała Mozartowi przeżuwająca posiłek urzędniczka.

– Henryka Orłowska, chciałam rozmawiać z koleżanką... – Salwa radosnego śmiechu po drugiej stronie słuchawki podważyła sens dalszego objaśniania.

– Henia? – Pracownica urzędu głośno przełknęła kęs kanapki. – Kochana moja, wieki cię nie widziałam! Doszły mnie słuchy, że jesteś na emeryturze, nie nudzisz się?

– A w życiu! To była świetna decyzja, żeby przejść w stan spoczynku. Teraz to dopiero jestem zajęta – zaśmiała się serdecznie emerytka, rozpoznając po głosie koleżankę, o którą jej chodziło. – A ty, moja droga, kiedy zdecydujesz się skorzystać z zasłużonego odpoczynku?

– Nigdy! Mnie tu dobrze. Jak będzie trzeba, to i z balkonikiem przyjdę. A niech tylko spróbują mnie wyrzucić, to zabarykaduję się w pokoju od środka. Zanim dadzą radę wyważyć drzwi, zadzwonię do „Alarmu” albo „Newsów dla gazety”, żeby przyjechali do mnie z kamerą. Wykończyłabym się, gdybym tylko miała od rana do wieczora patrzeć w szklane pudło i wydeptywać ścieżkę od przychodni do domu i z powrotem.

Orłowska nie miała teraz czasu objaśniać koleżance, jak wygląda życie na emeryturze, które w przypadku jej oraz zaprzyjaźnionych seniorów dalekie było od przygnębiającej wizji przedstawionej przez urzędniczkę.

– Nie gniewaj się, kochana, ale dzwonię po prośbie. Jeśli nie masz nic przeciwko, przejdę do rzeczy.

– A proszę bardzo, nie widzę problemu. Jeśli w ramach zapłaty zaprosisz mnie na kawę, chętnie pomogę.

– Jesteśmy umówione! Czy mogłabyś sprawdzić, do kogo prawnie należy jeden lokal? To jest w centrum.

– Żaden problem. Podaj mi adres.

Orłowska dokładnie go podyktowała. W komputerze po drugiej stronie kabła zaszumiało, zaterkotało, a w słuchawce padła wyczerpująca odpowiedź.

– Jesteś pewna, że tylko do pani Krystyny, a nie na przykład do Krystyny i Stanisława? – upewniała się Henryka.

– W stu procentach. Ona jest jego jedyną właścicielką od siedemdziesiątego szóstego roku. Dokumenty się nie mylą.

Myśli Heni błędziły wokół innego tematu, ale dobre wychowanie i wdzięczność wobec koleżanki sprawiły, że zanim panie się pożegnały, powspominały dawne czasy. Po upływie piętnastu minut rozmowa dobiegła końca. Orłowska właśnie miała schować telefon, gdy nokia zabręczała, niosąc w SMS-ie radosną nowinę: samochód był naprawiony i gotowy do odbioru.

Choć Henryce było ciężko na sercu, założyła torebkę na ramię i podeszła do drzwi wejściowych. Planowała

w pierwszej kolejności odebrać opła, a dopiero później, już samochodem, pojechać w jedno ważne miejsce. Z przedpokoju zawrócił ją jednak przeraźliwy pisk zamkniętego od wielu godzin w transporterze Biskopta, który domagał się natychmiastowego uwolnienia. Orłowska złapała się za głowę i rzuciła na łeb, na szyję do pupila. Wyjęła go z środka, po czym mocno przytuliła. Poza słowami przeprosin nie ustawała w składaniu obietnic: a to ekstra zapełnionej miski, a to znowu wielkiego ogórka oraz mięsistego pomidora, które planowała kupić dla niego w drodze powrotnej. Gdy zwierzątko wreszcie trafiło do klatki, Henia w stu procentach i z czystym sumieniem mogła poświęcić się śledztwu.

Niestety, odebranie opła nie przebiegło tak sprawnie, jak sądziła. Znajomy, który wymienił w samochodzie silnik, ani myślał łatwo jej wypuścić, szczególnie że w ogrodzie za warszatem odbywało się właśnie przyjęcie z okazji imienin jego żony. Po sutym posiłku z obowiązkowymi śpiewami i tortem oraz dniu pełnym emocji, nie wspominając o dźwiganiu Biskopta z pełnym oprzyrządowaniem, Henryka czuła się do cna wyczerpana. Chociaż odwlekanie nieuniknionego nie było w jej stylu, postanowiła, że jedna noc niczego nie zmieni. Zaraz po powrocie do domu wykonała jeszcze tylko jeden telefon.

– Z tej strony ponownie Orłowska – przywitała się.

– O, dobry wieczór. – Urszulę zastanowiło, o co tym razem może chodzić starszej pani.

– Wierzę, że będziesz mogła mi pomóc – powiedziała posępnym głosem Henryka.

Była przewodniczka, a obecnie restauratorka, nie zawiodła jej oczekiwań. Wyciągniętą od Ulki informację Henryka zapisała na odwrocie biletu do teatru, który tydzień temu po powrocie z przedstawienia rzuciła na biurko. Za pamięci włożyła go do kieszeni płaszcza i z zatroskaną miną oddała się układaniu pasjansa przy dźwiękach „Two Steps From Hell”, swego muzycznego odkrycia tego tygodnia.

\* \* \*

Bładym świtem wyszła z mieszkania, dźwigając pokaźnych rozmiarów siatkę z prowiantem. Czekąca ją długa podróż. Nowy silnik pełnoletniego (od stycznia tego roku) opla pracował jak marzenie. Henryka jechała na zachód, mocno dociskając pedał gazu.

Kiedy późno w nocy z powrotem zaparkowała na podwórku przed swoją kamienicą, prawie wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wraz z nastaniem nowego dnia Orłowska, głośno wzdychając, wybrała numer.

– Panie kapitanie, proszę mi wybaczyć, że tak wcześnie dzwonię, ale to ważne – wydusiła niechętnie do słuchawki.

## ROZDZIAŁ 18

Wieżowiec pomalowany na sześć z siedmiu kolorów tęczy, pod którym Henryka bez problemu znalazła wolne miejsce parkingowe, zapraszał do środka otwartymi drzwiami. Domofon od miesiący pełnił tylko dwie funkcje: ozdoby, a w nocy służył za źródło punkowego zielonego światła. Winda czekała na parterze na mieszkańców oraz ich gości. Henia wjechała na właściwe piętro. Stała pod przeciwwłamaniowymi drzwiami i porównała przytwierdzony do nich dwiema śrubkami numer z tym, który zapisała sobie na odwrocie biletu, a następnie schowała skrawek papieru do kieszeni. Upewniona, że dobrze trafiła, przycisnęła dzwonek, a z wnętrza doszła jej uszu przytłumiona, przyjemna dla ucha melodyjka, której towarzyszył narastający dźwięk niespiesznie zbliżających się kroków. Ktoś przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę.

– O, to pani. – Witold zmarszczył brwi. – Skąd pani znała mój adres? – Nie krył zdziwienia.

– Mam swoje sposoby. – Orłowska niezamierzenie dotknęła dłonią kieszeni płaszcza, w której spoczywał niepotrzebny już bilet do teatru. – Ale to nie jest teraz najistotniejsze. Mogę wejść? – zapytała z poważną miną.

Wiktuał milczał.

– Lepiej, żebyśmy porozmawiali w spokoju.

Ogólnodostępny korytarz nie wydaje mi się do tego właściwym miejscem. – Wymownie zerknęła na wychodzącą z mieszkania obok zgiętą w pół babulinę. Staruszka w drżącej dłoni ścisnęła smycz, na której końcu podskakiwał ujadający kundelek.

– Dzień dobry. – Gospodarz wystający zza przeciwwłamaniowych drzwi skłonił się w pas sąsiadce.

– A dobry, dobry – odpowiedziała promieniejąca radością kobiecina.

– Pani Dynrozowska, wzięłaby pani mojego Pompona, kiedy będzie szła wieczorem na spacer z Azorem? – Mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby zapomniał o obecności stojącego na progu tuż przed nim niezapowiedzianego gościa.

– Załatwione. Wychodząc do pracy, pan zostawi klucz tam, gdzie zawsze.

– Dobrze, dziękuję.

– A ty, łobuzie jeden, bądźże cicho! Nie musisz za każdym razem obwieszczać całemu blokowi, że idziesz na spacer – obsztorcowała psiaka Dynrozowska i ten posłusznie przestał hałasować. – Dobry piesek. – Wytarosiła go za uchem w nagrodę za posłuszeństwo.

Szczęśliwy kundelek zamerdał ogonem tak intensywnie, że zarzuciło go na prawo, a następnie na lewo. Kiedy starowinka z psem zniknęli w windzie, Wiktuał przemówił do milczącej Orłowskiej, nieudolnie starając się ukryć poirytowanie:

– Pani wejdzie. – I wpuścił Henrykę do środka.

Już bez płaszcza starsza pani przeszła za Witoldem



do salonu.

– Coś do picia? – zapytał, sadzając ją na jednym z dwóch drogich, skórzanych foteli ustawionych koło okna. – Będę sobie robił zieloną herbatę. – Tym sposobem chciał ją ośmielić.

– Jeśli nie sprawię zbyt dużego kłopotu, poproszę kawę.

– Dobrze. – Zniknął w przedpokoju, zostawiając gościa samego.

Orłowska rozejrzała się dookoła. Pokój był przestronny i jasny, urządony w męskim stylu – stały w nim tylko niezbędne meble wykonane z surowego drewna, bez niepotrzebnych bibelotów zbierających kurz. Na środku drewnianej podłogi leżał niewielki włochaty dywan. Na ścianach wisiały w antyramach plakaty z motywami kulinarnymi: plastry pokrojonego ananasa ułożone w stos na białym talerzu i parujące spaghetti, bogato posypane tartym parmezanem. Starsza pani podeszła do regału pełnego książek. Przeczytała kilka tytułów, wybrała jeden z nich i przejrzała go pobieżnie. Zanim Wiktuał wrócił z kuchni, niosąc przed sobą pełną tacę, zdążyła przekartkować jeszcze trzy inne książki.

– Kawa – obwieścił Witold, stając w drzwiach.

Przyłapaną na myszkowaniu Henryka z pochyloną głową szybko wróciła na swoje miejsce. Przez ułamek sekundy wahała się, co zrobić z zabraną z regału książką, i ostatecznie położyła ją sobie na kolanach.

– Kruche z dodatkiem szałwii – poinformował Wiktuał, podsuwając bliżej gościa talerzyk z ciastkami. – Niepotrzebnie się pani fatygowała, byłem na policji

i wszystko im powiedziałem.

– Chyba jednak nie wszystko. – Popatrzyła na niego ze smutkiem. – Nie będę owijała w bawełnę. To pan go otruł.

Dryblas z hukiem odstawił kubek i wstał.

– Bzdury! – rzucił gniewnie.

– Mój drogi, zanim dalej będzie pan brnął w kłamstwo, najpierw proszę mnie wysłuchać. W zasadzie co panu szkodzi? Jeśli nie mam racji, najwyżej przy zielonej herbacie setnie się pan ubawi absurdalną opowieścią stukniętej starej baby. A i zawsze na konto wskoczy dobry uczynek, bo to chwalebne dać się wygadać samotnej staruszce, która nie ma do kogo otworzyć ust.

Zmierzył ją wzrokiem, wzruszył ramionami, a następnie ku wielkiej uldze Henryki usiadł, zakładając nogę na nogę.

– Proszę mówić. – Ujął za ucho kubek, nonszalancko machnął dłońmi, a jego usta ułożyły się w krzywy, ironiczny uśmiech. – Zapewniam panią, nie było trucizny w jedzeniu, którym was częstowałem w autokarze.

– Zgadzam się. – Potakująco kiwnęła głową. – Tylko że ja nie mam na myśli jedzenia, którym nas pan częstował. Ale zacznę od początku. Najpierw skorzystam z własnych obserwacji i przemyśleń, oboje jednak wiemy, że w sądzie moje zeznania nie byłyby wystarczające. – Na chwilę zamilkła, wertując książkę, którą znalazła na jego regale. – Cała półka pozycji dotyczących ziółarstwa też do niczego. I bez znaczenia jest, że przynajmniej w jednej z nich na sto trzeciej stronie wydrukowano przepis na lekarstwo z owoców pokrzyku wilczej jagody, podane w dużej ilości

działające jak silna trucizna, którą wykryto w termosie, kubku i panu Stanisławie. – Położyła otwartą na właściwej stronie książkę na stoliku przed gospodarzem. – Łatwa do obalenia poszlaka.

– Przecież to jest ogólnodostępny poradnik. – Wiktuał przewrócił oczami. – Można go kupić w większości księgarni.

– Właśnie – przytaknęła.

– Zbieg okoliczności. – Popatrzył na nią łagodnie.

– Mówi pan: zbieg okoliczności? – Ciężko westchnęła, widząc, że będzie trudniej, niż się spodziewała. – Atropina uzyskiwana z owoców pokrzyku wilczej jagody w niewielkiej ilości pomaga przy wrzodach żołądka. Tak się zapewne przypadkowo złożyło, że akurat cierpi pan na tę przypadłość, prawda?

Kucharz zmarszczył czoło.

– Skąd pani wie?

– Mój drogi, sam pan powiedział w autokarze, że pękłby panu wrzód żołądka od smażonej kaszanki, na którą w gospodzie zdecydował się pan Stanisław. Przypomniałam sobie o tym przedwczoraj.

– Może i tak powiedziałem. – Nadgryzł ciastko. – Nie jest żadną tajemnicą, że mam wrzody żołądka, zresztą podobnie jak wielu innych ludzi. Pewnie tylko w moim bloku znalazłoby się z dziesięciu biedaków z identyczną diagnozą.

– Faktycznie. – Ponownie przyznała mu rację Henia. – Ale przejdźmy do meritum. Domyślam się, że było tak: ze względu na dolegliwości żołądkowe na wszelki

wypadek zabrał pan ze sobą na wycieczkę większą porcję swojego lekarstwa, czyli wyciągu z owoców pokrzyku wilczej jagody.

– Można go kupić w aptece? – zainteresował się. – Albo sklepie zielarskim?

– A nie wiem. – Zupełnie nie przyszło jej do głowy, żeby to sprawdzić. – Nie zastanawiałam się nad tym. – Na moment zbił ją z tropu. – Zresztą, to nieistotne, bo myślę, że sam pan go zrobił – powiedziała, uważnie dobierając słowa.

– A skąd bym miał, że tak powiem, półprodukt do sporządzenia tego wyciągu? Bo rozumiem, że z instrukcją nie byłoby kłopotu. – Wymownie spojrzął na poradnik leżący na stoliku.

– Był pan pod koniec wakacji w ubiegłym roku na konkursie w Częstochowie, widziałam zdjęcie na stronie restauracji. Pokrzyk wilcza jagoda w tym okresie owocuje, a południowa Polska jest głównym obszarem jego występowania. – Orłowska była przygotowana, że padnie takie pytanie. – Nie mam pełnej jasności, czy poszedł pan na spacer do lasu i przy okazji znalazł pokrzyk wilczą jagodę, czy może wybrał się specjalnie na jej poszukiwanie w nadziei, że sporządzone domowym sposobem lekarstwo okaże się skuteczne na problemy zdrowotne.

– Widzę, że nieźle sobie pani to wszystko przemyślała. – Witold nie krył rozbawienia.

Henryka nasypała cukru do kawy, delikatnie wymieszała napój łyżeczką i przyłożyła kubek do ust.

– Napić się kawy zaparzonej przez, jak pani

wywnioskowała, mordercę truciciela, to muszę przyznać odważny krok, chociaż czy nie lepiej tu pasuje określenie... nierozważny? – zaśmiał się.

Orłowska zbladła. Po raz drugi udało mu się ją zaskoczyć. Jego pewność siebie wybijała ją z rytmu. Delikatnie wciągnęła do nozdrzy aromat kawy, po czym dłużej się nie zastanawiając, wzięła haust napoju.

– Nie zgodzę się z panem – rzekła.

– Bo? – Był żywo zainteresowany odpowiedzią.

– Bo wierzę, że chociaż pan zabił, jest pan dobrym człowiekiem.

– Ledwie mnie pani poznała, a wysnuwa takie wnioski?

– Mój drogi, nie trzeba z kimś spędzić całego życia, żeby zobaczyć, jakim jest człowiekiem. Ale wracając do tematu. Więc tak: wślizgnął się pan do autokaru, kiedy poszliśmy do muzeum. Drzwi były otwarte. Raz-dwa i trucizna została wlana do termosu. Było zimno, podobnie jak większość z nas miał pan rękawiczki, więc problem odcisków palców odpadał. Wystarczyło odłożyć termos na miejsce i uciec.

– Zaraz, ale dlaczego miałbym to robić? Dlatego że pan Stanisław chciał ode mnie więcej pieniędzy na rozruch? – Posłał jej ironiczny uśmiech.

– Nie, nie dlatego. – Pokręciła głową. – To nieprawda, że pan Stanisław chciał większego wkładu własnego. W ogóle nie chciał od pana pieniędzy, on się po prostu rozmyślił. Dzień przed wycieczką dogadał się z sąsiadką, która mieszka obok lokalu, że sprzeda go jej. Po co prowadzić restaurację, skoro można od razu dostać

dużą gotówkę? Wydawnictwo raczej nie przynosiło mu porażającego zysku, oszczędności powoli się kurczyły, ale pan Stanisław był biznesmenem, potrafił wykorzystać nadarzącą się okazję. Może chciał na nowo zacząć życie z kochanką, a może wcale nie zamierzał odchodzić od żony, tylko po prostu lubił mieć niezłą sumkę na koncie? Tego się już nie dowiemy. Jestem jednak pewna, że właśnie o tej zmianie planów rozmawialiście na stacji benzynowej. Pani Krystyna nie miała pojęcia, że za jej plecami mąż planuje sprzedać lokal. Na marginesie dodam, że i tak by mu się to nie udało, bo mieszkanie należało do żony od czasów, gdy jeszcze była panienką. Sprawdziłam w Wydziale Ksiąg Wieczystych i Dokumentacji. Bez jej zgody nic nie mógłby zrobić. – Henryka z żalem spostrzegła, że Witoldowi nawet nie drgnęła powieka. Nie zrażając się jednak, mówiła dalej: – Musiał pan być wściekły, wróciło też wspomnienie poprzedniego rozczarowania, gdy nic nie wyszło z waszych planów otwarcia restauracji, i stąd taki desperacki krok. Ale w tym miejscu, że się tak wyrażę, doszło do zwrotu akcji. – Wzięła głęboki wdech. – Mój drogi, kiedy pierwsze emocje opadły, a do głowy dotarła myśl o konsekwencjach swojego czynu, chciał pan zabrać termos, żeby pan Stanisław się nie napił zatrutego naparu. Niestety, kierowca zdążył wrócić z toalety i zamknął drzwi. Bał się pan poprosić go o wpuszczenie do środka, bo co, jeśli zacząłby zadawać niewygodne pytania albo wszedł z panem i patrzył na ręce? Wahanie, co robić dalej, trwało zbyt długo i w końcu wszyscy zjawiliśmy się przy

autokarze. Wskoczył pan do środka jako pierwszy, planując zabrać termos i go schować, ale jak na złość szłam zaraz z tyłu. W panice chwycił go pan i byle jak rzucił na półkę nad głową przyszłego denata. Teraz, skoro wszystko przepadło, pozostało już tylko jak najszybciej usiąść i nie zwracać na siebie uwagi.

– Bardzo ciekawa opowieść, taka rodem z kryminału. Daleko do końca? – niecierpliwił się Wiktuał.

– Nie, już nie. – Spojrzała mu głęboko w oczy. – Spodobała się panu przewodniczka, a i ona odwzajemniła uczucie. Miłość od pierwszego wejrzenia. Dopiero co się poznaliście, a jakbyście się znali od wieków.

– Z całej tej wysranej z palca historii to akurat jest prawda – oświadczył, a na jego twarzy zagościł uśmiech. – Zaczęliśmy do siebie pisać wiadomości zaraz po tym, jak tylko wyjechałem z tamtej nory.

– Pierwsze randki, spotkania. Zdradził pan ukochanej, że planował z panem Stanisławem otworzyć restaurację. Urszula to obrotna dziewczyna. Dodała dwa do dwóch, wzięła z biura podróży kontakt do wdowy i umówiła się z nią. Przypadkowo uwieczniono ich spotkanie, a przynajmniej jedno ze spotkań, na zdjęciu zrobionym w kawiarni. Widziałam je na własne oczy. Pani Krystyna była zaskoczona, że jej dawne mieszkanie jest wyszykowane na restaurację, a jeszcze bardziej zdziwił ją fakt, że mąż chciał je sprzedać za jej plecami. Przemyślała sobie sprawę i postanowiła wynająć wam lokal. We dwie z Ulą błyskawicznie uwinęły się z ustaleniem warunków najmu. Pana przyszła współpracowniczka znała właściwych ludzi,

wiedziała za które sznurki pociągnąć, jak obejść niektóre przepisy, żeby otworzyć restaurację w okamgnieniu i dopiero, gdy praktycznie wszystko było gotowe, ukochana przybiegła z niespodzianką do lubego. Brakowało tylko kilku pana podpisów i za chwilę można było otwierać podwoje, nieprawdaż? – Henryka skorzystała z informacji podstępem wyciągniętych od przewodniczki podczas ostatniej rozmowy telefonicznej.

– Tak, Ula mnie zaskoczyła, ale to było bardzo miłe zaskoczenie.

– Jednak pan się wahał.

– A pani nie miałaby wątpliwości? – Witold rozsiadł się wygodniej. – Tak, wahałem się. Własna restauracja to wielkie przedsięwzięcie.

– Szczególnie jeśli człowiek bez przerwy odwraca się za siebie w obawie, że prawda wyszła na jaw i przyjdą po niego z kajdankami.

– A pani znowu swoje. – Przewrócił oczami. – Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Mój drogi, prawie kończę, obiecuję. Musiał się pan poczuć jak w potrzasku. Z jednej strony wspaniała propozycja sympatii i nadzieja na wspólny biznes, a pewnie i dużo więcej, a z drugiej – obawa, co się stanie, jeśli odkryją, kto jest mordercą. Ula zostałaby z restauracją sama, za jednym razem straciłaby współnika, kucharza i partnera, a docelowo kto wie, czy również nie zainwestowane oszczędności. Ale jak to tak rozczarować ukochaną i jak wyjaśnić jej ewentualną odmowę? Jedno spotkanie w domu u wdowy i dokumenty były podpisane.



Akurat byłam wtedy na Truńczyka, więc widziałam, jak pan od niej wychodził. Urszula nie wie, kto naprawdę ponosi winę za śmierć pana Stanisława.

Witold po raz pierwszy, odkąd Henryka do niego przysłała, na poważnie się zdenerwował.

– Dopóki mówiliśmy tylko o mnie, bawiła mnie ta pani idiotyczna, nieprawdziwa historyjka, ale Ulę proszę zostawić w spokoju. Nie śmieszy mnie to.

– Z mojej strony byłoby na tyle. – Dopięła do końca kawę i uniosła się z fotela. – Napisałam numer do siebie, w razie potrzeby proszę bez skrępowania dzwonić. – Położyła na stoliku karteluszek.

Zaskoczony nagłym zakończeniem Wiktuał również wstał.

– Czemu niby miało to służyć? Czysto hipotetycznie, gdyby przyszła pani ze swoimi przemyśleniami do prawdziwego mordercy, zakładając, że jakimś cudem nie pozbyłby się niewygodnego świadka, czego pani oczekiwała? Że winowajca się przyzna? Od razu pobiegnie z płaczem na komisariat? Podziałałaby na niego magiczna moc przemowy obcej kobiety? – drwił.

– Nie, nie magiczna moc przemowy obcej kobiety, ale sumienie. – Henia odwróciła się do niego plecami i z mocno bijącym sercem podeszła do drzwi wejściowych.

– Sumienie? Naprawdę? Sumienie? Morderca sam zgłosiłby się na długie lata odsiadki do więzienia przez sumienie? – Zarechotał.

Orłowska nacisnęła klamkę, drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Powoli odwróciła się twarzą do mężczyzny.

– Tak. Przez sumienie. Panie Witoldzie, pan nie jest typem psychopaty. Pewnie już teraz nie sypia pan najlepiej w nocy. Zresztą, nie da się zbudować nowego, zostawiając rozgrzebane stare, szczególnie takie stare. A Ula zasłużyła sobie, żeby poznać prawdę. – Henryka wyszła na korytarz. – To samo opowiem jutro w południe na policji. Dam im również niezbity dowód pańskiej winy. Mój drogi, żeby panu czasem nie przyszedł do głowy jakiś niemądry pomysł, na wypadek mojej niespodziewanej śmierci dałam przyjacielowi w zaklejonej kopercie kopię dowodu oraz opisane wszystko to, co dzisiaj powiedziałam tutaj, on już będzie wiedział, co z tym zrobić – zakończyła i nie odwracając się za siebie, dotarła do windy.

– Po co te środki bezpieczeństwa, skoro widzi we mnie pani takiego dobrego człowieka? – Uśmiechnął się ironicznie. – I jutro? A czemu nie od razu dzisiaj? – dowcipkował, stojąc w drzwiach swojego mieszkania.

– Żeby dać panu czas – mówiła spokojnym głosem Orłowska, choć to, co czuła w środku, dalekie było od spokoju. – Wierzę, że postąpi pan właściwie.

– A jakież pani ma dowód, oczywiście poza barwną opowieścią? – zapytał od niechcienia, nie ruszając się ani na krok z miejsca.

– Wizualny – zdradziła, zanim zatrzęsnęły się za nią drzwi windy.

\* \* \*

Od samego rana Henryka była podenerwowana, dobre kilka minut rozważała, czy nie zaparzyć sobie melisy, ale

w końcu zamiast niej zrobiła lekką kawę na poprawę humoru. Ta z pozoru zwyczajna, świeżo mielona i gorąca ciecz z dodatkiem cynamonu – naturalnego antydepresantu, jak zawsze działała cuda dla samopoczucia Orłowskiej.

Wskazówki zegara z kukułką przesuwają się w ślimaczym tempie, w końcu jednak za piętnaście minut miało wybić południe. Henia spojrzała na zegarek, gotowa do wyjścia. W płaszczu, z torebką na kolanach, zasiadła na kanapie i postanowiła odczekać jeszcze kwadrans. Nagle z komórki na cały pokój huknęła melodyjka. Z przestachu starsza pani mało nie wypuściła na podłogę telefonu. Mrużąc oczy, odczytała z wyświetlacza: Numer prywatny.

– Słucham. – Szybko odebrała.

– Pani Henryko, tu Witold – powiedział niepewnym głosem.

– Dzień dobry.

– Wyznałem Uli prawdę, zaraz idę na policję. – Był przygnębiony.

– Jak to przyjęła?

Zapadła cisza.

– Nie najlepiej – wyjąwił po dłuższym milczeniu. – Przynajmniej przez noc udało mi się znaleźć dla niej kucharza, więc nie zostanie na lodzie sama z restauracją. Chociaż tyle mogłem dla niej zrobić.

– Da sobie radę, jest mądrą i dzielną dziewczyną – usiłowała go pocieszyć Orłowska.

– Nie chce mnie nigdy więcej widzieć.

– Potrzeba czasu, jest w szoku, musi ochłonąć.

– Może – powiedział bez przekonania. – Potrzebuję pani pomocy.

– Mojej? – Henia mocno zacisnęła palce na pasku od torebki. Spodziewała się takiego obrotu sprawy.

– Czy mogłaby pani do mnie przyjechać? – poprosił.

– Mój drogi, ja bym... – Zawiesiła głos.

– Boi się pani – odgadł. – A gdybyśmy się umówili przed komisariatem albo nawet w środku? To naprawdę ważne – nalegał.

– Ale o co chodzi? Konkretnie – zdobyła się na stanowczość.

– O Pompona, mojego psa. Nie mam go komu zostawić. Inaczej będę go musiał oddać do schroniska.

Głośno przełknęła ślinę. Ostatnie, czego było jej potrzeba, to pies. Zerknęła na Cziza, spod którego wyglądał niewielki kawałek klawiatury.

– Dobrze – powiedziała z westchnieniem.

Kwadrans później wrzuciła do torebki paralizator i zeszła na dół do samochodu. Pięć minut przed umówionym czasem zaparkowała przed komisariatem. Tłum ludzi pędził po chodniku w tylko sobie znanym celu to w jedną, to w drugą stronę. W oczekiwaniu na Witolda Henryce nagle zrobiło się gorąco, uświadomiła sobie bowiem, że nie ma pojęcia, jakiej rasy psem jest Pompon. A co, jeśli to wielki owczarek podhalański albo groźny pitbull? – wystraszyła się. Punktualnie o ustalonej godzinie zza rogu wyszedł zgarbiony dryblas. U jego nogi na kolorowej smyczy truchtał maleńki kundelek. Orłowska odetchnęła z ulgą i wysiadła z wozu. Wiktuał włókł się noga za nogą.

– Postępuje pan jak należy – powiedziała Henryka, kładąc mu rękę na przedramieniu.

Popatrzył na nią pustym, zmęczonym wzrokiem. Wyglądał tak, jakby przez noc przybyło mu dziesięć lat. Spuścił oczy. Henia cofnęła dłoń.

– Nie pozostawiła mi pani wielkiego wyboru – mruknął rozdrażniony. – Co innego miałbym zrobić? Ukrywać się? Uciekać przez całe życie? Proszę. – Niechętnie wręczył jej smycz. – A tu ma pani ulubioną piłkę Pompona. – Podał jej niebieski bezkształtny twór.

Chcąc go schować, Orłowska otworzyła torebkę, a w słońcu zaśnił spoczywający na wierzchu paralizator. Witold spojrział na niego. Chwilę później oczy kobiety i mordercy spotkały się.

– Tutaj aż roi się od policji, jeden nerwowy ruch i obskoczą pana z każdej strony. – Serce waliło jej jak młotem.

Witold włożył ręce do kieszeni.

– Proszę o niego dbać – rzekł bezbarwnym głosem, patrząc na Pompona. Zrobił krok w kierunku komisariatu, ale jeszcze się cofnął. – Miała pani rację, że go zabiłem, ale co do jednego się pani pomyliła.

Henryka przyjrzała mu się uważnie.

– Mianowicie?

– Nie zrobiłem tego wyłącznie przez restaurację i to całe jego kręcenie, ale przez... całokształt – cedził słowo po słowie. – Po kolejnym rozczarowaniu, wtedy na stacji benzynowej...

– Odżyła w panu dawna uraza – dopowiedziała.

– Tak, ale gwoździem do trumny – skrzywił się, zauważając analogię swoich słów do sytuacji – było jego zachowanie. Te złośliwości, uszczypliwość, czepianie się każdego, groźby wobec Uli. Coś we mnie pękło. – Patrzył nieobecny wzrokiem gdzieś w dal. – Jak pomyśle, że będę przez niego siedział... Po co pani się w to w ogóle wtrącała? – wysyczał przez zęby.

– Z moim udziałem czy bez niego w końcu i tak by pana złapali. I nie, nie, jak pan powiedział, przez niego. – Pokiwała głową. – Przez siebie. Pan Stanisław miał... hm... pewne wady, ale żaden człowiek nie ma prawa decydować o życiu ani śmierci drugiej osoby.

– Do widzenia. – Wiktuał odwrócił się tyłem do Orłowskiej i wszedł po schodach.

Pompon, widząc swego pana znikającego w drzwiach komisariatu, rozszczękał się na całego. Henryka wzięła go na ręce i delikatnie pogłaskała po łebku, szepcząc coś do jego ucha.

– Pani Heniu, już po wszystkim. – Zborowski wyłonił się nie wiadomo skąd z wielką białą kopertą pod pachą i stanął obok Orłowskiej. – Możesz odjeżdżać – powiedział do krótkofalówki. Skoda ustawiona tuż za oplem Henryki ruszyła.

– Tak, po wszystkim – odparła niczym zahipnotyzowana, z wzrokiem zawieszonym na drzwiach komisariatu.

– Sam nie wiem, jak dałem się na to namówić, ale podziwiam pani odwagę. – Kapitan podrapał Pompona po grzbiecie.

Henia jedną ręką wyjęła z torebki paralizator.

– Oddaję. Mówiłam, że nie będzie mi potrzebny.

Zborowski zatknął go za pasek.

– Ale mógł być – stwierdził. – Mordercy nie można ufać. I pani Henryko, żeby było jasne, proszę mnie nigdy więcej tak nie szantażować, że albo po pani myśli, albo wcale. Nawet moja słabość do pani ma swoje granice. – Pogroził jej placem. – Ta pani wiara w ludzi... Gdyby uciekł albo panią zabił, byłbym zawodowo skończony, a emerytura tuż za progiem.

– Ależ kapitanie, każdy człowiek zasługuje na szansę, żeby naprawić swój czyn, nawet jeśli jedyne, co może zrobić, to wyznaczyć prawdę. Zresztą, przy tak doskonale przeprowadzonej przez policję akcji nic nie mogło się stać. – Orłowska popatrzyła na niego niewinnie. – Nigdy wcześniej nie miałam dwudziestoczterogodzinnej obstawy, chodziłam jak gwiazda z *bodyguardami*. I ten podsłuch w kieszeni! – Zachichotała kokieteryjnie. – A i pan Witold od wczoraj był pod stałą obserwacją. Musiało się udać.

Kapitan tylko westchnął.

– Pani Heniu, skąd ma pani to nagranie? Przecież Lenio z Radim obeszli każdy budynek w promieniu kilkuset metrów w poszukiwaniu nagrań z monitoringu z okresu, gdy autokar był zaparkowany obok muzeum. Kamery były albo wyłączone, albo zepsute, albo wcale ich nie było.

– Powiedzmy, że to był anonim. – Henryka mrugnęła, wracając myślami do swojej przedwczorajszej wycieczki pod Muzeum Motka i Szydełka.

Początkowo i jej pukanie od drzwi do drzwi nie przynosiło rezultatów. Poszcęściło jej się dopiero

w sklepie spożywczym, pod którym w dzień śmierci Stanisława zaparkował ich autokar. Właściciel sklepu, po dwóch wspólnie wypitych na zapleczu kawach i w podziękowaniu za pudełko domowej roboty pierników, uraczył ją nagraniem z monitoringu. Starsza pani ani myślała wydać przemiłego przedsiębiorcy, który miał wątpliwość, czy zamontowanie ukrytej kamery nad drzwiami było legalne. Sprzedawca, niechętny do współpracy z przedstawicielami władz oraz w obawie, że będzie musiał zamykać biznes, żeby w charakterze świadka stawiać się na rozprawach w sądzie, wymusił na Orłowskiej przysięgę, że zachowa tajemnicę. Oczywiście dzięki nagraniu można było wywnioskować, gdzie znajdowała się kamera, ale ponieważ natychmiast po wyjściu Leniego i Radiego mężczyzna ją zjął, nie sposób mu było czegokolwiek udowodnić.

– Oj, pani Heniu, te pani anonimy.

Orłowska zarumieniła się.

– Panie kapitanie, w życiu bym nie pomyślała, że teraz wszędzie są kamery. Kiedy usłyszałam o tym ostatnio, jadąc tramwajem, byłam w szoku. Swoją drogą, to właśnie wtedy domyśliłam się, kto zabił – powiedziała, odwracając uwagę Zborowskiego od niewygodnego tematu anonimu.

– Właśnie, nie opowiedziała mi pani jeszcze wszystkiego dokładnie.

– Nie było okazji. – Uśmiechnęła się łagodnie. – W tym tramwaju, o którym wspomniałam, panował niemiłosierny tłok, dodatkowo miałam pod nogami wielki wiklinowy transporter. Jeden z pasażerów z trudem



przecisnął się obok mnie do drzwi i wtedy doznałam olśnienia! Przejście w autokarze było wąskie. Pierwszy po postoju pod muzeum wsiadł pan Witold, biegiem ruszył na swoje miejsce, które było jeden rząd przed panem Stanisławem. Weszłam chwilę po nim. Gdy on odkładał swoje okrycie na półkę, guzik przy płaszczu zaplątał mi się w szalik. Szamocząc się, zablokowałam przejście, podobnie jak to miało miejsce w tramwaju. Pan Witold pomagał mi się wyswobodzić. Doszedł do nas ten młody pisarz i cierpliwie czekał, aż się przesuniemy, ale pan Witold kazał mu przejść. Ścisnęliśmy się i Leon dał radę nas minąć, nie było jednak szansy, żeby w tym ułamku sekundy chwycił termos i wrzucił go na półkę. Tak się składa, że przypadkiem zauważyłam, jak tuż przed wyjściem do muzeum pan Stanisław pił rumianek. Potem odłożył termos tam, gdzie za każdym razem, czyli do kieszeni w fotelu przed sobą, i dopiero wyszedł. Po sytuacji w tramwaju przypomniałam sobie, że kiedy usiadłam wtedy w autokarze, termosu nie było. Tylko pan Witold miał dość czasu, żeby go schować, no chyba że ktoś to zrobił, kiedy byliśmy w muzeum. Dlatego potrzebowałam nagrania z monitoringu i oczywiście posłużyło ono jeszcze jako dowód. Na nagraniu wyraźnie widać, że pan Witold podczas postoju wbiega do autokaru, dolewa truciznę do termosu, i że zanim stanęłam obok niego, chwycił termos z kieszeni fotela i wrzucił go na półkę.

– Brawo, pani Heniu.

– Pewnie wpadłabym na rozwiązanie wcześniej, ale nie

mogłam zrozumieć, dlaczego termos był schowany, to nie miało sensu. Skoro ktoś chciał otroczyć pana Stanisława, po co ukrywał narzędzie przyszej zbrodni? Dopiero kiedy zrozumiałam, że morderca wystraszył się swojego czynu i chciał się z niego wycofać, złożyło mi się to w całość. Wielka szkoda, że przerażony pan Witold nie był w stanie myśleć logicznie, a przecież wtedy jeszcze spokojnie można było zapobiec tej tragedii.

– Pani Heniu, podziwiam pani znajomość ludzkiej psychiki. Nie wierzyłem, że on sam zgłosi się na policję. I ten jego telefon, że chce oddać pani psa... Byłem pewien, że to pretekst, żeby panią zabić. Pół komisariatu w stanie gotowości kręciło się tutaj w charakterze tajniaków, a nasz morderca, zamiast wymierzyć w panią lufę pistoletu, podał smycz z tym psiakiem.

– Ależ panie kapitanie, jestem przekonana, że rozważał zarówno ucieczkę, jak i popełnienie drugiego morderstwa. Tylko że pozbywanie się mnie w sytuacji, gdy i tak przekazałam komuś dowody, mijało się z celem.

– Mogła pani blefować.

– Dlaczego miałabym to robić? Nie, panie kapitanie, blef nie wchodził w grę i on doskonale o tym wiedział. Podobnie szantaż. A jeśli chodzi u ucieczkę, to musiałby się ukrywać do końca swoich dni. Nie, nie wydaje mi się, żeby pan Witold był skłonny tak żyć. On naprawdę umówił się dzisiaj ze mną, żeby oddać mi psa, nie chciał, żeby Pompon trafił do schroniska. Rodzina pana Witolda mieszka za granicą, znajomych nie miał, a Ula... z wiadomych względów nie zgodziłaby się go przyjąć, dlatego pomyślał

o mnie.

– Pani Heniu, tylko proszę, niech pani się już w nic więcej nie wplącze.

– Postaram się. Nie chciałby pan pieska?

Policjant odskoczył o krok do tyłu.

– O nie, dziękuję, moje koty w życiu by mi tego nie wybaczyły. Pędzę, z pewnością mnie potrzebują przy przesłuchaniu. Do zobaczenia w bardziej sympatycznych okolicznościach – pożegnał się Zborowski i ulotnił się.

## EPILOG

Był dopiero początek lata, ale upały zdążyły już dać się we znaki mieszkańcom centralnej Polski. Czerwcowe słońce paliło jak oszalałe. Skrzydła wiatraka z trudem rozgarniały ciężkie, gorące powietrze. Grube mury kamienicy miały tę zaletę, że pomimo trzydziestu stopni Celsjusza na zewnątrz w mieszkaniu od biedy dało się wytrzymać.

Henryka otworzyła drzwi wejściowe na całą szerokość.

– Witajcie! – Ucieszyła się na widok trzymających się za ręce Franki i Kacpra, którzy stali na progu. – Ależ jesteście punktualni – pochwaliła małżonków.

– Staramy się – odparła w imieniu obojga rozpromieniona dziewczyna.

Zrzucenie w przedpokoju klapków zajęło gościom ułamek sekundy.

– Zapraszam do środka. – Gospodyni wskazała na główny pokój, skąd nieśmiało wyjrzało jedno oko kundelka. – O, a to co? – Jej brwi zbiegły się.

– Szczur – odpowiedział odruchowo chłopak, podejrzliwie przyglądając się psu.

Orłowska zaśmiała się cicho, a Pompon powoli wystawił cały łebek.

– Nie ruszajcie się – szepnęła Henryka.

– Jest groźny? – zapytała niepewnym głosem Franciszka.

– Ależ skąd, po prostu bardzo nieśmiały. Dotychczas nie

wychodził ze swojej kryjówki bez wyraźnego powodu, a tu proszę!

Cała trójka w bezruchu czekała na dalszy przebieg wydarzeń. Pies nieufnie, prawie ciągnąc brzuchem po podłodze, podszedł do Franceski i obwąchał jej nogę.

– Jaki słodziutki piesek, maluszek kochany, nie bój się, psinko. – Dziewczyna schyliła się do niego, wzięła kundelka na ręce i szczebiocąc mu do ucha, przeszła do pokoju, gdzie zajęła wskazane jej miejsce na kanapie.

– Rozsiądźcie się wygodnie, a ja przyniosę napoje.

Kiedy Orłowska wróciła z kuchni z tacą pełną kubków, Franciszka nadal głaskała zachwyconego Pompona.

– Śliczny ten pani piesek, prawda, Kacper?

– Ehe – odpowiedział jej mąż z nosem utkwionym w jednej z książek wyjętych z biblioteczki Henryki.

– Zawsze o takim marzyłam.

– Szukam dla niego dobrego domu. – Orłowska zerknęła jednym okiem na jedenaście misek stojących na podłodze obok regału, pod którym przez większość czasu urzędował wybredny kulinarnie Pompon.

– O! – Oczy Franki zaświeciły się.

– Moje dziecko, a może wy byście go przygarnęli?

– Sama nie wiem... Jak myślisz, Kacper? – Nieśmiało spojrzała na męża.

– Tak, tak, rób, jak uważasz – odpowiedział, nie odrywając wzroku od powieści.

– A to bierzemy! – Franciszka niemal zapiszczała z radości. Bezgranicznie pochłonięta drapaniem po plecach nowego członka rodziny, dopiero po chwili zapytała: –

Słyszała pani, że mordercą był pan Witold? Ale jaja! Dobroni wypaplała wszystko ta cała kochanka pana Stanisława, a ona z kolei wiedziała od pani Kryśki. Sam się zgłosił na policję, podobno ktoś go do tego namówił. Tak na marginesie, pewnie pani nie wie, że pani Krystyna zamknęła wydawnictwo. Spiknęła się z kochanicą i z Ulką i we trzy teraz prowadzą restaurację. Jak to czasami dziwnie się układa w życiu.

– Dziecko kochane, ale ty masz siatkę wywiadowczą!

– Zaraz... – Francesca nachyliła się do gospodyni, aż niemal zdawała się prześwieślać wzrokiem Henrykę. – Pani jest tą osobą, która go przekonała!

– To znaczy... Ja... Tak jakby... – Orłowska poczerwieniała.

– Ładne rzeczy, słyszysz, Kacp... – Widok zatraconego w książce chłopaka zirytował Francescę. – Pompon, przynajmniej ty będziesz mnie słuchał. Mam po dziurki w nosie rozmawiania ze ścianą. – Ucałowała pieska w czubek głowy. – Pani mówi, jak to było – naciskała na Henrykę.

Orłowska nie miała najmniejszych szans wymigać się od zwierzeń, komu jak komu, ale Francesce się nie odmawiało. Dlatego choć z oporami, zdała relację ze swojego śledztwa. Nawet Kacper, zaintrygowany historią, zarzucił czytanie i z zapiętym tchem przysłuchiwał się opowieści. Kiedy Henryka skończyła mówić, małżonkowie zasypali ją gradem pytań, na które gospodyni odpowiadała równie obszernie, co cierpliwie. Dopiero po dobrych dwudziestu minutach ciekawość Kacpra i Franki została niemal zaspokojona.

– A jak pani wpadła na to, że lokal, w którym jest restauracja, należał do pani Krystyny, a nie do jej męża? – Intrygowało jeszcze Kacpra.

– Wydało mi się dziwne, żeby otwierać restaurację na pierwszym piętrze, a nie na parterze. I wtedy przypomniałam sobie, że kiedy byłam z wizytą w domu pani Krystyny, wspomniała mi o mieszkaniu z panieńskich lat, które znajdowało się w centrum miasta i właśnie na piętrze. Potem już wystarczyło tylko sprawdzić zapis w księdze wieczystej dotyczący właściciela.

Franka, która dobrą minutę wcześniej zamilkła, niespodziewanie wycelowała palec wskazujący w Henrykę.

– Moment. Ja tu czegoś nie rozumiem. Na końcu miała pani nagranie z monitoringu, na którym widać, jak pan Witold dolewa do termosu trucizny, i to jest OK, ale powiedziała pani, że zgadła, kto był mordercą, wracając tramwajem od weterynarza. Ja się pytam, jak to możliwe?

– Bo widzicie, pan Witold nie był z nami w Muzeum Motka i Szydełka – wyjawiała Orłowska.

– Skąd pani wie?

– Już wyjaśniam. Pan Witold popełnił błąd, potrzebowałam jednak czasu, żeby go dostrzec. W autokarze rozmawialiśmy o tym, co widzieliśmy w muzeum. Wtedy on wyrwał się do odpowiedzi, mówiąc, że najbardziej przypadła mu do gustu wystawa nici z futra alpaki. Byłam zdziwiona, bo sądziłam, że tymczasowo wyłączono ją dla zwiedzających, ale nie miałam powodu, żeby mu nie wierzyć. Dopiero gdy jechałam tramwajem

z Biszkoptem i wpadłam na rozwiązanie, przypomniałam sobie również i o tym. Dla pewności po powrocie do domu sprawdziłam w internecie. Tak jak sądziłam, ta wystawa jest zamknięta od stycznia aż do września, zatem wniosek nasuwał się sam: pan Witold kłamał, nie mógł jej widzieć, po prostu zapamiętał i powiedział jedną z nazw wystaw wymienionych przez Urszulę.

– Ale pani jest mądra! – Pełna uznania dla Heni Franciszka przełożyła Pompona ze swoich kolan na kanapę.  
– Gdzie jest toaleta?

– Po lewej stronie na końcu korytarza – poinstruowała ją gospodyni.

– Zaraz wracam.

Gdy zniknęła za drzwiami, Henryka dołała Kacprowi i sobie lemoniady. Kilka łyków później zapytała:

– Młodzińcze, jedno nie daje mi spokoju: dlaczego mnie okłamałeś? Wiem, że widziałeś się z panem Stanisławem w wydawnictwie jeszcze przed wycieczką do Paryża.

Chłopak zerknął zaniepokojonym wzrokiem w kierunku korytarza.

– Dobrze, przyznaję, przepraszam panią. Nie chciałem, żeby Francesca się niepokoiła tym idiotycznym oskarżeniem. Gdyby wiedziała, że pojechałem z nim rozmawiać o wycofaniu zarzutów, martwiłaby się, że to coś poważnego. Wolałem załatwić sprawę po cichu.

– I nastraszyć pana Stanisława – dopowiedziała Orłowska.

– Może trochę – przyznał z ociąganiem. – Zresztą, niech pani na mnie spojrzy: wielki, umięśniony, jak to mówią



niektórzy złośliwi: koks. Tacy jak ja, chociaż to niesprawiedliwe, są pierwsi na liście do oskarżenia przez policję. Miałem nadzieję, że uniknę niepotrzebnych kłopotów. No, ale i tak skądś się dowiedzieli, że byłem u niego. Tylko Francesca żyje w niewiedzy, i proszę, żeby tak zostało.

Ułamek sekundy po tym, jak Henryka kiwnęła głową, dając Kacprowi znak, że jego tajemnica jest bezpieczna, do pokoju weszła Frania. Pompon zamerdał na jej widok ogonem.

– Mój rycerz w lśniącej zbroi. – Dziewczyna podeszła do męża i ucałowała go w policzek.

Kacper skurczył się w sobie.

– Słyszałaś naszą rozmowę?

– Doskonały słuch, Kacperku. – Popukała się w ucho.

– Byłabyś świetną policjantką – oceniła starsza pani.

– Kto wie? – odrzekła Franciszka.

Przerwał im dzwonek do drzwi. Orłowska skoczyła na równe nogi.

– Zamówiłam dla nas podwieczorek, nie miałam czasu nic upiec – tłumaczyła się, znikając w przedpokoju.

– Panie Irku, pan wchodzi. – Po chwili małżonkowie usłyszeli zaproszenie dochodzące z okolic drzwi wejściowych. – Jest tyle jedzenia, że starczy dla wszystkich.

– Henryka prawie siłą wepchnęła wąsacza do dużego pokoju. – Częstujcie się, to są specjały z restauracji należącej do Urszuli, a teraz również do pani Krystyny i pani Krzysztofy – objaśniła, wyjmując z rąk Irka reklamówki ze styropianowymi pudełkami. Otwarte

rozłożyła na stoliku. – Rolki z pizzy! Genialny pomysł, takie ciepłe pyszności na jeden chaps.

– Przez grzeczność nie odmówię – powiedział Ireneusz, rzucając koło fotela torbę z pozostałymi zamówieniami, na które gdzieś czekali wygłodniali klienci.

Kacper z Irkiem narzucili tak szybkie tempo, że po kilku minutach dwa z trzech pojemników świeciły pustkami.

– Podoba wam się mój bukiet? Kupiłam sobie w zeszłym miesiącu – przerwała Henryka ciszę zakłócaną jedynie odgłosami przeżuwania.

Zebrani przenieśli oczy na wypełniony suszonymi kwiatami wazon, który tego dnia rano Henia zabrała z przedpokoju i postawiła w dużym pokoju na stoliku obok monitora.

– Zaraz, przecież taki sam liść jak jeden z tych – Franciszka wskazała brodą na bukiet – wypadł panu z worka na stacji benzynowej!

Twarz Ireneusza przybrała niezdrowy kolor buraczanej czerwieni. Podszedł do stolika i pomacał gałązkę. Jego wąsy zafalowały.

– Od razu widać, że się nie znasz. Ten wiecheć nie dorasta moim bukietom do pięt. My ze szwagrem robimy o niebo lepsze. Susz musi być wysokiej jakości, a nie jak tutaj badyle. Mamy stałych dostawców z całej Polski, którzy zapewniają nam różnorodne półprodukty. W życiu nie kupilibyśmy takiej tandety na jedno kopyto. Wstydzilibyśmy się sprzedawać coś takiego.

– O widzę, że ktoś tutaj zna się na rzeczy – zachichotała Francesca. – Bardzo wygodnie na benzynie biura podróży

zgarniać po drodze od dostawców półprodukty – szepnęła do ucha Henryki, żeby stojący obok komputera Irek nie był w stanie jej usłyszeć.

– Ze szwagrem od dawna siedzimy w branży – kontynuował były kierowca. – Ostatnio sprzedaje się bardzo dużo suszonych bukietów.

– Interes kwitnie, więc już rozumiem, skąd decyzja o rezygnacji z pracy w biurze podróży – domyśliła się Henryka.

– Ale dlaczego się pan nie przyznał, że liść faktycznie wypadł z worka, po co było wciskać kit o ziemniakach? – dociekał Kacper.

– Oj, Kacper, przecież to jasne, wstydził się facet, że robi za bukieciarkę. – Franka wypaliła dwa razy szybciej, niż zdążyła pomyśleć, co mówi.

Ireneusz wepchnął pizzową rolkę do ust, udając, że niczego nie słyszał.

– Drogi panie, pan i pański szwagier macie do tego dryg, od razu widać. Obejrzałam sobie wasze kompozycje na stronie internetowej, są zjawiskowe. – Orłowska spojrzała na niego dobrotliwie. – Robi pan to, co lubi, z wielką pasją, wkładając w to całe serce, a przy okazji zarabia, powinien pan być z siebie dumny.

Ireneusz skończył jeść, a z kieszeni kamizelki wyjął trzy wizytówki.

– Proszę – powiedział, wręczając po jednej każdemu z zebranych, po czym nalał sobie z dzbanka pół szklanki lemoniady i wypił ją jednym haustem.

– A jak było na zakończeniu sezonu morsów na początku

kwietnia? – Henryka, jak przystało na dobrą gospodynię, dzielnie podtrzymywała rozmowę, mimo że goście pochłonięci jedzeniem (Kacper i Irek), tudzież bezustannym adorowaniem Pompona (Franciszka) nie ułatwiali jej zadania.

– Świetnie! Pogoda dopisała, a ludzi było multum. Całe pięć dni doskonałej zabawy – odpowiedział Ireneusz. – A skąd pani wie, że tam byłem?

– Odgadłam. – Posłała mu promienny uśmiech. – Żaden szanujący się mors nie przepuściłby tak ważnej imprezy.

– Jak pani powiedziała? Na początku kwietnia? Czasem to nie było wtedy, kiedy policja nie mogła pana namierzyć? – Franka uniosła do góry brwi. – Mnie i Kacpra też pytali, czy nie wiemy, gdzie pan jest. No proszę, a policji nawet to nie przyszło do głowy!

– Gliniarze podnieśli wielkie larum, że niby uciekłem, a co to człowiek już nie może sobie wyjechać na kilka dni? – mruknął Irek. – Szkoda, że jeszcze nie wysłali za mną listu gończego. Mieli szczęście, że morderca sam się do nich pofatygował z przyznaniem się do winy, bo inaczej ni hu, hu by go nie znaleźli – zawyrokował.

– A wie pan, że pani Henia... – zaczęła Franciszka, ale Henryka bezzwłocznie przerwała jej, domyślając się, co dziewczyna chce powiedzieć. Starszej pani nie uśmiechało się po raz drugi tego dnia opowiadać o swoim śledztwie.

– Szkoda jednak, że nie zobaczyliśmy Paryża. Nie zapowiada się, żebym w najbliższym czasie miała ku temu okazję – zmieniła temat Orłowska.

– A co za problem wykupić nową wycieczkę i pojechać? – zdziwiła się Franka. – Na emeryturze jest mnóstwo wolnego czasu.

– Też kiedyś myślałam, że jak skończę pracować, to będę miała czasu a czasu, a tu, kochana, nic z tego – wyznała Henryka. – Ile co tydzień jest spacerów po Łodzi, wystaw, prac społecznych, że nawet nie wspomnę o nadrobieniu zaległości w czytaniu i oglądaniu filmów. Druga rzecz to, niestety, fundusze. Nie pozwolą mi na drogi wyjazd, ale to nic, nie narzekam na nudę.

– A pieniądze ze spadku? Sama pani mówiła, że nie tak dawno dostała po ciotce niezłą sumkę.

– Moja kochana, ależ ty masz pamięć. Dostałam, tylko...  
– Henryka zawiesiła głos – postanowiłam je zainwestować.

– W co? – chciała wiedzieć zaintrygowana Franciszka.

– W literaturę. – Orłowska uśmiechnęła się na wspomnienie ostatnich dwóch rozdziałów, które przesłał jej Leon. Gdy za jej delikatną sugestią przestał pisać rozumem, a zaczął sercem, jego nową powieść czytało się z przyjemnością i wypiekami na twarzy. – Na razie będę musiała się ograniczyć do lokalnych wycieczek, ale jestem przekonana, że to była doskonała inwestycja.

KONIEC

## OD AUTORKI

Drogi Czytelniku,  
uprzejmie donoszę, że wszystko w powieści, łącznie z futrzastym Czizem, nieśmiałym Pomponem oraz autokarową wycieczką do Paryża, stanowi jedynie wytwór mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Do zobaczenia!

1) Odwołanie do książki T. Pratchetta „Muzyka duszy”. ↵

Henryka Orłowska, nietuzinkowa starsza pani o złotym sercu i bystrym umyśle, ponownie wciela się w rolę detektywa.

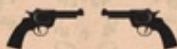
Korzystając z uroków życia na emeryturze, wyrusza na wycieczkę do Paryża. Jednak zanim autokar dotrze na miejsce, jedna z podróżujących nim osób umrze...

👉 Drżycie, złoczyńcy!



Wkraczam do akcji... 👉

To druga z cyklu, pełna humoru opowieść z dobroduszną Panią Henią w roli głównej, która niestrudzenie dąży do tego, żeby sprawiedliwości stało się zadość.



Jaką rolę w tym śledztwie odegrają kot o imieniu Cziz i świnka morska z nadwagą? Czy bohaterce uda się rozwikłać zagadkę morderstwa? Przekonajcie się sami!

👉 **KATARZYNA GURNARD** – Kobieta. Magister. Łodzianka. Po godzinach urzędowania pisze i zaczytuje się w powieściach Agathy Christie i Harukiego Murakamiego. Sama kocha rozwiązywać zagadki, z kolei Czytelnicy zdążyli już pokochać główną bohaterkę jej debiutanckiej, a zarazem bestsellerowej powieści „Pani Henryka i morderstwo w pensjonacie”.



Zapraszamy do ponownego spotkania z polską panną Marple!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny

**ZBRODNIA**  
W BIBLIOTECE

**TeleTydzień**

ISBN: 978-83-66229-02-0



cena: 29,99 zł  
(w tym 5% VAT)